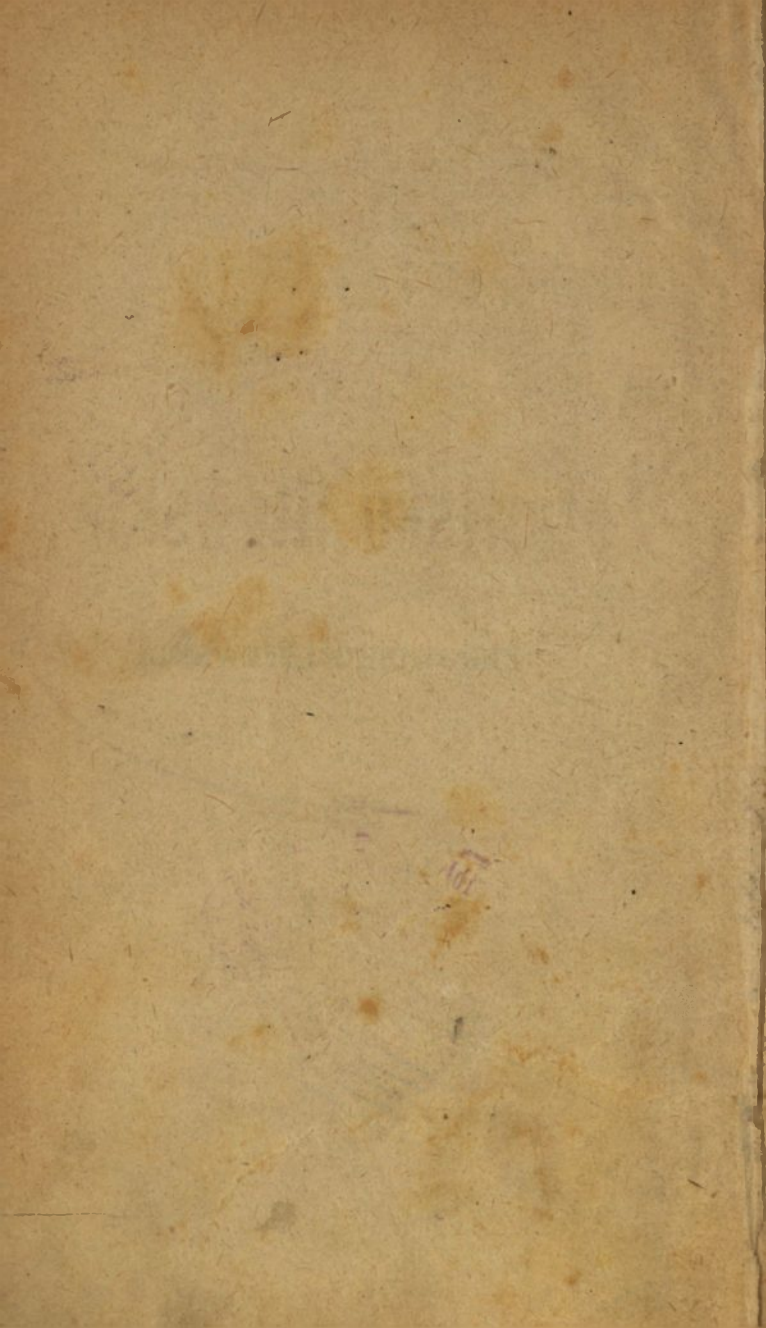


ŻEROWISKO LITEWSKIE.

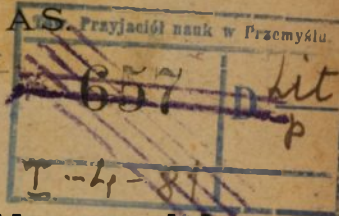




NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NOWEJ REFORMY“.

---

BAJORAS. Przyjaciel nauk w Przemysłu.



# Żerowisko litewskie

Powieść współczesna.



W KRAKOWIE,

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI STEFANA KAVKI.

CZCIONKAMI NOWEJ DRUKARNI JAGIELLOŃSKIEJ

pod zarządem L. K. Górskiego.

1901.

A-20045

3148800

Biblioteka  
U.M.C.S.  
w Lublinie



1000173398

Liter. 13a  
K. 1160/56/3727



## Część pierwsza.

---

### Objęcie stanowiska.

W grząskie błoto uliczne Podlipia, miejsciny litewskiej, wtłoczył się wózek pocztowy, zlekka wybijając takty na pękniętym dzwonku w zaprzęgu. Konie do brzuchów zszargane i zmęczone, pocztylion na koźle skulony i pasażer, kryjący się pod kapiszonem gumowego płaszcza, wybornie dostrajali się do siebie i brzydkiej pogody jesiennej.

Podróżny nieśmiało obzierał się na okół, aż stanęli przed jedną z karczem. Wtedy chyłkiem skoczył przed podsianiem do izby karczemnej i tam dopiero, zrzuciwszy płaszc, przeciągnął znużone ramiona i jednocześnie zdradził swój charakter urzędowy.

Miał na sobie mundur uriadnika\*), a w wysokiej postaci i wyrazie twarzy układność zuchwałego lokaja.

---

\*) W powiecie władzę policyjną zwierzchnią sprawuje »i s p r a w n i k«, który ma pod sobą trzech do

Zyd, karczmarz zdjął czapkę bez wahania, lubo nie znał przybysza.

— Stanowy w domu? — zapytał urzędnik.

— W domu.

— Dasz mi natychmiast wody w miednicy i jakiś kąt do przebrania się.

Karczmarz zdumiał się jeszcze bardziej, gdyż każdy uriadnik przedewszystkiem woła o wódkę, ale spełnił żądanie z pośpiechem i zaprosił gościa do własnego alkierza.

W kwadrans później już rozumiał wszystko, gdy przybyły wezwał go do siebie i wystąpił w nowiutkim paradnym mundurze, z dwoma medalami na piersi z przepysznie rozczesanemi bokobrodami.

W rękę trzymał dopiero co opróżnioną butelkę z koniakiem i krótko rozkazywał:

— Wróć za godzinę lub nieco później, pilnuj mi tu, żydzie, rzeczy i bacz, bym za powrotem znalazł dostatnie przyjęcie w jadle i napoju.

Karczmarz skłonił się jeszcze niżej.

Uriadnik okrył się płaszczem i ruszył do kancelaryi stanowego, poprzedzany przez żydziaka z karczmy. Szedł śmiało i szybko, lecz stanąwszy przed urzędowemi drzwiami, stropił się dość wyraźnie.

Zydziaak przewodnik szybko kędyś zniknął, a przed sobą miał wysokiego chłopca z medalem, snać odbywajacego stójkę dzieśiętnika.

---

pięciu p r y s t a w ó w, czyli s t a n o w y c h, ci zaś są zwierzchnikami u r i a d n i k ó w (podoficerów).

Na zapytanie o stanowego, dziesiętnik wskazał ręką na drzwi kancelaryi, nie spiesząc z posługą dla przybyłego.

Uriadnik zdjął płaszcz, obciągnął fałdy munduru, z zanadruza dobył papierów i wszedł do przybytku władzy naczelnej, szmat kraju przeszło 20 mil kwadratowych obejmującej.

W kancelaryi pracowali dwaj pisarze. Jeden żydek garbaty, o lisiej i wynędzniałej fizyognomii, w wytłuszczonej marynarce i szaliku, — drugi, dziesięćkroć przepity obywatel, w długim paltocie, nieokreślonego wieku i narodowości.

Przybysz zwrócił się do nich bardzo uprzejmie, lubo tylko żydek spojrzał na niego.

— Witam panów; czy mogę się przedstawić panu stanowemu?

Przez chwilę panowało milczenie.

— Każdy parszywiec lezie wprost do stanowego! — mruknął gniewnie pijaczyna, nie podnosząc głowy od przepisywanego dokumentu.

— Niech pan uriadnik usiedzie i trochę zaczeka, zaraz zamelduję — podchwycił spieszenie żydek.

Jakoż znikł we drzwiach bocznych.

Pijaczyna z wolna odwrócił głowę i, na widok wspaniałej figury przybysza, powstał dla złożenia ukłonu.

— Jak widzę, nie jesteście zbyt uprzejmi — rzekł sucho uriadnik.

Kancelista łypnął zaczerwienionemi powiekami, pociągnął nosem zakatarzonym i odparł z głupkowskim uśmiechem:

— Ciężka służba, psia krew!

— Na wszystko jest sposób — odpowiedział wtedy już udobruchały uriadnik, wsuwając pijaczynie w rękę półrublowy pieniądz.

— Pokornie dziękuję — odparł ów, śpiesznie kryjąc otrzymany datek, bo już wracał żydek, który oświadczył poufnie:

— Pan stanowy wkrótce przyjdzie.

Pijaczyna jakoś rażniej wziął się do pisanja, a żydek zbliżył się do uriadnika.

— Pan do Kropian na posadę?

— Zdaje się — odparł ów.

— Złote miejsce! — szepnął żydek, cmokając wargami.

— Czyż tak?

— Aj! aj! — potwierdził z uśmiechem, mającym wyrażać życzliwość.

Nagle skrzypnęły drzwi, żydek skoczył w bok, uriadnik powstał, niby na sprężynach, a we drzwiach stanął starszy zwierchnik.

Już w progu rzucił ostre pytanie uriadnikowi.

— Wy skąd?

— Wprost z Wilna — odparł prostując się — zapytany.

— Papiery są?

Uriadnik podał śpiesznie pismo urzędowe.

— Od kogo?

— Od isprawnika; jestem Wasyl Czujko.

Stanowy baczmem spojrzeniem obrzucił raz jeszcze przybysza i złamał pieczętkę.

Czytanie trwało krótko. — I znowu zagrzemiał ostry głos zwierchnika.



— Na moje przedstawienie przysłano mi tu Was na uriadnika do Kropian... Czyście już służyli na takim stanowisku?

— Byłem w wojsku, potem na służbie u generała...

Stanowy zmarszczył brwi.

— Jesteś pan tedy nowicyuszem i takiego mi tu przysyłają, gdy służba jest wyjątkowo ciężka i wymaga ogromnych zdolności i pracy — dodał z goryczą.

— Będę się starał... — szepnął uriadnik.

— Inaczej być nie powinno: żądam od swych podwładnych bezwzględnego posłuszeństwa i najwyższej gorliwości.

Uriadnik skłonił się w milczeniu.

— Żądam niezwykłej energii w czynach i sprytu w każdej okoliczności.

Uriadnik skłonił się poraz wtóry.

— Żądam nareszcie, ażeby uczaśtek pański stał tak dobrze pod każdym względem, jak to się dzieje w czterech innych.

— Da Bóg — będzie! — zapewnił podwładny.

— Dziś jeszcze wyruszysz pan na miejsce, daję mu swobodę obrania sobie mieszkania i w ciągu trzech dni oczekuję pierwszego ścisłego raportu. — Więc żegnam!

Poczem raz jeszcze powtórzył:

— Proszę pamiętać, że obaj służymy cesarzowi i Rosyi, że na każdym stanowisku należy wszystkie siły wyteżać dla ich dobra.

Stanowy mówiąc to, skinął lekko głową i zginął za drzwiami.

Żydek chytrze się uśmiechnął i szepnął:

— Nie daj Boże, jaki osfry zwierzchnik!

Uriadnik stał oszołomiony.

— Dureń ty, Lejba! — mruknął pijaczyna.

Słowa te dodały ducha zahipnotyzowanemu uriadnikowi, który też otrząsnął się zaraz z pogłębiającego ucisku dopiero co usłyszanych, tak wielkich haseł.

Junacko ogarnął dłońa wspaniałe bokobrody i odrzekł lekko:

— Znamy się na tem.

Zabawił jeszcze z pół godziny, odbierając nieco papierów urzędowych i ksiąg; wreszcie posłano po konie stójkowe, które go miały odwieźć na miejsce przeznaczenia.

Lejba kręcił się bardzo gorliwie, to uczył, to ostrzegał, to dawał niezawodne i szacowne wskazówki o wszystkim i wszystkich. Zdawało się, iż znał każde dziecko w Kropianach, każdy kołek w płocie lub dziurę przy drodze.

— Bestya żyd czuje szczodrego fundatora! — głośno przygadywał pijaczyna, co chwila kręcąc papierosy i spiesząc z nęmi do otwartego lufcika.

— Nu, a czemu ty nie idziesz kłuć wieprza, ty rzeźnik? — odciął się żydek.

— I ciebie, parchu, kiedyś zakolę.

Nagle z za drzwi cienki głos kobiecy zawołał:

— Bazylewskij.

Na to hasło pijaczyna schwycił snąc już zawczasu przygotowany pilnik, zamieniony w rodzaj sztyletu i poszedł do kuchni stanowego.

— To parobek! — szepnął z pogardą Lejba.

Ale wnet rozległ się głos drugi, męski.

— Lejba! — i garbus skoczył na to wołanie stanowego.

Uriadnik zabrał papiery i także ruszył ku wyjściu. Atoli już w sieni, lecz z drzwi, wiodących do prywatnego mieszkania stanowego, usłyszał dość uprzejme wezwanie:

— Proszę tu pana jeszcze na chwilę.

To wzywał go ten sam stanowy, lecz jakże inny! Śniadą twarz jego zdobił teraz uśmiech, a ręka była wyciągnięta do poufałego uścisku.

Weszli do małej bawialni.

— Tam byłem zwierzchnikiem, tu zaś — witam pana, jako rodak jego i kolega służbowy — mówił uprzejmie, wskazując na krzesło i tacę ze śniadaniem, podanem na przedce...

Uriadnik był mile zdziwiony i skromnie przysiadł na brzeżku krzesła, mruczając coś niewyraźnie o wdzięczności, wiernej służbie i t. d.

Stanowy napełnił kieliszki pomarańczówką domowej roboty.

— Za pomyślność pańskiej nowej służby! — wznosił toast.

— Stokrotnie dziękuję.

Wypili. Stanowy jął się kaczki na zimno, a uriadnik poprzestał na solonym rydzu!

Mówili ogólnie o ciężkiej służbie na Litwie i wszelakich innych biedach, co oczywiście wymagało częstych kolejek kieliszków.

Czujko ośmielał się coraz bardziej, siedział już wygodnie i przegryzał wódkę serem.

— Przecież jesteśmy u siebie i wszystko tu nam musi być posłuszne — zdobył się w końcu na śmiałe zdanie.

— Ani słowa, że u siebie, bo to kraj naszego cara miłościwego, lecz żyjemy wśród wrogów — mówił stanowy, już dobrze trunkiem podniecony.

— Czy być może? Wszak to tacy sami Rosyanie i prawosławni, jak i my.

— Kpij pan sobie z takich baśni, które rozpuszczają nasi popi i biurokracya z Petersburga i Moskwy. Tu nie tylko szlachta, lecz i lud jest szczerze polski lub litewski, co na jedno wychodzi.

— Pan chyba mówi o jego przeszłości dość już odległej, jak to słyszałem nieraz od generała.

— Bynajmniej, wierzcie mi, że patrzę dobrze i widzę, że lud prosty nie tylko nie rusyfikuje się, lecz z każdym dniem coraz więcej się spolszcza lub wraca do swej litewszczyzny.

— To dla nas zresztą jest dość obojętne, my służbie oddani o niej tylko pamiętamy.

— Znać w panu nowicyusza. Tu, jeśli pan zechcesz tylko służby pilnować, będziesz pan parobkiem przez całe życie i nigdy niczego się nie dorobisz.

— A emerytura? a ordery i pensye?

Stanowy rozśmiał się na całe gardło.

— Biedak z was i żal mi was serdecznie, że takie macie poglądy; ja bo wierzę tylko w emeryturę i pensyę, które mam tu — mówił, uderzając się po kieszeni na piersiach.

— To nigdy nie zaszkodzi — przytaknął uriadnik z uśmiechem domyślnym.

— Niechże pan tedy pamięta o sobie i... o mnie, bo tylko przy takiej spółce może nam być dobrze obu.

To mówiąc, stanowy śmiał się serdecznie i ścisnął dłoń uriadnika.

Wypili po szóstym kieliszku.

— Wyborna wódeczka! — pochwalił Czujko i dobywając cygar, częstował stanowego. Ów zapalił chętnie, lecz wnet podskoczył ze zdumienia.

— Ależ to prawdziwe hawana!

— Najprawdziwsze dostałem na drogę od przyjaciółki.

— Dobra przyjaciółka! Więc służyłeś pan ostatniemi czasy u generała w Kownie. Na jakiej posadzie?

— Jakby to panu powiedzieć: posada nie tak wielka, ale dochody miałem ogromne i coś jeszcze... niby w dodatku.

'Śmiał się jakoś tajemniczo.

Stanowy już dobrze podchmielony, nalegał poufale:

— Czemże tam byliście?

— Robiłem wiele rzeczy: ja tam od pracy nie uciekam, generał bogaty, aż strach i stary, a generałowa młodziutka i łaska-wa...

— Aha! Mamy przyjaciółkę! — wykrzykiwał stanowy. — Więc jakże tak? Nikt przecie dobrowolnie miotu nie porzuca?

— Ba! przyszło nieszczęście. Ot, powiem panu, jak ojcu rodzonemu, że nie sługą ja byłem w tym domu, ale ulubieńcem; generał, bywało, daje mi na wydatki domu i ni-

gdy rachunków nie sprawdza, czasem wróci późno z klubu, to pełno znajduję rankiem pieniędzy w ubraniu... A sam to był anioł dla mnie samotnego i niezwykle łaskawy...

— Takiś to ptaszek!

— Trudno nie brać, gdy można i smakuje.

— Jak widzę, nie zginiecie na szerokim świecie.

— Przy protekcyi i opiece waszej... — odparł Czujko z uśmiechem.

— Pamiętajcie jeno, że i ja żyć potrzebuję a łamać będę głową za was i za siebie przed władzą, więc wy pracujcie trochę dla mnie ze swej strony.

— Może pan być pewnym.

— Zresztą umiem się pilnować — dodał stanowy surowiej.

Ale wnet napełnił kieliszki i, po otarciu wąsów, ciągnął dalej dobrotliwie.

— Więc generał was kiedyś nakrył, jak głupie kuropatwy?

— Cha, cha! akurat, jakbyś pan widział! Generał pojechał do klubu, jak zwykle i nie czekaliśmy go przed trzecią. — Traf zdarzył, że dziadowina zasłabł z nietrawności i mój pomocnik, lokaj, wpuścił go pocichutku, przez zawiść nas o tem nie zawiadomiwszy.

— A gdzież to bawiliście w tym czasie?

— Wiadomo gdzie — w buduarze z przyjaciółką... — odparł uriadnik z odcieniem tryumfu w głowie.

— Więc generał zwołał służbę i kazał

was związać, lub może sam wam karę wymierzył.

— Ani jedno, ani drugie. Wszedł drżący, za świecą w rękę, lekko krzyknął i rzucił się na mnie, ale mu siły nie dopisały i tylko mię raz trącił w zęby, bo zaraz przyszły kurcze i odnieśli go do łóżka.

— A wy wtedy w nogi?

— Zawołała mię generałowa i, dając podarek, kazała zaraz jechać do Wilna. W tydzień później otrzymałem tę posadę, dzięki jej protekcji i, po wyekwipowaniu się, ruszyłem do pana.

— A więc zdrowie generałowej! — wniósł toast stanowy.

— Zgoda! — ochoczo przyjął Czujko.

— Może stary zemrze, to znowu wam się droga otworzy.

Uriadnik machnął ręką.

— Licho ją bierz! Czy to jedna baba na świecie?

To mówiąc, powstał i przeciągnął się junacko. Chuderlawy stanowy z zazdrością spoglądał na tego pysznego samca rodzaju ludzkiego.

— Prawda, że chłop z was choćby do gwardyi przy dwornych.

A po chwili spostrzegłszy, że już karafkę skończyli, poszedł ku małej szafce w kącie pokoju i dobył stamtąd pół butelki koniaku.

— To moja rezerwa — żartował poufnie.

Jakoś rezerwa rozmarzyła obu do reszty i jeszcze bardziej rozwiązała języki.

Już się wycalowali po razy kilka, stanowy przysięgał, że pozna Czujkę ze swą zo-

ną, a ów obiecywał wierne służby i niewątliwe dochody.

— Co mi wpadnie w ręce, wszystko z tobą, jak z ojcem rodzonym, do połowy, Piotrze Stepanowiczu!

— A dyabeł cię tam obliczy! Wolę układ wyraźny: Będziesz mi płacił ze swych dochodów pięćdziesiąt rubli miesięcznie, tak, jak wszyscy inni uriadnicy.

— Bój się Boga, Piotrze Stepanowiczu, a skądże ja tyle pieniędzy zbiorę, przy trzydziestu rublach pensyi miesięcznej na siebie i konia?

— Wolne żarty! Uczątek twój nie ma wielkich dworów, krom kilku, i to stanowi jego zasługę: dziś obywatelstwo zmądrzało i trudniej otwiera kieszenie, ale za to chłopci tam zamożni, lud ogólnie hardy, a wśród nich moc starowierców i co za tem idzie, ciągła kradzież i rozboje są tam na porządku dziennym. Z tego rozumny uriadnik powinien mieć trochę kłopotu i... dużo pieniędzy.

Czujko jakoś nie bardzo rozumiał.

— Zresztą, tyś chłopak bystry i sam to zrozumiesz wkrótce, więc płac i płac regularnie.

— Wszak myślę, że mię nie zechcesz zgubić lub obedrzeć do koszuli, Piotrze Stepanowiczu?

— Ani trochę. Nawet ci ręczę, że porośniesz w pióra. — Co do mieszkania twego w Kropianach, to już postanowiono. Jest tam na skraju miasteczka starowierca Hładkij i tam zamieszkas. Dobrze będzie, mieć go ciągle pod bokiem, nie oszuka,



a człek sprawny. Zresztą, tam u niego mieszka niby krewna jego, dzielna kobieta Głusza. Mam dla niej pewne obowiązki jeszcze z kawalerskich czasów... Będziesz miał z niej dobrą gospodynię a może żonę w przyszłości.

— Nu, licho ją bierz! — machnął ręką wzgardliwie uriadnik.

Stanowy w jednej chwili zeszywniał zrobił suchą uwagę:

— Radziłbym panu niczego nie lekceważyć, co pochodzi od zwierzchnika.

Lecz pijany Czujko nie dał się poskromić i zaczął poufale klepać zwierzchnika po ramieniu, śmiejąc mu się w same oczy.

Więc stanowy jął się srożyć i podniecać, ale uczuł zawrót głowy i parsknął po chwili bezmyślnym śmiechem pijackim.

Dopili butelki koniaku i pożegnali się po bratersku.

— Służba — służbą, przyjaźń — przyjaźnią, — mruzczał stanowy, układając się na kanapie, gdy Czujko wyszedł do sieni.

Uriadnikowi drogę w sieni zabiegli obaj kanceliści.

— A namże poczęstunek? Życzymy wszystkiego dobrego na nowem miejscu.

Pijany dygnitarz rzucił im po rublu i pogroził obu pięścią:

— Patrzajcie, bym miał z was wygodę i pomoc w każdym wypadku.

Obaj kiwnęli głowami, na znak porozumienia i w ślad za nim wynieśli się z kancelaryi, mając pewność, iż już aż do wieczora są wolni od wszelkich zleceń zwierzchnika.

W kwadrans później Czujko wyjeżdżał z Podlípia, wesoło pogwizdując i dumnym okiem mierząc spotykanych żydów i chłopów.

Urósł na łokieć i starał się być widzialnym dla wszystkich, a z gęby dymił generałskim cygarem.

Wdał się łaskawie w gawędkę z woźnicą, młodym Litwinem, lecz ten odpowiadał półsłówkami lub milczał uparcie.

Więc klął i wrzeszczał, a co chwila szturchał woźnicę w plecy końcem ciężkiej szablicy, by naglił konie do szybszego biegu.

— Uriadnika swego wiesz! — mówił mu kilkakrotnie.

— Hej tam! Z drogi ty, chamskie plemię! — wołał na spotykanych chłopów i groził im pięścią.

Więc zjeżdżał z drogi chłopiek lub nawet przystawał i smutno głową kiwał na widok nowego i tak jaskrawego kruka, który zapuści szpony w jego ciało i pić będzie jego pot i krew. Ale jednocześnie ten chłopiek znaczył sobie dobrze w pamięci te rysy nowego rozbójnika, ażeby je kiedyś, przy sposobności sobie przypomnieć.

Wszakże nie długo tak wojował i krzepił się potężny Wasyl Czujko. Już po upływie pół godziny rozebrał go trunek, a wtedy jął kiwać się na siedzeniu i w końcu głośno zachrapał, skulony w kilkoro.

Na tę chwilę czekał młody i zawzięty woźnica.

Uśmiechnął się radośnie, konie puścił wolnym truchcikiem, a sam jął maczać bicz

w przydrożnem, rzadkiem błocie i smagać niem po twarzy śpiącego.

Czujko czasem się budził na chwilę i zaklął gniewnie, ale wnet znowu zapadał w śpiączkę, machinalnie ręką rozmazując błoto po twarzy rozognionej.

Na szczęście zmierzch rychło już zapadł, bo figiel mógł być przez kogoś podpatrzony i dotkliwie ukarany.

O wiorstę przed Kropianami młody Litwin jął budzić uriadnika.

— Niech pan się obudzi — już Kropiany. A fośmy prędko przyjechali.

Po kilku próbach Czujko zerwał się na siedzeniu i zaczął straszliwie pluć, chrząkać i kłać.

— Jakżeś to wiózł mię, ty bydle, zem tak błotem ochlapany?

— Nicem panie nie winien, żeście mi kazali ostro poganiać, a błoto teraz wszędzie na drodze...

— Niechże cię dyabli wezmą! Tfu! Tfu! A nie mogłeś to bałwanie nakryć mi twarzy od błota?

— Nie śmiałem się tknąć pańskiej osoby — odparł chłopiec, dusząc się od tłumionego śmiechu.

— No, na ten raz by ci to uszło bezkarnie — rzekł udobruchany uriadnik, cokolwiek już oczyszczony z błota.

Niebawem wjechali na rynek miasteczka. Choć wieczór był już późny, liczne światła w oknach świadczyły o czuwaniu mieszkańców, a tu i ówdzie z podsieni karczemnych biły łuny jaśniejsze, a pełno było naokół gwaru i szwargofu.

Konie szły noga za nogą. — Uriadnik wyprostował się na siedzeniu i już zwrócił na siebie uwagę kilku żydziaków, którzy zaczęli eskortować wóz jadący, rzucając oderwane zawołania starszym współbraćiom, ukazującym się na ulicy.

Nagle wrzask pijacki rozdarł powietrze i sięgnął uszu dygnitarza.

— Stój! — rozkazał Czuiko, jednym skokiem opuszczając wóz i dążąc ku miejscu, skąd słychać było wrzask i szamotanie się kilku postaci.

Wysoka figura uriadnika nagle stanęła wśród zapaśników. Stary żyd z żydziętami krzyczał głosem ochryplym:

— Idźcie precz wy, pijaki!

A dwóch podpitych chłopów trzymało go za kark i poły chałata i wołali:

— Oddaj nam, parchu, coś ukradł w tej chwili!

Wasył Czuiko uczuł w sobie przyływ niezwykłego męstwa, więc w jednej chwili rozdzielił walczących i stanął murem wśród nich.

— Co tu się dzieje? — spytał groźnie.

Pole walki okazało się zwykłym szynkiem, a żyd... uciśnionym karczmarzem. Właśnie jego małżonka przybiegła mu z pomocą i stanęła wiernie przy boku, wrzaskiem ogłuszając wszystkich i wykonywując cały szereg rzekomo bezcelowych a gwałtownych ruchów.

Bysstry uriadnik nagle sięgnął ręką za plecy żyda i schwytał ręce obojga małżonków przy podawaniu sobie jakiegoś przedmiotu. Żydówka mocniej krzyknęła.

żyd pobladł wyraźniej, a uriadnik w dużej garści coś szczerlnie zacisnął.

Chłopi zaś coraz natarczywiej wołali:

— Oddaj nam, parchu, coś ukradł!

Liczyli teraz oczywiście na poparcie władzy i rzucali się do oczu żydowi.

Tu jednak wystąpiło całkiem nieprzewidziane rozwiązanie.

Uriadnik w jednej chwili schwytał za kołnierze obu chłopów i jednym rozmachem wyrzucił ich na błoto uliczne, wśród głośnych śmiechów żydowskiej gawiedzi.

Karczmarz nisko się skłonił przed swym obrońcą.

— Ktoś ty? — huknął ów.

— Jam kupiec tutejszy, mam szynk i sklep największy w miasteczku — odparł żyd z odcieniem dumy.

Uriadnik spojrział nań drwiąco i dobył zegarka złotego.

— Już pół do jedenastej, a szynk winien być zamknięty o dziesiątej.

— Ny! Wielmożny panie, co ja mam robić z tymi gałganami; oni by radzi pieć przez noc całą, a tom ich siłą musiał wyrzucać, a oni mię szarpali i bili — lamentował skrzywdzony.

A sprytna żydowica już zdążyła zamknąć drzwi szynku od ulicy i usunąć wszystkich widzów.

Uriadnik dobył z rękawa zwykły płócienny mieszek, w którym chłopi zwykli nosić pieniądze w zanadrzu.

— A to co, ty parchu?

Małżonkowie pobledli.

— Zgnijecie za to w kryminale — zimno

upomniął władca, chowając mieszek do kieszeni i zabierając się do wyjścia.

Ale małżonkowie zabiegli mu drogę wśród próśb i błagań, wspominając o zdrowieniu podróżnego i bogactwie swoich zapasów.

— Nie lubię pustych słów, a pilno mi do mieszkania, bom tu zjechał do was na służbę.

Żydzi ruszyli, niby podminowani.

W dziesięć minut później przybiegli doń oboje z poufałym uśmiechem, a karczmarz mówił od niechcienia:

— Kiedy pan uriadnik do nas przyjechał, to musi u mnie pierwszego coś kupić na początek. Ja tam już włożyłem do bryczki głowę cukru, funt herbaty, parę butelek araku i garniec wódki.

— Dobrze, policzymy się później. A teraz daruję ci to na pamiątkę — rzekł, lekko uśmiechnięty, rzucając pusty mieszek żydowi, a garść srebrnej monety chowając do własnej kieszeni.

— Och! jaki pan uriadnik wesoły! — wykrzyknęli małżonkowie, tłumiąc bolesne westchnienia.

Jakoś dobrze się czuł Wasyl Czujko, gramoląc się ponownie na wóz i sprawdzając u chłopca woźnicy, czy wszystkie zakupione produkty dobrze są ułożone na wozie.

Wreszcie ruszyli, i minawszy miasteczko, wśród zupełnych ciemności, stanęli przed wysokim i szczelnym parkanem, który całkowicie krył za sobą wszelkie ślady ludzkiej siedziby.

— Złazże, chłopcze i stukaj a wołaj, by nam otworzono — rozkazał uriadnik.

Chłopiec wołał i krzyczał, walił we wrota pięściami i kamieniami, lecz żaden odgłos nie odpowiadał z wewnątrz, — tylko echa uderzeń biegły na las pobliski i ginęły w coraz słabszem odbiciu.

— Czy ich mór wydusił! — zaklął Wasyl Czujko i, złazłszy z wozu, jał podwazyć furtkę potężnymi ramionami.

To zaraz poskutkowało. Skrzypnęły jakieś drzwi, poczem błysnęło światło w szczelinach parkanu, a śpiewny głos kobiecey rzucił ostre pytanie:

— Kto tam i czego chce po nocy? . . . . .

— Otwierajcie, jam nowy uriadnik i przyjeżdżam do was na mieszkanie, — odparł Czujko rozkazująco.

— Radzi będziem gościowi — usłyszał wtedy odpowiedź i za chwilę odsunięto potężne zasuwę dębowe, ażeby go przepuścić za ogrodzenie.

Zobaczył przed sobą wyrostka i wysoką kobietę w kozuchu z latarnią w rękę.

— Czy Hładkij w domu? — zapytał.

— Jam mu nie żona, to i nie wiem — odparła zagadnięta wymijająco, mierząc przybysza podejrzliwem wejrzeniem.

— To wy jesteście chyba Głusza, do której mię przysyła Piotr Stepanowicz i poleca jej opiece i łasce — łagodniej zwrócił się przybyły.

Kobieta uśmiechnęła się na te słowa życzliwie, szczerząc zdrowe, białe zęby i oczyma strzelając zalotnie.

— Kiedy tak, chodźciez do chaty — wez-



wała, dając znak na migi wyrostkowi, by zabrał rzeczy przybyłego z wozu.

— My tu żyjemy odludnie i nie puszczamy obcych do siebie z obawy złych ludzi — śmiała się, świecąc gościowi do obszernej, pierwszej izby z dużym piecem.

Z pieca tego rozległo się coś, niby pytające chrząknięcie.

— Swój człowiek, nowy uriadnik — śpij stary — mruknęła kobieta, zapalając lampę wiszącą nad dużym stołem i zrzucając z ramion kozuch.

Wasył Czujko ujrzał przed sobą zdrową i ładną kobietę, w krasnej spódnicy i wyszywanej koszuli. — Jeszcze nie zupełnie wytrzeźwiony uczuł lekki zawrót na widok tych wdzięków i pod wrażeniem silnego ciepła izby.

— Powiedźcież, ładna gosposiu, czy jest tu dla mnie mieszkanie i czy mię przyjmiecie do siebie?

Głusza parsknęła śmiechem.

— Jeżeli mi dobrze służyć będziecie i będę wam rada... — odparła filuternie.

— Służyć to ja chętnie wam będę, lecz mi potrzeba kilka izb dla spraw służby istotnej i nie radbym was ścieśniać.

— Na drugiej stronie są dwie izby przestronne, które wam wystarczą.

— A konia i bryczkę będę mógł umieścić?

— I na to miejsce się znajdzie. Wy kawaler?

— Tak, nie miałem dotąd szczęścia u kobiet — zaśmiał się Czujko, gładząc wąsy.

— Biedny! siadajcież i bądźcie nam dziś



gościem, a jutro pomyślimy o waszem urządzeniu na drugiej połowie.

Jakoż zakrzętała się wnet koło samowara i zakąski, ale uriadnik powstrzymał jej gorliwość.

— Zmęczyła mię droga i osłabiła gościnność Piotra Stepanowicza, więc dziękuję za wszystko, a proszę was na moją czarękę podróżną.

Przystąpił do własnych zapasów i jął otwierać butelkę z wódką.

— Jakże to? niby na zmówiny? — rzuciła kobieta wyzywająco, ocierając się ramieniem o dorodnego Czujkę.

— Mogłoby i to być w przyszłości — odparł Czujko.

Lecz Głusza nie chciała być mniej gościnną od Piotra Stepanowicza. Wybiegła do komory raz i drugi, skoczyła nawet do loszku w podwórzu i w dziesięć minut zastawiła na stole misę z jądłem i spory bochen razowego chleba.

— Jedzcież, niech wam smakuje. Niemasz na przepicie, jak to nasze jadlo narodowe i czarka mocnej wódki, — zachęcała uprzejmie, wskazując na rodzaj zimnej zupy w misie.

Czujko rzucił jeno okiem i poznał strawę, której już prawie zapomniał podczas dziesięcioletniego pobytu na Litwie.

— Ot słodkie wspomnienie! — wykrzyknął radośnie i sporą szklanekę wódki wychylił w ręce uprzejmej Głuszy, — która chętnie przyjęła ponownie nalaną.

Na piecu wtedy coś się poruszyło i zwolna zszedł po ławie stary, brodaty burłak

kożuchem okryty, a niespokojnem wejrzeniem mierzący obcego przybysza.

— Nasz gospodarz Hładkij, a to nasz nowy uriadnik — objaśniła kobieta.

— Jakże stary, rad jesteś z gościem i mieszkańcą? — spytał Czujko

— Tożem rad, bom stary i potrzebuję spokoju a opieki nad sobą — odparł Hładkij cichym, powolnym głosem.

Napił się potem wódki raz i drugi, posiedział chwilę w milczeniu i wgramolił się z powrotem na piec.

— Lubi czytać pismo święte i stroni od ludzi — tłumaczyła Głusza.

— Bo stary; jakże to stronić od ludzi, mając taką niewiastę pod bokiem? — szepnął, chwiejąc się na nogach Czujko.

— Jedzcież bo! — zachęcała gosposia, przysiadając się do gościa bliżej.

Nie dał się prosić gość i chciwie zanurzył łyżkę w jadle, chłonąc je z głośnem warg mlaskaniem.

— Sławne jedzenie! ot gospodyni! — zachwycił się w przestankach.

Były to ogórki kwaszone, zalane kwasem i omaszczone suto olejem.

Wypróżnił też misę do dna, nie bacząc na to, że wyrostek niemowa pożądliwie ścigał jego ruchy spojrzeniem i smutniał wyraźnie.

Otarł w końcu wąsiska, zapalił papierosa, nie bacząc na ciche zaklęcia starego burłaka na piecu, i w pełni zadowolenia przytulił się do Głuszy.

— Pora wam spać — rzekła po chwili, powstając.

— A gdzież mi kazecie? — przymilał się Czujko, obleśnie miżdząc się i mrugając znużonemi oczyma.

Głusza udała, iż nie widzi tych pijackich zalotów i posłała mu na tapczanie.

Jeszcze się trochę szarpał i śmiał, jeszcze próbował pójść za nią do alkierza, ale go wnet siły opuściły i legł bezwładny na ławie.

Wtedy kobieta przy pomocy niemego wyrostka rozebrała go z ubrania i obuwia i złożyła na tapczanie. Poczem przejrzała zawartość kieszeni uriadnika. Pieniądzy było nie wiele, krom wytrzeszonych z mieszkza w karczmie, ale był złoty zegarek i srebrna papierośnica.

— A ulżyj mu tam trochę — zaskrzeczał z cicha stary burłak na piecu.

— Głupiś stary! to swój człowiek — nie można; on dla nas i tak będzie kurą złotonośną — odpowiedziała Głusza, rozważnie chowając rzeczy we własnych kieszeniach i silnie ryglując drzwi za sobą w alkierzu.

Już światło zgasło w ustronnej chacie, lecz w miasteczku rósł jeszcze ruch i szwargot. To żydzi, jedyni niemal mieszkańcy, informowali się wzajem o przyjeździe nowego uriadnika i układali plany kampanii obronnej.

W ich oczach Wasyl Czujko został zręcznym, lecz i przystępnym działaczem.

Tylko młode chłopię litewskie, nocujące u znajomego, w stajni, zaciskało we śnie pięści i cieszyło myśl nadzieją zemsty za doznane zniewagi i upokorzenie.

## Kozły ofiarne.

O milę od Kropian, wśród grząskich, błonistych obszarów, lasów i wydm piaszczystych leży odwieczna, licha osada, Kopliszki, którą jeno żydzi miejscowi chrzczą mianem miasteczka, chyba dlatego, iż stoją tu aż trzy karczmy. — Prócz karczem widnieje jeszcze na wzgórzu ubożuchny kościółek drewniany, poczerniały od starości i kilkakroć wykrzywiony, podobna do niego plebania, a wreszcie za nią dworskie budynki, bodaj jeszcze w większej ruinie będące.

Zresztą kilka chałup zagrodniczych dopełnia tej smutnej i smutnie jednostajnej całości.

A jednak Kopliszki były środkiem dość poważnego ruchu i wnet zwróciły na siebie uwagę bacznego Czujki.

Uderzyło go to, że drobną osadę przecina aż pięć dróg znacznieszych, które z niej robiły niby pięcioramienną gwiazdę. W klinach, wśród ramion tej gwiazdy, czyli między drogami, stał w jednym kościół z plebanią i dworem, trzy były zajęte przez obszerne budynki karczemne, z długimi i wysokimi płotami, w piątym zaś stała kuźnia ze skromnym dworkiem odosobnionym.

Obok tego wszystkie te drogi wiodły mniej lub więcej głębokimi wąwozami na wzgórze, kędy leży osada, tak iż tylko stojąc na progu kościelnym, można objąć szerszy widnokrąg i wybiedz okiem poza życie miasteczka.

Na pięć mil naokoło nikt nie może minąć Kopliszek; nawet złodzieje, uchodząc na koniach skradzionych, muszą przemykać się tędy, bo innej drogi nie ma, lub jeżeli i jest, to znacznie dalsza a dla nieświadomych błędna i niebezpieczna.

Wszystko to dobrze rozpatrzył Wasyl Czujko i wtedy dopiero postanowił zbliżyć się do mieszkańców osady.

A już też i czas był po temu, gdyż od stanowego przychodziły naglące wezwania do energiczniejszej i owocniejszej działalności. Zresztą miał już własną bryczkę wygodną i dobrego konia, które dlań na skinienie skądś wydobyl Hładkij i ustąpił za gwarancją drobnych splat miesięcznych.

Postanowił zacząć od proboszcza Zaranaka, o którym zresztą nasłuchał się już wielu rzeczy od samego przyjazdu i na tej podstawie przyszedł do wniosku, iż ksiądz może być kąskiem nie do pogardzenia w chwilach martwoty innych, poważniejszych przedsięwzięć.

— Tylko pilnuj się dobrze, mój ty gołąbku, — upomniała go Głusza przed odjazdem z Kropian -- bo stary ksiądz jest zły, jak te psy, które trzyma na łańcuchu.

Głusza już ostatecznie zawojowała pięknego Wasyla, karmiła go na schwał, ko-

chała do poświęcenia, lecz była nieco zardrosna.

On śmiał się tylko i żartował, bo zresztą był pewny, iż da sobie radę w każdym wypadku.

— A może ksiądz ma ładną gospodynię? — podrażnił ją na pożegnanie.

— Wiedźmę jakąś starą, co ludzi i bydła czaruje.

Wyszła jeszcze za nim i przyglądała się, gdy siadał do bryczki. Bryczka ta stanowiła chlubę uriadnika. Mała, lekka i wygodna, miała trzy obszerne i niewidoczne schowania, których zadaniem było kryć rzeczowe zdobycze jego przy rozjazdach po uczątku.

Dość powiedzieć, iż razu jednego przywiózł on z sobą wieprzka rocznego, ośminę grochu i garnek miodu, a jechał tak swobodny i pewny siebie, że ojciec Prochor, pop z Gawy, pogroził mu palcem na drodze i zgromił:

— Oj chłopcze! ty, jak widzę, niczego się nie dorobisz na służbie.

Niczego? — ależ to fałsz wierutny. — Oto już w ciągu pierwszego miesiąca z ławnością przesłał pięćdziesiąt rubli stanowemu, dodając w upominku faszeczkę rydzów solonych; dał ojcu Prochorowi pięć rubli na świece za pomyślność służby, a przecież w kieszeni został mu jakiś zapasik i w komorze u Głuszy zapanowała niezwykła obfitość.

A jednak nie było ani jednego prawdziwie dobrego interesu: ot, żyło się jakoś z dnia na dzień, kapaniną.

Więc siadł na bryczkę i pojechał, przymocą we wrotach odrywając od swej szyi rękę kobiety, która mu zawisała całym ciężarem.

— Siedź, babo, w chacie i nie czekaj dziś na mnie, bo mi przyjdzie zanoć w Gawie.

I pojechał. Droga była wyborna. Lekki mróz przed kilku dniami ściał piasek i błoto, a liczne wozy przejezdnych wnet utarły wszelkie nierówności.

I koń był doskonały. Kupił go gdzieś Hładkij przez stosunki ze spółwierzami, zrazu był nad miarę spędzony i jakby zagłodzony, ale dziś na dobrym obroku odzyskał dzielność i okazały wygląd. Jedź choćby w zaloty!

Aha! w zaloty? a co na to powie Głusza? Dobra jest kobieta, czysta i dbała o ład i zapas w domu, tylko zbyt lubi pieniądze i łakomie je garnie do siebie. Już kilkakrotnie dawała mu do zrozumienia, że ma tysiąc rubli złożonych i że on powinien powiększać te zbiory, bo przecież teraz już u nich wszystko wspólne. No, tak to znowu nie. Ona ma przecie trochę nadpsutą przeszłość, choć z drugiej strony daje mu silne, poparcie u stanowego. Głupstwo stanowy i tak będzie go szanował za regularne dosyłanie... miesięcznej pensyi. Ciekawa też rzecz, co Głuszę łączy z burłakiem. Jest jego niby krewną, ale to kłamstwo, bo już mu się wygadała, że jest rodem z Kaługi i przyjechała w te strony razem z Pigulewskim, stanowym, a on urodził się w tym kraju. Jest w tem jakaś ta-

jemnica, ale mu z nią dobrze, bo ma wszelką wygodę i nawet stary nie chce nic za mieszkanie. — To zresztą nic dziwnego — przecie uriadnik, no i do tego chłop wcale do rzeczy.

Tak rozumował sobie Wasyl Czujko i gwizdał od czasu do czasu na deresza, który i bez tego raźnie wyrzucał kopytami.

W niespełną godzinę przyjechał do Kopoliszek i na widok kuźni przypomniał sobie, że dereszowi należy się jedna nowa podkowa.

Zajechał tedy przed kuźnię, skąd słyhać było zdala bicie młotów i syczenie podniecanego ogniska.

— Hej tam kowal! — zakrzyknął, nie wyłażąc z bryczki.

Ale nikt nie pospieszył na to wołanie. Trochę gniewny dygnitarz ruszył rad nie rad do kuźni.

Młody z czarną brodą i przystojny kowal walił młotem z całej siły, a smukły wyrostek dopomagał mu w pracy, to poruszając miech, to podając rozgrzane na nowo kawały żelaza, to czasem, na komendę majstra, chwytając za drugi młot.

— Wołałem — czemuż nie wychodzisz? — groźnie upomniał Czujko.

Kowal zlekka dotknął czapki na głowie i odparł spokojnie:

— Hałasuje się, to i nie słyhać.

— Trzeba mi okuć konia na przednią nogę, ale natychmiast.

— Dobrze — krótko odpowiedział kowal.

Na jedno skinienie pomocnik podał skrzynkę z potrzebnymi narzędziami; więc



starą podkowę odjęto i wzięto miarę na kopyto.

— Jak się nazywasz? — badał uriadnik przez ten czas.

— Stanisław Mazul.

— Ktoś ty?

— Kowal tutejszy.

— To widzę, lecz skąd rodem?

— Z zaścianka Pasieki, stąd półtorej wiorsty.

— Czemuż mi nie odpowiadasz po rosyjsku, kiedy tak mówię do ciebie?

— Jam Litwin, panie, i mówię po polsku lub po litewsku.

— A nie byłeś w wojsku?

— Jestem jedynakiem u matki wdowy.

— To szkoda, wyszedłbyś na człowieka.

Staszek Mazul wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu za całą odpowiedź, za to wyrostek, Janek, pokazał uriadnikowi za plecami język i figę.

Podkowę dobrano z gotowych i Staszek już ją przybijał z wielką wprawą; z nieukrywanem zdumieniem patrząc to na kopyto, to na samego deresza.

Spostrzegł to uriadnik i zagadnął:

— A co, prawda, doskonałego mam konia?

— Dobry dla pana, bo pan nim jeździ.

I znów popatrzył na konia, potem na uriadnika.

— Dużo musisz tu mieć roboty?

— Jest dosyć.

— To i dobrze ci się dzieje?

— Głodem nie przymieram.

Uriadnik splunął niechętnie. Ależ to głu-

piec skończony ten kowal! choć robotę zna dobrze, gdyż podkowa już przybita i pasuje wybornie.

Czujko siadł w bryczkę i ujął lejce.

— Do widzenia, chłopcy! — rzekł na pożegnanie.

— Zapomniał pan zapłacić za podkowę — odparł drwiąco Staszek.

Czujko aż się zachnął z wielkiego oburzenia.

— Sądziłem, że to przyjacielska usługa — ratował się śmiechem.

— Ja żelaza nie kradnę i na drodze nie znajduję.

— Więc ileż? — pienił się dygnitarz, sięgając do kieszeni.

Od tej chwili Staszek Mazul mógł być pewny, że ma jednego wroga więcej, lecz śmiał się z tego jeszcze długo wraz z Jankiem po odjeździe Czujki.

Ten zaś skierował się wprost na probostwo, ani domyślając się, o czym mówił w kuźni Staszek do Janka.

— A wieszże ty, chłopcze, że koń ten wydaje mi się mocno podejrzanym?

— Jakże to? toć go sam chyba nie ukradł?

— O to go nie posądzam dziś jeszcze, lecz gotówbym przysiąc, że kiedyś kułem już to kopyto, lecz wtedy był to kasztan. nie deresz.

— Wszystko być może, kiedy mieszka u znanego złodzieja, jakim jest Hładki.

— Pamiętajże, Janku, że przy najbliższej okazji kucia tego deresza trzeba tak zrobić, byśmy mogli z łatwością poznawać ślady wędrówki pana uriadnika.

— Dobrze, już o tem nie zapomnę, a śle-  
dzić będę tego dumnego psubrata.

Jakoż Wasyl Czujko, surowy i pewny  
siebie, zajeżdżał przed obejście księdza pro-  
boszcza i, widząc bramę zamkniętą, jął wa-  
lić w nią i wołać, aby mu otworzono.

Lecz nikt się nie ukazywał. Od małej sto-  
dółki dolatywały rytmiczne uderzenia ce-  
pów, a w podwórzu plebańskim gospoda-  
rowały indyki i kury.

Musiał tedy uriadnik zleść z bryczki  
i, otwarłszy wrota, wieść konia za uzdę.  
Zły był, gdyż czuł w tem upadek swej po-  
wagi i znaczenia. Aliści przyszło wnet złe  
jeszcze gorsze. Nagle z pod obórki wysko-  
czyły dwa okrutne kundle i obaj rzuciły  
się na niego.

Bez namysłu puścił deresza i dobył cięż-  
kiej szablicy dla własnej obrony.

Rozjuszony psy docierały coraz zajadlej,  
unikając ciosów szabli i płosząc deresza,  
a jeden z nich zdradzał niepokonaną chęć  
uszczenięcia jednej z poł urzędowego pal-  
tota.

Uriadnik obracał się wokoło, niby fryga,  
krew zalewała mu mózg i policzki z bez-  
silnej wściekłości, gdyż czuł, że już staje  
się wprost śmiesznym.

Aż w końcu wyszła drobna staruszka na  
ganek i, widząc, co się dzieje, skoczyła na  
obronę zagrożonej władzy.

— Doskocz, a pójdziesz! Ratujsz, do bu-  
dy! — gromiła napastników machaniem  
rąk i fartucha.

Psy ucichły i z głuchem warczeniem sta-  
nęły opodal.

— Czy jest ksiądz? weźcież te bydłeta na łańcuch, bo zaraz spiszę protokół i sprawa oprze się o sąd — huczał srogi Czujko. Staruszka rozśmiała się serdecznie.

— A mójże, ty kochanieńki! toć to pieski łagodne i tylko figlują, a strzegą naszej chudoby jak najwierniej. Pokażże przecie, może cię skrzywdziły? wnet cię opatrzę maścią gojącą i dam ziółek na spędzenie strachu i złości.

— Nie brechaj, więdźmo, a dawaj mi tu księdza! — krzyknął jeszcze bardziej poruszony.

— Toż proszę do chaty; ksiądz, jak ksiądz, odmawia pacierze.

Zbliżyli się pod ganek, kędy już stał nieco zhukany deresz, trzymany przez kulawego woźnicę księdza.

— Konia pod szope, a nie żałuj mu tam owsa czystego! — rozkazał Czujko.

— Nie masz u nas owsa, panie, nie rodzi.

— To daj mu jęczmienia.

— Jęczmień mamy na spodzie i nie młóciliśmy jeszcze.

— Więc czymże karmi ksiądz swoje konie?

— Marchwią, panie, i sieczką — odparł zawstydzony woźnica.

— Tfu! i to ksiądz! — gniewnie zaklął urzadnik, wchodząc przez ganek do sieni.

Staruszka dreptała przy nim, wskazując na lewo drzwi do kancelaryi, położonej przy kuchni.

Już też szedł siwy gospodarz z obwisłymi brwiami i ponurem, ascetycznym wej-

rzeniem duchownego, który chętnie szuka samotności i rad rozpamiętywa bóle własne i cudze.

— Wasyl Czujko, uriadnik miejscowy, mam honor... — poważnie oświadczył przybyły.

— Wiem, bom już widział was kilkakrotnie pod kościołem w dni świąt i niedzielne.

— Z urzędu muszę tam być, kędy się ludzie gościem zbierają i trudniej o porządek.

Ksiądz boleśnie się uśmiechnął i jał żywo klaskać w dłonie, aż przydreptała staruszka gospodyni.

— Moja Tomaszowo, gościa nam Bóg dał, bądźże mu rada i nieś, co masz w chacie najlepszego.

Uriadnik nieco udobruchany, usadowił się na krzeselku i zatarł ręce od zimna skostniałe.

— Otby, ojcze, kielich staruszki na początek i co pokurzyć! — mruknął poufale

Ksiądz raźnie zakrzętnął się i za chwilę postawił na stole butelkę z płynem żółtawym, duży kieliszek i worek z grubo kraną machorką.

— Ja nie piję — odparł na zachęcające mrugnięcie uriadnika.

Ów nie dał się prosić i wychylił kielich płynu. Chrzęknął i splunął.

— Mocna, bo mocna, ale i śmierdzi okrutnie.

Ksiądz nie słyszał, bo zamyślony chodził w kółko po kancelaryi.

— Takiego tytoniu to ja w życiu mojem nie palił — rzekł drwiąco gość, dobywając własnej papierošnicy z zanadru.

— Ja nie palę, mój dobrodzieju! — bro-  
nił się ksiądz pokornie.

Po chwili milczenia Czujko, lubo z obrzy-  
dzeniem, wypił drugi kielich gorzałki.

— Czort bierz! zali, księżo, i nie pijesz,  
siedząc w tej pustelni?

Ksiądz głową dał znak przeczenia i rzekł  
od niechcenia:

— Ma się trochę spirytusu w zapasie na  
wypadek choroby bydłęcia lub wyjątkowej  
ochoty gościa.

Wtedy Czujko uczuł na języku, jakby wy-  
rażny ślad sierści bydłęcej, a w nosie  
smród dobrze znany i zawrzał słusznem  
oburzeniem:

— Mnie tu na was skarżył się już kilka-  
krotnie dzierzawca Chłystowicz i ja tu po  
tej sprawie, przyjechał.

— Czy wysłuchać skarg słusznych z mej  
strony? — zagadnął ostro ksiądz.

— Słyszeć chcę wszystko, ale to człowiek  
dobry i ma duże stosunki.

— Jest to łajdak, który okrada właścicie-  
la majątku i demoralizuje lud okoliczny na  
spółkę z żydami! — wybuchnął ksiądz.

— To nie moja rzecz, ja tego nawet słu-  
chać nie powinienem i... mogę o tem zapo-  
mnąć, coście powiedzieli — dodał Czujko  
z naciskiem.

— A cóż stanowi wasz obowiązek?

— Wszystko, co dotyczy ogólnego spo-  
koju, szacunku dla władzy i publicznej  
przystojności.

— Ten Chłystowicz zastrzelił mi w prze-  
szłym tygodniu krowę w swoim ogrodzie,  
wprzód tam ją zapędziwszy przy pomocy

podmówionego żydziaka — opowiadał ksiądz Zaranek.

— Trzeba było zrobić protokół przy mojej pomocy, a sprawa byłaby wygrana — uczył uriadnik.

— On również ściał cztery lipy, stanowiące własność kościoła.

— I za to protokół.

— On zgwałcił dwie dziewczyny, sieroty. Uriadnik się rozśmiał na to.

— Ech! w takie sprawy, księżo, lepiej nie wchodzić nikomu.

A ksiądz Zaranek stał nad nim z oczyma krwią nabiegłymi i trzęsącymi się rękami. Snać długą i bolesną była ta walka jego z występnyim Chłystowiczem, bo tracił na jej wspomnienie władzę nad sobą i cały wrzał niezwykłym oburzeniem.

— On przecie na spółkę z żydami okrada i oszukuje chłopów okolicznych i rozpaja ich wódką, którą sam pędzi skrycie w obszernym i zapuszczonym dworze.

— Nikt nie jest mocen kazać pić komu lub mu wzbronić, a co do tej ukrytej gorzelni, słyszałem już i ja o tem, ale... to nie moja sprawa.

— Więc cóż do was należy? co?... — pytał ksiądz do żywego poruszony cynizmem uriadnika.

— Już mówiłem. Ot, naprzykład, ksiądz w przeszłym tygodniu, w uroczysty dzień galowy, posłał ludzi grodzić płot od dworu. To występek poważny i ja sam nie wiem, co z tem zrobić...; nie chce się robić księdzu grubej nieprzyjemności, a tu służba, a tu mus...

Ksiądz patrzył nań drwiąco.

— Spóźniliście się, już był z takim współczuciem u mnie żandarm Jerszow i... odszedł z kwitkiem.

— On swoją drogą, a ja swoją; z tego zaś będzie miał ksiądz poważną karę.

— Mniejsza o to! Znowu mię obedną, lecz będą musieli urządzić licytację, gdyż ja nie dam ani grosza.

— Znajdą się tam pieniądze u księżulka! — poufnie szepnął uriadnik. — Lepiej przeto dziś dać połowę, niżli później płacić pięćdziesiąt, albo, i więcej.

— Niedoczekanie wasze! — burknął ksiądz i odtąd już zapadł w głębokie milczenie.

Po długim wytrzymaniu niepożądanego biesiadnika, zjawiała się w końcu uśmiechnięta Tomaszowa, stawiając na stół talerz z chlebem razowym i drugi z zimnemi ziemniakami.

Czujko patrzył, jak ogłupiały: wahał się, jak się ma zachować, czy przyjąć to za smutną prawdę i pokryć milczeniem, czy też za urągowisko i osobistą obrazę.

Ostatecznie wybrał coś trzeciego i, zrywając się na równe nogi, jął się śmiać głośno i poufale.

— Zmiłuj się, ojcze, jam nie święty i nie zakonnik! Niech mi tam gospodyni kawał kiełbasy usmaży, a popić to dajcie choćby kościelnego, bo i tak będzie na chwałę kościoła, gdy z biedy wyciągnę sługę bożego.

I śmiał się rubasznie dalej, dotykając po przyjacielsku ramienia proboszcza.

Ów zaś skoczył niby po ukąszeniu ga-



dziny i zmierzył natrętnika szyderczym spojrzeniem, mówiąc:

— Daję, na co mię stać. Obdarliście mnie z mienia, obdarliście z dochodów kościoła, który najlichszej karczynie musi ustąpić, tak jest zniszczony i stary, więc mi zabierzcie i resztę, lecz tylko na drodze przymusu. Dobrowolnie nie dam nic i znać was nie chcę!

— Lecz znać musisz i... poznasz wkrótce — odparł Czujko, z zimnym lodowatym uśmiechem.

— Kapłan jestem i odpowiadam przed Bogiem, a sumienie mam czyste wobec własnej zwierzchności i parafian.

— To was nie obroni, wasze prepo-dobje, gdyż nam dana jest władza i obowiązek czuwania nad wami. Wybierajcie tedy! Zgodę, z małemi i dobrowolnemi ofiarami, albo li też walkę w imię prawa i kary coraz dotkliwsze.

Układny Czujko to mówiąc, z drapieżnego wilka stał się krwiożerczym tygrysem. Nawet oczy jego nabiegły krwią, a pięście kurczowo zaciskały się, niby kryjąc pazury.

Z kolei ksiądz się uśmiechnął, lecz poważnie i smutno, a przytem mówił:

— Znam was już lat przeszło trzydzieści, przez cały ten czas ssaliście mię wraz z żydami i Chłystowiczem, niczem pijawki chciwe. Zatruliście mi każdą godzinę życia, napoiście mię złością i waszym cuchnącym oddechem w przymusowym uścisku. Lecz jam pozostał i dziś ten sam, lubo już stary, życiem złamany i nad miarę zgorzkniały

Bóg mię lżej za to pokarze, daruje mi te chwile gniewu, którym wybuchałem i wybucham, bo widzi, że cierpię nad miarę ludzką i cierpię za wielu mych parafian.

Wasył Czujko szeroko otworzył oczy z wielkiego podziwu:

— Księżu! co robisz? taż to bunt prawdziwy i pachnie Sybirem!

— Jam już zrezygnowany na wszystko, lecz nigdy na podłość lub płaszczenie się przed nikczemnikami.

— Ksiądz dobrodziej dziś nie w humorze. Ja to rozumiem po ludzku i jestem człowiek dobry, ja nawet... raz jeszcze i to wkrótce tu przyjadę, a z całą sprawą jeszcze trochę się wstrzymam.

— Pełń, co ci każe twoja powinność, lub wyjątkowe uzdolnienie.

— Ja nawet zrobię więcej: pomówię z Jerszowem i wezmę całą tę sprawę na swoje ryzyko. Co ksiądz na to? — zapytał głosem przyciszonym, dłonią prawej ręki robiąc ruchy wymowne.

Ale ksiądz Zaranek, nie mogąc stłumić inaczej wybuchów strasznego oburzenia, chodził szybko po pokoju i mruczał kapłańskie pacierze.

— Czysty waryat! — pomyślał sobie Czujko i zabrał się do odjazdu.

Lecz już we drzwiach obejrzał się na butelkę, zaklął z cicha i palnął jeszcze jeden kielich spirytusu.

— Oczywiście konia lub krowę smarował, lub może gorzej jeszcze, sobaczy syn!

Na dworze dereszowi działo się nie lepiej, niż jego panu; stał skulony, z sierścią

nastroszoną przy płocie, a Doskocz i Ratuł, szczerząc kły straszne, siedziały przy nim na warcie z obu stron.

— Odwołajcie psy, bo je zastrzelę! — gromko zawołał uriadnik na ten widok.

— Ej! figlarzu, daj pokój, bo gdy chybisz, rozszarpią cię w sztuki — słodko upomniała go Tomaszowa, drepcąc przy nim do bryczki, a potem aż do bramy.

Psy również szły przy niej, jakby eskortując w ten sposób szanownego gościa.

To też nie dziw, że już za wrotami Czujko targnął niecierpliwie lejcami i pomknął, jak strzała do jednej z karczem. Zawahał się chwilę, której z trzech oddać pierwszeństwo, i w końcu wybrał ryżego Fajwla, który obok karczmy trudnił się rybactwem, a w wolnych chwilach wiódł handel kontrabandą, wódką, nieopłacającą akcyzy i kradzionymi końmi.

Tu Czujko odrazu znalazł się niby w domu własnym.

Fajwel własnoręcznie umieścił deresza przy żłobie, wsypał mu owsa, poczem emoknął głośno i rzekł półgłosem:

— Wyborny koń! jak ta farba dobrze się na nim trzyma.

— Co ty gadasz żydzie?

— Gadam, co wiem: on jest trochę farbowany i na nim nie trzebaby jeździć do Wilna — dodał w formie przyjacielskiej przestrogi.

Czujko pomyślał o Hładkim i naraz uderzył się w czoło, pomrukując:

— Podlec sprytny! ależ i ja nie głupi, bo nie myślę płacić umówionej ceny.

Poczem obaj przyjaciele poszli wprost do alkierza, kędy usłużna Fajwłowa niezwłocznie przyniosła karafkę szabasówki, chałę i kilka kawałków ryby faszzerowanej.

— Podłe życie! — rzekł Czujko, rzucając na stół czapkę i zdejmując szynel.

— Ale wódka dobra u mnie, to nie ta śmierdziucha Chłystowicza, na której on zarabia po kilkaset rubli miesięcznie.

— Co ty mówisz? aż kilkaset? — zdziwił się uriadnik.

— Wiadomo, przecie wypędza ze sto wiader miesięcznie lub nawet więcej.

Czujko wtedy pomyślał, że trzydzieści rubli miesięcznej pensyi, które mu płaci Chłystowicz, jest stanowczo za małym wynagrodzeniem za jego dyskrecyę.

— Ale też i ryzykuje bardzo, gdyż w wypadku wykrycia potajemnej gorzelni przez akcyźników, straci wszystko, co ma i pójdzie do turmy.

— Jabym chciał całe życie tak ryzykować — odrzekł na to Fajwel z odcieniem zawiści w głosie — tu już przyjeżdżali nie raz i nie dwa akcyźniki, a nawet pieczętowali dom i znalezione naczynia.

— I cóż?

— A, no! nic, jest, jak było, bo ten Chłystowicz ma krewnego w głównym zarządzie okręgowym i dobrą sławę u żandar mów w gubernii.

Tu znowu Czujko pomyślał, że on sam w takich warunkach nieby nie płacił i wzięła go tkliwość, dla Chłystowicza.

— Porządny człowiek — zdecydował narzeczcie.

— To się wie, że porządny — przytaknął Fajwel, napełniając kieliszki.

Coś po trzecim czy czwartym kieliszku mocnej szabasówki, Czujko palnął dłonią po plecach żyda, aż ów przysiadł załężniony, i rzekł doń z wylaniem:

— Słuchaj, Fajwel, tyś mądry żyd, ale i ja nie głupi; mnie nudzi takie życie jednostajne, a zresztą ja potrzebuję pieniędzy, dużo pieniędzy. Zróbmy więc jaki interes we dwóch, ale interes gruby i obiecujący.

— Nie znam takiego interesu — odparł żyd żałośnie.

— No, to ja go wynajdę! — podchwycił energicznie Czujko i palnął w stół pięścią z całej mocy.

Lecz tem żyda bynajmniej nie przekonał.

— A pan szlachcie z Lubiszek? — podszepnął uriadnik, bacznie spoglądając na żyda.

Lecz Fajwel machnął ręką niechętnie.

— To żaden interes; tam ojciec siedzi cicho i czasem może dać kilka rubli dla spokoju, a syn i córki robią różne rzeczy i nie lubią dać komukolwiek zarobić

— Otóż to: dużo robią i robią rzeczy niedozwolone, to też, żeby tak splątać z nich jedno lub dwoje, możnaby z ojczulka kilka skór zedrzeć — zaśmiał się uriadnik.

— Żeby się udało splątać, ale to trudno, ostrożni są, a chłopci to aż śmieją się do nich przy spotkaniu.

— Tyś bo, jak widzę, dureń skończony, skoro nic wymyśleć nie możesz.

— A pan uriadnik dużo wymyślił? — spytał żyd drwiąco.

Czujko z powagą i skupieniem jał głądzić bokobrody. Myślą wtedy przebiegał wszystkie znane już szlaki zysków i dochodów, i wszędzie spotykał co krok to stanowego, to popa, to żandarma, to wreszcie pisarza gminnego i nauczyciela szkółki. Każdy z nich węszył równie gorliwie, jak on, a większość potrzeby miała znacznie większe i dzięki temu apetyt silniej rozbudzony. Na jego dział wyłączny zostawali żydzi i Hładkij, który pod skromnym pozorem krył w sobie herszta przebiegłego i zuchwalego watażkę. Tak, to nie ulega wątpliwości, że ten kaszlący wiecznie dziad ma w swoim ręku ster wszystkich kradzieży na okolicę i cieszy się uznaniem u towarzyszów.

Nagle Czujko dotknął ramienia towarzysza i rzekł półgłosem:

— A twojeż sprawy z Hładkim mało ci przynoszą dochodu?

Fajwel drgnął zbyt wyraźnie i zaczął łypać zaczerwienionemi powiekami, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— Ja muszę być trzecim z wami — dodał po chwili Czujko, pijąc nowy kieliszek wódki i nie patrząc na Fajwla.

Ów zaś błysnął dziko oczyma i wzruszył niechętnie ramionami, zaraz dodając:

— A co, prawda, wódka doskonała? Dam panu uriadnikowi garniec do bryczki, to się przyda na terażniejszą, paskudną pogodę.

— To swoją drogą, lecz ty mię, żydzie, nie zagaduj, lecz mów szczerze: chceszli

iść ze mną, czy beze mnie? — nalegał urzędnik głosem ochrypłym.

— Nu, pan jest bardzo prędki — zaśmiał się Fajwel w odpowiedzi.

Czujko się nasrożył. Wtedy żyd go już poklepał po ramieniu i mówił z cicha, prawie szeptem:

— Pan jest młody, to i głupi; pan myśli, że Hładkij i ja boimy się was, że to wy ni-by przejrzeliby nasze roboty, a my przecie ręka w rękę ze stanowym, żeby ja tak zdrów był, ile już razy my musieli się z nim dzielić.

— Tfu! do miliona czartów! Więc cóż dla mnie zostanie? — wybuchnął Czujko.

— Zostanie Fajwel, zostanie dobra głowa, to i reszta przyjdzie, — dodał żyd po przyjacielsku, napełniając kieliszki.

Jakoż stuknęli się po przyjacielsku i oblicze policyanta wypogodziło się znacznie, choć czuł już dość silny zawrót głowy od trunku.

— Czy pan urzędnik zna Brażysów?

— Brażysów?... coś słyszałem, wspominał mi Jerszow.

— Jerszow — to człowiek głupi; on klnie ich i przysięga, że ześle na Sybir. I co jemu z tego przyjdzie? może dostanie krest i dziesięć rubli nagrody, a może i tego nie, a straci dojne krowy i z dobrem mlekiem, a z nim razem stracimy my wszyscy.

— To prawda! osioł nadziany! mówże mi o tych Brażysach — niecierpliwił się urzędnik.

— Oni tu mieszkają w zaścianku Pasieka, o dwie wiorsty: to chłopcy, ale chłopcy

bogate i silne; stary Brażys zewsząd teraz ściąga pieniądze, bo myśli na wiosnę cały folwark, tu niedaleko, zakupić.

— Przeklęty! — mruknął Czujko.

— Stary ma pięciu synów i córkę: jeden to jest organistą przy kościele i mieszka na plebanii, drugi gospodarzy na folwarku, co mu ojciec zadzierżawił, trzeci pracuje u kowala, a dwóch jest przy ojcu w Zaścianku.

— A możnaby ich na czem podłapać?

— Trudno, lecz kiedy Fajwel pomyśli, to... może się znajdzie — odpowiedział żyd z uśmiechem, niby drożąc się ze swym planem.

— Gadajże, parchu! — nalegał Czujko.

— Tu są dwie roboty: jedna długa i mozolna i może dać trochę zarobku, za to druga... nu! co to i gadać! można od niej od razu panem zostać.

— Zaczynaj tedy od drugiej.

— Wy to, jak dziecko do zabawki, a to nie zabawka — uspokajał Fajwel, nieco drwiąco. — Trzeba wam wiedzieć, że stary Brażys ma wielkie poważanie u chłopów.

— Bierz lichu chamów!

— Tego nie mówcie: ma on zachowanie i u szlachty, bo jej pieniędzy pożyczka, a ten syn jego, co ma folwark, to był w szkołach razem z młodym Ponarem z Lubiszek i bardzo się lubią.

— Gadajże o tej robocie — warknął Czujko, szarpiając go za ramię.

— To ja muszę przyznać, że pan urzędnik ma tępą głowę. Robota tu jasna: ten Ponar z Lubiszek razem z młodymi Braży-



sami ciągle się tu obraca wśród chłopów, oni wożą i rozdają książki, książki takie zakazane, po polsku i litewsku, oni sobie często gadają i śpiewają, oni zbierają podpisy i pieniądze na nowy kościół, oni może chcą jaki bunt zrobić, — co ja mogę wiedzieć?

Czujko pilnie słuchał i z lekka głową kiwał.

— To właściwie robota dla Jerszowa, ale i ja mimochodem coś powinienem urwać.

— Bądźmy współniki, to ja jeszcze coś powiem — bąknął Fajwel.

— No, no! policzymy się w najbliższą noc ciemną — zaśmiał się policyant.

— Jak wy będziecie chcieli dusić Ponarów oddzielnie, a Brażysów oddzielnie, to nic z tego nie wyjdzie: szlachta nie da, bo nie ma, a chłopci nie zechcą. Ich trzeba wziąć sztuką i wszystkich razem: ten Brażys z folwarku to podjeżdża do panienki

Lubiszek, to jedna para, a młody Ponar z Brażysówną — to druga. Złapać ich razem przy jakiej robocie, to wtedy stary Brażys dobędzie trzosa i nie będzie żałował. To bardzo ambitny chłop!

— Fajwelku, tobie być prokuratorem lub sędzią śledczym! — wykrzyknął Czujko z zachwytem. — To interes nie zły, ale dużo czasu wymaga i trzeba z tem czekać wiosny, bo miłość lubi gaje cieniste, zmierzch wieczora i pienia słowicze — dodał z cynizmem.

— A wy to mogliby być popem — odparł Fajwel z uśmiechem.

— Będę nim dla tych zakochanych i po-

błogosławię ich kiedyś. Lecz czyż to już wszystko?

— To tylko początek, a cała robota leży w tem, że już teraz Brażys ma ciągle u siebie grube pieniądze, swoje i cudze, i trzyma je w gotówce... Że to się on nie boi, bo tam przecie w zaścianku z nim razem to tylko ośmiu chłopów, a zresztą same baby;... Aj! aj! on pewnie ma z dziesięć tysięcy rubli...

Gdy Fajwel mówił tak z cicha i niby od niechcienia, Czujko jął się kiwać na tapczanie, a wreszcie oparł głowę o poręcz i zachrapał.

Żyd jednak mówił dalej:

— Hm! żeby tak kto odważny, to teraz noce ciemne i długie, a Hładkij na zawołanie dostarczy piętnastu pewnych ludzi... choćby dać im po pięćdziesiąt rubli i poczęstunek... Fajwel musi dostać połowę zysku czystego, to on może znajdzie czarne maski dla wszystkich... On może pójść sam i pilnować tych łajdaków... Oni tam mają złe psy, ale pies lubi mięso, a Fajwel umie robić mięso dla psów... Tam niepotrzebne żadne zabójstwo, chyba w obronie życia własnego przed tem chamstwem; wystarczą dobre pałki i trochę sznurów. Krew to brzydka rzecz i trochę plami odzienie... A pan uriadnik później może sobie jeździć, kłać i robić rewizye z czystem sumieniem... Ale od tej chwili pan uriadnik i Fajwel to dwaj bracia rodzeni... albo nie z całej roboty.

Czujko ciągle chrapał, a żyd nie spojrzał

nań ani razu, lecz mruczając słowa powyższe, kiwał się, jak przy modlitwie.

Nagle policyant skoczył i przetarł oczy.

— Żydzie, czyżem spał?

— Trochę pan spał. Co dziwnego, pan przecie nie ma ani nocy ani dnia spokojnego!

— Przekłęta służba! — burknął Czujko, obciągając mundur i zapinając sprzączki od rzemieni przy szabli.

Miał się ku wyjściu. Nagle zwrócił się do Fajwla; przez długą chwilę patrzyli wzajem na siebie, niby charty ze sfor obch. Wreszcie Czujko zagadnął żyda całkiem obojętnie.

— Dobrą masz wódkę, lecz jej nie wezmę, bo ja gość w domu u siebie; ot, lepiej niech tu zostanie na przechowanie, to jeszcze zajrzę tu raz i drugi na czarę i pogawędkę.

— Zawsze rad będę — odrzekł żyd podobnie i poszedł po konia i bryczkę.

Na odjezdnem uriadnik coś niby sobie przypomniał i skinieniem wezwał go do siebie.

— Słuchajże, żydzie, a czy ja mogę tobie zaufać?

— Jak pan uriadnik chce; to wiem jedno, że mi chodzi tak dobrze o jego skórę, jak i o swoją własną.

— Patrzajże! — szepnął uriadnik i kiwnął głową na pożegnanie.

Fajwel stał jeszcze we wrotach i gonił oczyma za odjeżdżającym, aż znikł w jednym z wąwozów.

Żyd skoczył na własny ogród i zobaczył

wyraźnie, że Czujko zwrócił się na drożynę do Pasieki. Wtedy mu oczy zabłysły okropną chciwością, a z zaciśniętych zębów ledwie zdołał wykrztusić oderwane słowa:

— Śmiały goj... z takim wiele może się udać...

Lecz śmiałą wycieczkę uriadnika widział ktoś jeszcze, gdy on skierował deresza w stronę Pasieki.

Janek to Brażys stał w progu kuźni i, na ten widok, rzekł zaraz do Staszka:

— Nie chybi, że ten pokurcz pojechał do naszych.

— Kto taki? — spytał Mażul, nasadzający szynę żelazną na nowe koło.

— A uriadnik psia-krew!

Kowal wnet porzucił robotę i szedł patrzeć wespół z pomocnikiem.

Już się miało ku zachodowi słońca.

W ciszy naokół można było słyszeć równie dobrze ochryply głos Tomaszowej na plebanii; warczenie młocarni na folwarku, jak wrzaski bachorów w osadzie. A obok tego słyhać było miarowy tętent kopyt i turkot bryczki po grudzie.

Staszek pogonił oczyma w stronę zaścianka i z łatwością poznał deresza i Czujkę.

— I cóż ty? — krótko spytał Janka.

— Skoczę, czy co?

— To pójdziem lepiej oba — rzekł kowal, odpinając fartuch.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy już szli w stronę zaścianka czysto umyci i w nowych świtkach samodziiałowych. Snadź iężka praca dnia całego nie wyczerpała

jeszcze ich sił młodych, bo szli w podskokach lub gonili się wśród śmiechu i swawoli. Janek zaś ustawicznie kołował, jakby pragnąc wydłużyć drogę do zaścianka, to znowu hukał sobie głośno, naśladując ptaki i zwierzęta.

A Czujko już dojeżdżał do zaścianka i spotkał na swej drodze śpiesznie idącą w tymże kierunku postać niewieścią. Niosła spore zawiniątko pod pachą i, obejrzawszy się na turkot bryczki, wyraźnie przyspieszyła kroku. Zręczne ruchy i cała figura zdradzały młodość i siłę.

— W jedną stronę spieszymy, ładna panienko, to może podwożę — zaproponował uprzejmie.

Nieznajoma obejrzała się szybko i poznała nieproszonego towarzysza, który zwykł włóczyć się wszędzie i głośno dawać znać o sobie.

— Nie wiem, dokąd pan jedzie, ale to wiem niechybnie, że drogi nasze zawsze się rozchodzą — odparła głosem śpiewnym, choć poważnym.

Czujko już ocenił jej urodę i dostrzegł prześliczne warkocze dziewczęcia, więc prosił dalej nader łaskawie:

— Nie lękaj się, moja piękna, jam przecie nie tak straszny i będziesz ze mną bezpieczna razem z tym ciężarem, który dźwigasz.

Dziewczyna raz jeszcze obejrzała się, lecz teraz już z wyraźną obawą i pomieszaniami.

— Płótno niosę od brata, a to przecie ciężkie.

— Ejże! czy płótno? — krzyknął kawaler, dopędzając idącą i skacząc z bryczki, by ją pochwycić.

Wtedy dziewczyna jednym susem uskoczyła na pole i ruszyła wprost przez zagonny do wyraźnych już zabudowań zaścianka.

A biegła niby sarna strwożona przez myśliwca, bo niosła pod pachą kilkadziesiąt książeczek świeżo przywiezionych przez brata z Wilna.

To też zdyszana wpadła wprogi chaty i rzuciła wnet starej kobiecie, stojącej przy piecu krótkie ostrzeżenie:

— Matusiu, uriadnik tu jedzie!

Staruszka, nie mówiąc ani słowa i nie tracąc chwili czasu, odniosła książki do komory, wynosząc natomiast kilka zwojów grubego płótna.

— Tak mu też mówiłam, gdy mię gonił poganin — szepnęła Helka, zdejmując chustkę i watowany kaftan.

— Gdzież tatko i chłopcy? — spytała trwożliwie.

— Jeszcze nie wrócili od stogów, a tu by koniecznie trzeba kogoś dla takiego gościa — kłopotowała się staruszka, spoglądając w okienka chaty, już zmierzchem wieczornym zamglone.

— Spuszczę psy i zawołam pastucha — spieszyła z radą Helka.

— Dobrze, dziecko, a niech i dziewczęta zamkną gumno i przyjdą do chaty.

Dziewczyna wnet ruszyła spełnić zlecenia, ale już było za późno. Zaturkotała bryczka i na ganeczku uriadnik schwytał ją wpół.

Wydarła mu się z ramion, aż się zatoczył i wpadła z powrotem do chaty, cała płonąca z oburzenia i wstydu.

Ów zaś szedł, brzęcząc szabliskiem i czując się w przedziwnym humorze.

— Jak się masz, stara! — witał Braży-sową, oczyma przyłgnąwszy do wdzięcznej postaci Helki.

Dziewczę bo też świeciło krasą i wdziękiem w pięknym stroju ludowym. Ładny gorsecik więził pierś dziewczą, a sznury koralu i bursztynu pięknie okalały piękną twarz litwinki. Nawet oburzenie przydało jej urody, bo oczy połyskiwały iskrami gniewu, a na licu zakwitły rumieńce zakłopotania.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała staruszka, dając tem do zrozumienia przybyszowi, iż zapomniał o obowiązującym pozdrowieniu świętego imienia.

Poczem w milczeniu wskazała mu ręką izbę sąsiednią, snadź przeznaczoną na zwykłe przyjęcie gości.

Czujko zdjął szynel i, rozcierając dłonie, tak prawił rubasznie:

— Ja do gospodarza, lecz nie pilno mi go widzieć teraz, gdy jest komu go zastąpić, a pewnie na tem nie stracę.

To mówiąc, spoglądał zalotnie na Helkę i szastał nogami po podoficersku. Szedł zatem do izby wskazanej, prawie pewny, że dziewczyna pośpieszy go bawić i podziwiać.

— Ja na służbie tylko ostry, a w gości nie rad sobie gawędzę z każdym, szczegó-

niej z ładną dziewczyną — powiedział, jakby dla ośmielenia prostoty.

Matka z córką zamieniły spojrzenia i ruszyły wzgardliwie ramionami.

Uriadnik tego nie widział, bo szedł wokół izby, patrząc na sprzęt dostatni i liczne obrazy.

Uderzyły go trzy spore portrety fotograficzne w ramkach.

— A to kto? — zapytał, wskazując na Mickiewicza, Kościuszkę i Syrokomlę.

— To nasi pośrednicy, panie — odparła staruszka, powstrzymując Helkę.

— Nic sobie chłopcy! — łaskawie pochwalił i rozwalił się na tapczanie, okrytym domowym kilimkiem.

A dziewczyna stała w kuchni, śmiech dusząc w sobie i rozmyślając, jak trafnie matusia nazwała pośrednikami\*) tych trzech drogich i ukochanych. Jużci nie skłamała, bo są to pośrednicy między ludem cierpiącym i zbolałym i wszech potężną Opatrznością.

Więc pozbyła się załęknięcia i krzątała się w kuchni przy zwykłych zajęciach domowych, gdy matka w poważnej zadumie stała wsparta o trzon pieca.

Ale gościowi taki stan rzeczy nie dogadzał, więc huknął śmiało:

— A chodźcież tu która! a lepiej młodszą, to się prędzej zrozumiemy, bom nie nawykły wzdychać w samotności.

---

\*) Pośrednikami w Rosyi są specyjalni urzędnicy, mający za zadanie czuwać nad stosunkami dworów i chłopów.



Jak na to zatupotało nóg kilka przed chatą, a po chwili wszedł do kuchni stary Brażys z dwoma synami, a wszyscy szli, niosąc widły w rękach i powrozy.

Stary gospodarz poszeptał o czemś z żoną i, skinąwszy na synów, szedł wprost do izby gościnnej, nie zdejmując kozucha i nie rzucając wideł i powrozów.

— Otóż jesteśmy, panie, i radziśmy gościowi — mówił powolnie Litwin, a obaj rośli chłopcy uśmiechali się, stojąc przy jego boku.

Czujko na razie stropił się, widząc taką procesyę, ale po chwili już śmiał się i łażał:

— Ot chamy prawdziwe! jak stał przy robocie, tak i lezie do chaty. Ty, stary, siadaj, a parobków pędź z izby, dla nich miejsce w odrynie lub stajni.

Staruszka na poparcie słów jego przydreptała z kuchni i jęła odbierać widły i powrozy.

— Toćże nie wilk tu zasiadł, tylko człowiek i to figura!

— Cha, cha! prostota! — śmiał się udobruchany dygnitarz, gdy chłopcy wymknęli się z chichotem do pierwszej izby.

Wtedy Brażys nałożył fajkę, poszedł po węgielek do ogniska i, wróciwszy, tak mówił powolnie:

— Z czemże pan uriadnik do nas przyjechał?

— Z gardłem i z gębą, a język przytem się rozwiąże, bo jest i o czem gadać.

— Można — odparł gospodarz krótko i szedł do kuchni dla wydania rozkazów.

Za chwilę staruszka ukazała się z dymiącą kielbasą i nogami wieprzowemi na zimno, a jeden z synów przyniósł chleb i gorzałkę.

— Pożywajcie i pijcie na zdrowie — rzekł gospodarz, nie porzucając fajki.

— To przepijże stary do mnie! — zachęcał Czujko.

— Wybaczcie, jam stary i nie służy mi pod noc jadło i napitek — usprawiedliwiał się Brażys, a w duchu aż dygotał cały na myśl przełamania chleba i zamiany czarki z obmierzłym wrogiem pod swym dachem.

Za to z kuchni dolatywał gwar wesoły i głośne stukanie łyżek i mlaskanie ust smakujących.

Rad nie rad, Czujko ucztował sam, na próżno kilkakrotnie domagając się towarzystwa i wesoło zagadując do gospodarza. Ten siedział w cichości pod piecem i odpowiadał niby z musu.

— Jakże tam z branką? pewnie dajesz chłopca którego w tym roku? — spytał wreszcie gość.

— Pójdzie średni.

— Bieda! lecz i na to jest rada, jeśli trząśniesz kieszenia i trafisz w Wilnie na dobrą drogę; ja sam bym mógł być wam w tem pomocny.

— Niech swoje odsłuży, to już ostatni, bo najmłodszy skorzysta z ulgi — odrzekł posępnie stary.

— Żałujesz grosza, stary, a masz go przecie dosyć.

— Nie liczyłem go z panem, to i nie wiecie.

— Aleś znany z dostatków! — śmiał się uriadnik.

— Ludzkie gadanie! Wszakci i o panu ten i ów gada, że ochoczo wszystko garniecie ku sobie, a przecie temu trudno dać wiary.

— Ty, stary, nie szczekaj! — wrzasnął wściekły Czujko, zrywając się z siedzenia. Brażys tylko ręką machnął i milczał.

W kuchni też przycichło, a we drzwiach stanęli obaj chłopcy, śledząc oczyma poruszenia gościa.

— Co mi jeszcze powiecie? — spytał gospodarz po krótkiej przerwie.

Czujko przeszedł się po izbie wzburzony i stanął wreszcie do oczu Litwinowi:

— Ot, co powiem jeszcze. Tu z ciebie wszyscy nie radzi: skarży się gmina, skarży żandarm i nauczyciel szkółki, a nawet pop i stanowy patrzą na ciebie krzywo. Jam dotąd stał po twojej stronie i bronię, jak mogę, ale mi to dojadło, bom ci nie brat i nie swat, a służyć i żyć muszę.

Odsapnął Czujko po tej przemowie i bacznie patrzył na starca. Ten zaś raz jeden tylko błysnął oczyma, lecz odparł spokojnie:

— To mię już chyba wypuście z opieki, niech się dzieje wola Boża.

— Pożałujesz, stary! — syknął uriadnik.

— Niech tam! — odparł Brażys, również powstając z miejsca.

A patrzył takimi oczyma, że Czujko mniej pijany, mógłby tam dojrzeć ogrom nienawiści, a nawet zuchwałego wyzwania.

Lecz jego już całkiem mroczył trunek w tyłu dozach podczas dnia wypity. Jakby nie pamiętając słów groźby tylko co rzuconych, ścisnął chłopą kordyalnie za rękę i szedł zaraz do kuchni.

Znalazł tu zgromadzenie bardzo liczne i poznał obu kowali z kuźni.

— A wy tu co robicie?

— Toż jeden chłopiec mój, Janek, a i drugi tutejszy z zaścianka i tu ma ziemię — tłómaczyła staruszka.

— Czy tu u was zawsze tak ludno? —

— Młodzi garną się do młodych.

W tej chwili zdało się uriadnikowi, że Staszek Mażul serdeczniej uśmiechnął się do Helki, a ona mu odpowiedziała wdzięcznym spojrzeniem.

— Ot próżniaki! — zgromił wszystkich, ryczałem.

Odpowiedziano mu śmiechem wesołym i niepohamowanym.

— Durnie, milczeć! — ryknął wtedy dziko. Ale Brażys zażegnał bliską awanturę.

— Janku, przyprowadź konia pana uradnika, a ty, Boles, pomóż ubrać się panu — krótko rozkazał.

Wasył Czujko zachnął się i zadumał; on jeszcze nie miał zamiaru wyjeżdżać, a dałby wiele za godzinę zabawy z Helką. Podumał tedy i splunął wreszcie z pogardą:

— Nie mówiłem? podle chamy i basta!

Na te słowa wzgardliwe zacisnęły się pięści młodych Litwinów, a ten i ów mruknął coś po litewsku, niby hasło znajome lub słowo zachęty.

Ale stary Brażys czuwał.

— Nie to, dzieci! odprowadźcie pana uriadnika do wrót, a nawet i dalej, za zaścianek, — rozkazał.


A w dziesięć minut później, kiedy ucichł turkot odjeżdżającej bryczki i chłopcy wrócili do izby, rzekł do nich stary poważnie i uroczyście:

— Widzieliście, jakim jest wróg: nie śmiechem go brać, nie drwinkami, lecz milczeć, zęby zacisnąć i trzymać się dalej, — dalej od zarazy.

— Tatku, a gdy strzymać nie będzie można, gdy pohańbi kogo z bliskich? — spytał z cicha najmłodszy, Janek, ulubieniec ojcowski.

Stary wyprostował się, niby dąb i groźnie wstrząsnął pięścią...

Młodzi to zrozumieli.



---



## „Niebłagonadieżni“ spiskują.

O pięć wiorst od Kropian, a dwie tylko od Kopliszek, na wyniosłem wzgórzu rozłożył się malowniczo dwór lubiski.

Rodzina Ponarów już od lat dwóchset włada w tych stronach znacznemi ziemi obszarami, choć w ostatnich już latach mocno uszczuplonemi. Powstanie ostatnie przyprawiło ją o stratę Kopliszek, które, po skonfiskowaniu przez rząd, zostały sprzedane za dziesiątą część wartości jednemu ze służalców Murawiewa.

Lubiszki z 80 włókami roli, łąki, lasów i obszernych jezior, ocalały jeno dzięki tej okoliczności, że Leon Ponar miał w czasie powstania dwie małoletnie siostry. Wygnany z kraju i skazany na rotę aresztanckie i osiedlenie w Syberyi, wrócił do kraju dopiero po latach dziewięciu. Wrócił do Lubiszek, które okupił dwiema mogiłami ukochanych sióstr.

Jakże smutna i rozrzewniająca zarazem instalacya ponowna na ojczystym zagonie! Toż od chwil tych została mu na twarzy smętna powaga, a w piersi zamknęły się głosy porywów młodzieńczych i zapału. Atoli drogę życia zaszedł mu anioł-dziewi-

ca i, raz podawszy mu dłoń do wspólnej wędrówki, stał odtąd wiernie przy jego boku. Z latami włosy obojga, posrebrzył wiek, wszystko naokół widzieli w ruinie i upadku, zmieniali się ludzie i okoliczności, lecz ich uczucia oparły się zmianie i przetrwały w świeżości. Sąsiedzi zwolna się rozpierzchli. Paru magnatów sprzedawało swe dobra obcym przybyszom a kilku drobniejszych uległo w walce z brakiem środków i fachowego uzdolnienia.

Leon Ponar został niemal sam jeden. Lecz dobrze mu z tem było: syn dorósł i dwie córki przebywali pod jego dachem i poiły serce ojcowskie zadowoloną dumą i szlachetnem rozradowaniem.

Zresztą odwykł już poniekąd od gwarnych zebrzań towarzyskich i wprost nudził się w Wilnie, ilekroć interesa majątkowe lub ciekawość zagnały go tam choć na dni kilka.

Od dwóch już lat, to jest od powrotu Henryka z Dublan, powierzył mu rzędy majątku, a sam, jak zwykł mawiać, poszedł na emeryturę. Więc trochę polował, dużo czasu trawił na ostateczny układ i skatalogowanie niezwykle bogatych zielników, a zresztą rad z książką przesiadywał w obszernym swym gabinecie.

Właśnie po dłuższych mrozach spadł pierwszy śnieg trwalszy i już od kilku dni ujął świat w miękką a puszystą biał, co doń przylegała coraz silniej i serdeczniej na długie noce grudniowe. Bogata okiść zawisła na drzewach i krzakach, tworząc ogrom fantastycznych wzorów i dekoracyj,

tylko budynki, ludzie i zwierzęta ciemniały tem silniej na ogólnem tle połyskliwej, iskrzącej się białości.

W obszernej jadalni dworu szumiał samowar, a stół już okrywały dostatnie przybory do rannego posiłku.

Suchy i kościsty, a wysoki pan domu właśnie wszedł tu krokiem powolnym i popieszył spojrzeć na termometr i barometr.

Snadź zadowolili go wskazania, bo zatarł dłonie z wyrazem cichej radości. Zaledwie sprawdził na zegarze, że już jest ósma, gdy z brzękiem kluczyków i wśród radosnych podskoków wpadła do pokoju młodsza córka, Marylka.

— Tatusiu, dzień dobry! — wykrzyknęła wesoło, całując twarz i dłonie ojcowskie.

Spojrzał na zgrabne i ładne dziewczę, w góralski serdak odziane, i gorąco je przycisnął do piersi.

— Przyjmże życzenia, drogie dziecko, by ci życie dało wiele radości, a mało zawodów.

— Drogi mój i kochany! — szeptała pieśczośliwie solenizantka.

Ale po chwili z minką figlarną i uśmiechem stanęła przed ojcem i pytała:

— Tatusiu, a gdzież upominek zapowiedziany?

— Będzie, dziecko, będzie, lecz winien tu ten niegodziwy pan Jerzy, który widocznie w Wilnie zapomniał o mej prośbie i o samej solenizantce — odparł ojciec z uśmiechem.

Dziewczę na jedną chwilę oblekło się w chmurę doznanego zawodu lub tylko za-



dumy, lecz wnet podskoczyło radośnie i pewne siebie :

— Przyjedzie niezawodnie, zobaczy tatuś, teraz proszę na śniadanie.

Za chwilę do jadalni przyszła starsza, Wanda, a wkrótce po niej wpadł z hałasem i okrzykami Henryk. Wycalował siostrę serdecznie, wywinał z nią młynka na prędcę, a wreszcie wręczył spore pudło drewniane.

— Oto mój podarunek na ucztę dla ciebie i twych gości; na szczęście nie powierzyłem go Jurkowi, którego gdzieś wilki zjadły w drodze !

Wanda również przystąpiła z życzeniami i zawiniątkiem.

— Zrobiłam ci, Marylko, jak mogłam i umiałam, świtkę ludową, której tak zawsze pragnęłaś — rzekła wśród tkliwych uścisków.

Dziewczę, pełne radości i rozrzewnienia, ujęło wnet białą sukienką odzież, ozdobioną granatowemi sznurkami i niezwłocznie włożyło zamiast serdaka.

Jakoż było jej prześlicznie, zwłaszcza gdy po chwili Wanda przyniosła zgrabną konfederatkę i przystroiła jej głowę.

— Niczego sobie dziewczyna ! — pochwalił Henryk, a ojciec wodził za nią długim i pieściwem spojrzeniem.

Z dwu sióstr Wanda była piękniejsza, lecz miała w wyrazie twarzy wiele spokoju i powagi, za to Marya wypełniała sobą cały pokój, tak biło z niej życie, to w śmiechu serdecznym, to w szybkich i zręcznych ruchach.

— Od trzech godzin jestem na nogach

i omdleвам z głodu, a ty, się stroisz, świergotliwa dziewczynko! — żartobliwie zajęczał Henryk.

— Heniutku, mój drogi, natychmiast! — odpowiedziała pokornie, zdejmując świtkę i spiesząc do samowaru.

Mimowolnie spojrziała raz i drugi na zamkniętą skrzynkę.

— Za tyle pokory w nagrodę otworzę już skrzynkę — dodał brat z uśmiechem.

— Nie dobry, więc myślisz, że mi tak pilno do tych łakotek?

— Ha! choćby dla osłodzenia tych gorzkich chwil oczekiwania, jakie przebywasz już od godziny — żartował dalej, odbijając wieko pudła.

— Ach! ileż tu tego! — wykrzyknęła Marylka — uczestuję dziś wszystką działwę swoją a nawet i tobie dam trochę na prezent do zaścianka — dodała z żartem wesołym.

Henryk na te słowa leciuchno się zarumienił, co nie uszło baczności sióstr. Wanda spojrzeniem poskromiła swawolnicę, a do brata zwróciła się z tkliwą pieśczołą:

— Zostań, Heniu, dziś z nami, to spędzimy cały dzień ze sobą dla uczczenia solenizantki.

— Owszem, nie mam przeciwko temu, muszę tylko wyjść na godzin parę nad jezioro, gdyż już tam poszli z niewodem i przyborami i zaciągniemy kilka toni.

— Powinny być szczupaki i okonie — zrobił uwagę ojciec.

— Tylko te właśnie zabiorę, a wszystkie

inne ryby puszczyć do jeziora i tego właśnie muszę osobiście dopilnować.

— Więc weźmiesz nas z sobą, braci-szku? — zaproponowała Wanda.

— Ja nie mogę — dodała Marya.

— On przed obiadem nie przyjedzie — zapewniał Henryk z uśmiechem.

— Muszę czekać obudzenia mamy i pierwsza ją powitać w dniu dzisiejszym — broniła się niezakłopotana.

Ojciec skinął głową w milczeniu na te słowa i spojrział pytająco na syna.

— Za chwilę Michał zajedzie, pisarz również przyjdzie na czas już przygotowany na wycieczkę.

— Jakto! to i tatuś myśli od nas uciekać? — z odcieniem niepokoju w głosie spytała Marya.

— Wróć na obiad — odrzekł dobrotliwie.

Jakoż w tej chwili głośno odezwały się gończe psy przed gankiem, a stary pisarz raźnie uderzył w trąbkę na podwórku.

Ruszyły się dzieci. Henryk obejrzał dubeltówkę, torbę i ładunki, a dziewczęta w mgnieniu oka napełniły oplataną flaszkę starką i ułożyły w koszyczku dostatnią przekąskę.

— Dla leśników zabrał już pisarz, mówiłem mu o tem — dodał brat jeszcze.

Gdy trąbka ozwała się po raz drugi, proste sianie jednokonne cicho zaszły przed ganek i zabrały drużynę myśliwską.

— Na twoje to szczęście zapolujemy! — rzekł ojciec, żegnając wszystkich troje na ganku i lekko dotykając ramienia Marylki.

Rodzeństwo wróciło do jadalni.

— Niegodziwy ten pan Jerzy! — cichutko szeptała Marylka, zwracając się do siostry.

Ale i Henryk posłyszał.

— A tak! teraz niegodziwy i oczekiwany z upragnieniem, a gdy się ukaże będzie musiał znosić setki grymasów i fantazyi, wy wszystkie jesteście jednakie.

— A wy jesteście nieszczęśliwymi ofiarami? — drażniła się Marylka.

— Tak znowu nie, bo nam przecie nie przesłaniacie sobą całego świata i wszystkich zadań życia.

— Ejże! Heniutku, udajesz senzata — wtrąciła Wanda.

— Odsądzamy ciebie, Wandziu, od głosu w tej sprawie, gdyż nie masz jeszcze żadnej praktyki — żartował brat, kończąc śniadanie i powstając od stołu.

— Więc tem baczniej mogę was obserwować i badać.

— Wymawiam to sobie, Wandziu, i proszę o... o... — rzekła Marya załęczniona.

— O niewidzenie lub dyskrecyę — dodał szybko brat.

— Ani trochę!

— Więo o cóż? — nalegali oboje na nią.

— O poszanowanie tego, co wzrastać powinno jeno w blaskach słońca i kędyś w głębi serca.

— Jedno wyklucza drugie — zrobiła uwagę Wanda.

— Ja tego nie znajduję, Marylka ma słuszość: ona przecie ma rumieniec dla słońca, a rozkoszne uderzenia serca dla

owej głębi ukrytej niby — bronił Henryk zakłopotanej.

— Zaraz to zresztą sprawdzimy — upewniła Wanda, bacznie spoglądając w okno.

W tem dzwonek uderzył przed domem raz, drugi i dziesiąty, i urwał się pod gankiem.

— Pan Jerzy! — krzyknęła Marya radośnie; a Henryk pospieszył na spotkanie gościa.

Zaledwie siostry zdołały nieco uporządkować zastawę stołu, gdy weszli obaj.

Gość wzrostem jeszcze prznosił wysokiego Ponara, a twarz jego łagodna promieniała uczuciem radosnem.

Szedł trochę nieśmiały i pochylony.

— Muszą mi panie darować ten strój podróżny, gdyż jadę prosto z Wilna.

Oczyrna wskazywał jakby na swoją kurtkę samodzielną i wysokie buty, a szeroką, od mrozu czerwoną dłonią ścisnął rękę panienek.

— A co! nie mówiłam! — tryumfowała Marylka w pierwszym porywie młodego uczucia i dumy.

Ale ją Wanda leciuchno ujęła pod ramię i tem właśnie przyprawiła o straszne zakłopotanie.

Jerzy Brażys, chłop litewski i kolega szkolny Henryka, stał przed swoim szczęściem jeszcze bardziej onieśmielony i podawał wiązanek świeżutkiego kwiecica.

Dziewczę splecione wzięło w ręce wonne konwalie i fijołki i machinalnie przytuliło do twarzy.

— Wspaniały trubadur! więc całą dro-

gę z Wilna wiozłeś te kwiatki w wacie i w rękę, narażając się na odmrożenie kilku palców? — żartował Henryk.

— Jakże można? — szepnęła Marya.

Oboje stali wprost siebie zakłopotani i nad miarę szczęśliwi.

— Chciałem w wazonikach, ale nie było — tłumaczył się Jerzy.

— I ktoby uwierzył, że ten człowiek umie rozkazywać tysiącom, a jednym ruchem ramię wyrzucił niedawno w górę godnego pana Sidorenkę? — niby oburzał się Henryk.

— Nie pleć Henryś! — bronił się Jerzy.

— Siadajcież, panowie, do stołu, herbata gorąca w tej chwili bodaj jest najpotrzebniejsza dla pana Jerzego — zaproponowała Wanda, wyęczając siostrę przy stole.

— Jurgis, palniem staruszki! — zachęcał Henryk.

— Wolę herbatę.

Rozmowa zaczęła się ożywiona i śmiechem przeplatana, a Jerzy przyniósł z przedpokoju całą masę pakunków.

— Wszystko, zdaje się, załatwiłem.

— Więc i uprząż moja, którą tatuś mi obiecał? — spytała Marya.

— Jest i niezwykle piękna, a z pewnością klucz będzie w oczy wszystkich naszych dygnitarzy tutejszych — upewniał Jerzy.

Połączonemi siłami obaj młodzieńcy rozpakowali uprząż, prawdziwą krakowską z brzękadłami i płachtami.

— Wścieknie się Jerszow, a utoną w złotci własnej pop i Sidorenko — śmiał się Henryk.

— Żeby jednak ojczulek nie miał stąd kłopotu? — troskała się rozważniejsza Wanda, gdy siostra promieniała z zachwytu.

— Ubioreę Grażynę dziś jeszcze i pojedziemy na spacer do Kropian — odgrażała się dziewczyna.

— Nasi działacze tutejsi to może i nie znają tych ostrych przepisów wileńskiej policji — uspokajał Jerzy.

— To siedźcież tu sobie i gadajcie, ja spieszę na jezioro — rzekł Henryk po chwili.

— Pana Jerzego zatrzymujemy na cały dzień — serdecznie prosiła Wanda.

— Więc niech pójdzie do mojego pokoju i przypadnie do poduszki na kilka godzin — dodał Henryk.

— Zaraz tam pošlę kogo — skoczyła Marya.

Lecz Jerzy oparł się stanowczo, nie jest bowiem zmęczony ani trochę a rad posiedzi godzinkę przy pogawędce.

— Nawet mogę pójść z paniami na jezioro, poczem dojadę do siebie i wpadnę do zaścianka.

— Proszę powiedzieć rodzicom, Heli i braciom, że dziś koniecznie muszą przyjechać do nas wieczorem — prosiła Marya serdecznie.

— Nasi rodzice życzą sobie tego bardzo — dodała Wanda przyjaźnie.

— Dziękuję paniom — odrzekł Jerzy z uczuciem.

Potem zasiedli we troje do rozpakowania reszty paczek. Jerzy przywiózł dużo książeczek polskich i litewskich, a w zanadrzu nieco pism zakardonowych. Cieszyli się te-

dy tą nową zdobyczą, sprowadzaną stale za własne oszczędności, i już układali plany zużytkowania najlepszego.

— Ja już tylko sprzedaję książki — pochwalił się Jerzy.

— Ja wolę darowywać — dodała Wanda.

— Jest w pani dużo szlachetnej i szlacheckiej wspaniałomyślności, ja wolę regulować stosunki z współbraćmi na podstawie ich własnej, już dobrze zrozumiałej koryści, i w ten sposób oszczędzać dla tych, którym na książki braknie istotnie.

— Ależ tu prawie wszyscy są biedni — wtrąciła Marya.

— Tak nie jest, zapewniam panią, lecz trzeba patrzeć na ich byt nie z punktu potrzeb i urządzeń dworu w Lubiszkach — odparł Jerzy gorąco.

— Lecz musi pan przyznać, że pieniądź psuje serdeczność stosunku i przynosi zapach jakiegoś niby handlu.

— Taki handel jest tylko zaszczytny, a to co się traci na idealnej stronie stosunku z pozoru, odzyskuje się stokroć w podniesieniu godności ludu. Niech lud nie staje przed dworem w roli żebraka lub stale obdarowywanego, bo to go zawsze poniża a często demoralizuje.

Jerzy to mówił z zapalem niezwykłym i ogniem w źrenicach.

— A zawsze pan umie głębiej sięgnąć do serc ludzkich i wydobyć prawdę istotną — odpowiedziała Wanda.

— Więc nawet dziatwie mej nie mogę dowolnie rozdawać elementarzy? — żaliła się Marya.



— Elementarz jest wyjątkiem i także upominek jest dozwolony, to też jeżeli pani pozwoli, składam w jej ręce sto egzemplarzy już oprawionych i proszę je rozdać podług upodobania — poprosił Jerzy, kładąc jedną paczkę na stronie.

Za chwilę Wanda zagłębiła się w przeglądaniu otrzymanych pism i broszur i w tym celu usiadła pod oknem, więc Jerzy i Marya zostali sami przy stole.

— Tak mi dziś było pilno do Lubiszek — mruknął Litwin.

— Bo pan jechał z prochem i dynamitem — drażniło się dziewczę, wskazując ręką na surowo zabronione druki.

— Nie to! — mruczał żałośnie.

— Proszę prędko wracać i nie spóźnić się na obiad, a koniecznie zaprosić wszystkich swoich. Niech pan prosi Helę, ażeby wybrała się do nas odrazu na dni kilka.

— Popsują mi tu panie prostaczkę swoją dobrocią.

— A proszę zabrać z sobą wiolonczelę, urządzimy koncert dla mamy i tatusia.

— Dobrze, panno Maryo.

Stał jeszcze chwilę zakłopotany, a wreszcie podał dziewczynie dużą paczkę i błagał:

— To »Lituania« Grottgera — niech pani to przyjmie dziś... od Litwina.

— Panie Jerzy, czy to się godzi? wszak to rzecz kosztowna i tak trudna do sprowadzenia — szepnęła Marya niemal ze łzami w oczach.

— Nie ja to pani daję, to dają ci wszyscy biedacy, którym twoja ręka tylekroć

otarła łzę z oczu, którym tylekroć pani niosła książkę, lekarstwo lub pociechę serdeczną — rzekł silnie wzruszony.

Dziewczyna uczuła, że dalszy opór i słowa będą nie na miejscu. Więc wzięła dar wspaniały i wyciągnęła rękę do przyjaznego uścisku, a Jerzy na chwilę przylgnął do niej ustami i całe swoje kochanie złożył wtedy u stóp dziewczyny.

A gdy już ją zegnał ostatniem spojrzeniem, podała mu z wiązanki kilka kwiatów wonnych, mówiąc:

— Należy się to panu w imię tej przyjemności, jakiej doświadczam na widok ulubionych kwiatków.

Ukrył dar skwapliwie i stał przez chwilę wyniosły i pogodny. Odbiegły go troski i ludzkie rachuby, bo cały utonął w odczuciu jej promiennego spojrzenia i tkliwego uśmiechu. Mogło się zdawać, iż modlił się w duszy, by mu ludzie nie odjęli choćby wspomnienia tych chwil, by nie zbrudzili czystego uczucia przystosowaniem względów rozlicznych.

— To i pożegnam panie — rzekł w końcu głosem nieco drżącym.

Już wyszedł a za chwilę pomknął sankami, sam się powożąc, gdy Marya pogarnęła się w uścisku do siostry.

— Więc go kochasz, moja ty figlarna Marylko? — spytała ta, oddając pieczętę.

— Jak duszę własną — odparło dziewczę z łezką w oku.

A Jerzy podjechał do jeziora, aby się rozmówić z przyjacielem. Właśnie podciągnięto głęboką matnię pod szerokie okno,

wycięte w lodowej skorupie jeziora, i Henryk starannie rozglądał się w zdobyczy, hamując chciwość kucharza i ogrodnika.

— Patrz, Jurgis, ile przyjemności doświadczam już po dwóch latach od czasu wypędzenia żydów. Oni myśleli, że uknutą przeciw mnie znową narażą mnie na poważne straty, a tymczasem tylko zysk mi stąd przyjdzie. — Przez te dwa lata moje karpie już dobrze podrosły, a i karasie są liczne, w trzech zaś innych jeziorach mam już łososie, sielawę i sigi.

— Więc czas już obejrzeć się za drogami zbytu.

— Myślę już o tem; jeśli nie skłonię miejscowych handlarzy do zakupów ryczałtowych po cenie umówionej i zabezpieczonej kaucją z ich strony, będę zmuszony przejść całkowicie na system połowu zimowego. Wtedy rynki Warszawy i Petersburga będą miał dla siebie odkryte.

— Zgoda, wtedy i ja dołączę zdobycz z naszych jezior.

— Nie damy się! — wykrzyknął Henryk, częstując przyjaciela papierosem.

— Paniczu, mamy tu dwa duże szczupaki i z dziesięć starszych okoni — zawołał kucharz, poznawszy zawartość matni.

— Dawajcie tu tych rozbójników!

Jakoż wnet wyrzucono ryby na śnieg, a Henryk własnoręcznie włożył je w sanki przyjaciela, mówiąc:

— Zawieź to matce i ciotce Mazulowej odemnie.

— Jeśli pozwolisz, połowę zostawię u proboszcza w Kopliszkach.

— Jak chcesz, ja bo nie lubię tych jego dziwactw prostaczych, które równie dobrze nam szkodzą, jak i wrogom naszym — powiedział ciszej.

— Uprzedzasz się, Henrysiu, lecz później o tem, teraz zaś umyślnie podjechałem, ażeby cię uprzedzić, że w Wilnie już deptał mi po nogach szanowny Fajwel. Wyjechałem umyślnie w nocy i jechałem bocznymi drogami, bo jestem pewny, że on mię szpieguje przy pomocy swych współwierców. Niechże tedy to wszystko, com przywiózł z Wilna...

— Bądź spokojny, matka nad tem czuwa i skryją to natychmiast w miejscu bezpiecznym.

— To dobrze.

— Czy Bolesł jeszcze nie odjechał do Wilna?

— Dopiero jutro pojedzie, już go naznaczyli do gwardyi w Petersburgu.

— Aha! chętnie tam biorą synów Litwy i Białorusi, aby tem łatwiej zaszczepić w młodych głowach i sercach truciznę zdrady względem własnego społeczeństwa.

— To prawda, ale też zawód ich czeka okrutny i tam przecie, wśród służalców cara, w koszarach gwardyi, rozwijają się już silnie nasze kółka ludowe i dzielnie pracują na polu samokształcenia i narodowego uświadomienia.

— Cóż w Wilnie więcej?

— Głucho tymczasem: mieszczaństwo najmniejsze tarza się wśród hasel oportunistu, a ten i ów z panów przedzie, lubo już

nie tak śmiało, nie podłej ugody z wrogami.

— A młodzież? a robotnicy?

— Trochę się ruszają, lecz każdy ich pracę mrozi powagą nie powołanych kontrolorów opinii i opiekunów spraw narodowych.

Henryk zaklął gniewnie.

— Wszystko przeminie, a głosy całych tysiący muszą zwyciężyć — łagodnie powiedział Jerzy i pożegnał przyjaciela.

— A, twoja trupa nie zawiedzie? — zapytał jeszcze Henryk.

— Stanie, jak jeden mąż, na zawołanie; nie zapomnij o scenie i kortynie.

Wprost od jeziora Jerzy pojechał do zaścianka, do swoich, lecz bawił krótko; za ledwie zdołał oddać sprawunki i gościńce i dla Staszka posłać pakę druków przez jednego z braci, gdy zwrócił się do siostry.

— Wpadnę tu przed wieczorem po ciebie, Helko, więc bądź mi gotowa do drogi i stosownie do zlecenia panny Maryi wybierz się na dni kilka.

Ale dziewczyna na ten raz nie wybuchnęła okrzykiem szczerej radości, jak to zwykle bywało w wypadkach podobnych.

— Bolesć jutro, jak świt, odjeżdża do Wilna i pożegna nas na długo — smutnie szepnęła matka.

Jerzy się zawstydził. Zapomniał on zupełnie o odjeździe brata i rozporządził sobą na dzień cały, robiąc ten przykrość mimoswolną całej rodzinie.

— A więc i nasze »Dziady« przepadną? — wyrzekł z uczuciem gorzkiego zawodu.

Na szczęście sam Bolesław, chłopak wesoły i niezwykle ożywiony, wpadł w tej chwili do izby i, dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, przyszedł bratu z pomocą:

— »Dziady« być muszą, bo one mi posłużą wraz z waszemi uściskami, jako najdroższe wspomnienie w chwili odjazdu do Moskali.

A na to stara matka z jakimś lękiem spojrzała na młodego rekruta.

— Nic to, matusiu, poskoczmy zaraz z wieczora całą kupą do dworu lubiskiego, pokłonim się dobrym ludziom i odegramy sztukę, potem zaś wrócimy tu, do was, i noc całą spędzimy na gawędce i biesiadowaniu.

— I tak dobrze — potwierdził cały projekt siwy ojciec, naprawiający sieci.

— A ty, ojcze, nie ruszysz się z życzeniami do kochanej panienki? — zagadnęła Brażysowa męża po chwili.

A Jerzy dodał niemą prośbę oczu do słów matki.

Siwowłosy starzec podumał, spojrzął synowi raz i drugi w oczy, a wreszcie powstał, odkładając robotę.

— Dobrze, lecz pomnij, Jurgis, że ani ja, ani ty nawet w Lubiszkach łaski brać nie powinniśmy.

Gdy stary zaczął się krzątać do wyjazdu, zakotłowało się niby w garnku w chacie Brażysów. — Więc matka przyniosła kilkagarncowy woreczek orzechów i jańczyk lipowy miodu, Helka złożyła chustkę wełnianą własnej roboty, a jeden z braci w zastępstwie Janka najmłodszego wręczył ojcu zręcznie zrobione łyżwy.

— To dla kochanej panienci — mówił każdy z uczuciem pewnej dumy i zadowolenia.

A stary ojciec trochę burczał, rozczesując siwe włosy na głowie i brodzie:

— Powaryowali, czy co? mam jechać, jak żyd arendarz na kiermasz.

Ale nie na tem był koniec. Przyszła wnet ciotka Dorota, zawołana gospodyni i, wyrocznia zaścianka, mimo wiek swój poważny i długie wdowieństwo, przyniosła dwie czubate kokosze i dała je w ręce gospodarzowi, zalecając:

— Z dobrem słowem odwieźcie dziewczątku od starej Mażulowej.

Jerzy już przypadł do jej dłoni i całował je serdecznie.

— A tyż czego? — zagadnęła go, niemal świdrując oczyma.

— Pozdrawiam ciotkę, bom z drogi przyjechał, a i szkaplerze z Ostrej Bramy przywiozłem.

Staruszka chwilę zabawiła, jakby licząc głowy krewniaków i najbliższych sąsiadów, w końcu pokręciła za ucho Bolesia.

— To w przeddzień odjazdu z chaty śmiać mi się będziesz urwiszu?

— Aj, aj! — wrzasnął chłopiec, udając ból silny i obejmując ciotkę rozrosłemi ramionami.

— Wszak lepiej ciociu dziś śmiać się ze swoimi, kiedy tam wśród Moskali nieraz przyjdzie zapłakać.

— Ani mi się waż, błaznie! — surowo zgromiła ciotka — tam właśnie miną nadrabiaj i świeć im w oczy śmiechem, a urągaj zdrowiem i siłą, lzy zaś schowaj dla

nas, gdy wrócisz »lub zduś je w sobie, jak pies obity i na łańcuchu przykuty«.

— Nie kraczcież mi, kumo, nad chłopcem — łagodnie wstawiła się matka.

— Owszem, niech wie, co go czeka, aby sił oszczędzał, a żył z myślą o nas, bo gdy nam wróci spodlony lub choćby obojętny, ja sama z dziewczkami swojemi wygonię go z zaścianka i oszczekam na każdym kiermaszu — pogroziła ciotka, gniewnie strojąc brwi siwe i świecąc roziskrzonemi oczyma.

Ale wesół Boles nie uląkł się tych gróźb. Lekko uniósł starą ciotkę w górę, ucałował jej ręce i mówił:

— Bądźcie spokojni. Wrócę czysty a może i, co daj Boże, trochę rozumniejszy, to i pożałujesz mię, ciotko, po przyciężkiej żołnierce.

Spojrzenie starej Doroty złagodniało i zamgliło się łzą rozczulenia, więc odwróciła się i rzekła na odchodnem:

— A nie kłopotcie się tam, kumo, o ja-dło w drogę dla tego urwisa, bom już korszyczek zręczny przysposobiła.

Jerzy zostawił swojego konia i sanki w zaścianku, a sam zabrał się z ojcem, aby po drodze zostać u siebie, w zadzierżawionym folwarku.

Mało co przed wieczorem wrócił Ponar z wycieczki myśliwskiej, a wesół głos trąbki sprowadził na ganek syna i córki.

— Tak późno, tatusiu, a mróz na noc bierze?

Ale starzec zadowolony stanął na ganku i otrzepywał sople lodu i śnieg z odzieży,



podczas gdy Henryk wśród okrzyków dobywał ubitą zwierzynę z sanek.

— Masz na wieczerzę dla gości i dwa lisy na kołnierz dla siebie — rzekł ojciec do Marylki.

— Cztery jarzabki, jak indyki, i dwa koty, jak barany — tryumfował pisarz.

— Jakże tam obiad? — spytał ojciec.

— Już gotów, każę dawać — podskoczyła Marylka.

— Poproś mamy, by trochę się wstrzymała, gdyż zapowiedział się do nas gość miły i nieoczekiwany.

— Pewnie proboszcz — zgadywała Marya.

— Ojciec pana Jerzego z nim samym — dodała Wanda.

— Najpewniej Chłystowicz z powinszowaniem do Marylki — żartował Henryk, wchodząc do sieni z całym ładunkiem zwierzyny.

Ojciec rozbierał się, uśmiechał, lecz milczał uparcie, drażniąc ciekawość dziewcząt. Przeszli wszyscy razem do małej bawialni, gdzie już ich niecierpliwie wyglądała szczupła o przejrzystej cerze brunetka z siwemi pasmami włosów na skroniach.

Ponar serdecznie ucałował jej dłonie i długą chwilę patrzył w jej dobre i rozumne oczy.

— Jakże się dziś czujesz, królowo moja?

— Wybornie, choć byłam trochę niespokojna c ciebie — odpowiedziała z pieśczęcią dotykając ramienia męża.

A potem zwróciła się do Marylki, ażeby obiad podawano co rychlej.

— Wypadkowo spotkałem Teosia Łazowskiego, nie poznałabyś go nigdy, gdyż zdążył już zostać pułkownikiem i posiwieć. Kiedy serdecznie oświadczył się z zamiarem odwiedzenia nas, zaprosiłem go na obiad.

— Będziemy mu radzi, bo to krewny i sąsiad, ale nie sądzę, byśmy wzajem przyczynili sobie przyjemności, gdyż on należy do tych nieszczęśliwych, którzy się wyrzekli niemal wszystkiego w imię powodzenia w życiu — odparła żona ze smutnym uśmiechem.

— Czyżby, mateczko, wyrzekł się również religii i własnego języka? — płonąć zapytała Wanda.

— Jest katolikiem polskiego pochodzenia — dodał żartobliwie Henryk.

— Nie uprzedzajmy wypadków, a pamiętajmy, że już lat kilkanaście nie był on w kraju; niechże tedy u nas znajdzie serce i to ciepło, które mu dopomogą w powrocie na drogi obowiązujące.

— Panny, to wasze zadanie urabiać dziś, pana pułkownika podług przepisów narodowego katechizmu — śmiał się Henryk.

Jeszcze chwilę trwała rozmowa, poczem Marya z Wandą porozumiały się spojrzeniami i zniknęły z bawialni. — Poszły się przebrać w stroje ludowe, — z uśmiechem szepnęła Ponarowa do męża.

— To więcej dla Jerzego, niżli dla zapowiedzianego kuzynka — dodał Henryk.

Ale Jerzy nie przybywał, natomiast wkrótce z brzękiem i hałasem wpadła spieniona trójka wprost przed ganek, a była to

prawdziwie moskiewska trójka, z woźnicą w tołub fałdzisty przybranym.

Przystojny brunet, obwieszony orderami, ucałował odrazu Henryka bardzo czule, i schylił się do ramienia starszego Ponara.

Obaj przeto ulegli tej serdecznej jego gotowości i oddali uściski przyjaźnie.

Lecz w bawialni poszło nieco trudniej. Gospodyni, zwykle nad miarę łagodna, powitała gościa surowem spojrzeniem i rzekła na wstępie, patrząc ze wzgardą na ordery:

— Mogłeś nam oszczędzić widoku tych cacek, na których tu nikt się nie pozna, że już nie wspomnę o tym hałasie moskiewskiej trójki, który mi tak żywo i tak boleśnie przypominał najcięższe chwile w życiu. — Wytworny pułkownik prawie oniemiał z podziwu i zgrozy.

— Daruje ciocia, jam tu przybył dla odnowienia miłych stosunków z krewnymi, a te ordery — to świadectwo mej pracy i zasług — odparł z goryczą.

— Pracy! — zasług! A dla kogo i za co? — surowo badała Ponarowa.

— A, no... przecie dopiero pół życia przeżył, to starczy mu czasu na wszystko — łagodził ostre wystąpienie żony gospodarz.

— Przyjechałem na kilka tygodni, ażeby pomyśleć o urządzeniu sobie siedziby, gdyż już za dwa lata stanowczo wystąpię ze służby, — raźniej podchwycił Łazowski.

— Więc stracisz prawo do emerytury? — zagadnął nieco złośliwie Henryk.

— Głupstwo! — odparł ów, robiąc lekceważący ruch ręką.

W tej chwili ukazały się obie siostry.

Pułkownik z galanterią podskoczył je witając, widocznie zachwycony wdziękiem i urodą.

— Przyznaję szczerze, iż nie znam się na modach, lecz strój kuzynek wydaje mi się czemś prześlicznem.

— A my same giniemy wobec niego podchwyciła Marya żartobliwie

— Cóż znowu! — zawołał energicznie — lecz w sądach o stroju bywamy śmielsi, gdyż on nas tylko upaja.

— A przecież to tylko ubiór ludowy, który noszą sami zgnębieni i prześladowani — tłumaczyła Ponarowa.

— To nasz ubiór litewski, który musiałeś widywać, będąc w szkołach i akademii — dorzucił pojednawczo gospodarz

Do stołu ruszono parami. Ojciec poprowadził Marylkę, syn matkę, a gość podał ramię Wandzi.

— Ja się tu was wszystkich boję, choć dotąd obce mi było to uczucie — przyznał się otwarcie pułkownik.

— Widocznie, czujesz się, kuzynku, trochę winnym?

— Może, lubo sam tego jeszcze dobrze nie rozumiem; tak mi się serce rwie do was, takbym rad was sobie pozyskać, a czuję jeno wstyd jakiś i chłód...

— Kuzynek się uprzedza, bo tak nie jest.

— Nic mię z wami nie łączy, krom słabych nici pokrewieństwa.

— I silniejszych o wiele wspólności narodowościowych — dodało dziewczę z naciskiem.

Pułkownik spojrział na nią, jakby z prośbą błagalną i zasiedli u stołu.

Gość stał się osiłą rozmowy ogólnej. Już lat kilkanaście pracował, jako inżynier wojskowy i pracował ze znacznem powodzeniem, to też ma dość pokaźne środki i poważne zasługi.

— Zostaniesz wkrótce generałem i posiadziesz zaufanie rządu — przerwała Ponarowa.

— Ah, nie, ciociu. W naszej służbie Polak lub Litwin nie zdobywa zaufania, o ile nie jest wyrodkiem, a więc i dla mnie droga zaufania zamknięta.

Ponarowa spojrzała nań o wiele łagodniej i przyjaźniej.

— Czemuż nam nic nie mówisz Teosiu o swej żonie i dziatwie? — zagadnęła po chwili.

Pułkownik parsknął szczerym śmiechem.

— Nie umiem na prędce składać fantastycznych powieści. W mojem życiu kawalerskiem całą rodzinę stanowią kucharz, mazur z pod Kałuszyna i drugi służący, Ukrainiec.

— Musisz być wybrednym, kuzynku? — wesoło zagadnęła Marya.

— Bynajmniej, proszę wziąć mnie w opiekę a będę posłuszny, jak dziecię.

— To zadanie zbyt trudne, skoro kuzynek jeszcze całe dwa lata ma gdzieś przebywać na Kaukazie—zrobiła uwagę Wanda.

— O! to bagatela, gdyż te dwa lata są mi potrzebne tylko dla zarobienia kilkudziesięciu tysięcy rubli, więc gdybym...

— Gdybyś tu poznał wróżkę z nieco wię-

kszym posagiem, gotówbyś zostać już w kraju — dopowiedziała ciotka z ironią.

— Proszę mnie bronić, jam nie tak zły — zwrócił się Łazowski do Wandy z prośbą błagalną — tu nawet słowa moje i intencje są całkiem opacznie rozumiane.

— Nie wiele mogę dopomódz, nie znając wymagań kuzynka i zamiarów na przyszłość.

— Gdyby to nie było tak nudne i tak obce dla pani, próbowałbym się bronić i usprawiedliwiać.

Obiad się skończył. Strudzony myśliwy usiadł w wygodnym fotelu dla zwykłej pogadanki z żoną i wypalenia cygara. Henryk z Marylką zamknęli się w większej bawialni dla jakichś tajemniczych przygotowań, a gość wiódł ożywioną rozmowę z Wandą.

Już się zmierzchało i zapalono lampy. W bocznym pokoju słychać było stłumiony gwar licznych głosów i odgłosy ciężkich stąpań.

Nareszcie wybiegła rozpromieniona Marylka, wiodąc z sobą Helkę Brażysównę, trochę zakłopotaną, lecz niemniej ładną i zgrabną.

A Henryk otwierając drzwi bawialni uroczyście obwieścił:

— Zaprasza się szanowną publiczność na przedstawienie jednej sceny z »Dziadów«.

Tylko dla starego ojca była to niespodzianka.

Pułkownik oczywiście także nic o tem nie

wiedział, a z zapowiedzi Henryka nie nie zrozumiał.

— Co to będzie? — teatr amatorski czy żywe obrazy? — spytał Wandę.

— Czy kuzynek zna »Dziady«?

— Dziady? — coś o tem słyszałem, to lud tu i ówdzie tak nazywa obchód, pamięci swych zmarłych poświęcony.

— To prawda, lecz czy pan czytał »Dziady« Mickiewicza? — spytała dalej dość sucho.

Orderowy pan zająknął się i umilkł zawstydzony.

Wanda, jakby zawstydzona również, usunęła się na stronę.

W obszernym salonie ujrzeli zaimprovizowaną scenę, na której widać było odtworzoną celę więzienną z prostym stołem, ławą i migocącą łojówką. Tuż obok, na prostym łóżku sosnowem, leżał w zadumie Konrad — Staszek Mażul.

Pułkownik stał zakłopotany, lecz Ponarowa ujęła go za ramię i posadziła przy sobie, mówiąc półgłosem:

— Usiądź i słuchaj, a może w tobie odżyje dusza wygnańca tej ziemi.

Na znak dany, przez Henryka, z przeciwnych drzwi weszła garść młodzieży, w samodzielną kurtki i czamarki odzianej.

Rozpoczęła się owa smutna i tak wielka w wyrazie zgwałconych uczuć scena z trzeciej części Mickiewiczowskich »Dziadów«.

Łazowski z rozszerzonymi oczyma i niemal drżący cały chłonał wyrazy i niekłamana boleść grających.

Sobolewski — Bolesław Grażys — z siłą opo-

wiedział scenę wywiezienia młodzi litewskiej w kibitkach na stepy Uralu.

Pułkownik zapłonął szkarłatem.

Za chwilę wesoly Feliks — Janek Brażys — zanucił znaną piosnkę, która kołła serca, bólem wezbrane, nadzieją odwetu i krwawej pomsty.

Pułkownik wtedy pobladł i zatrząśł się gwałtownie.

Nagle zerwał się Konrad i wezwał towarzyszków do bezwzględnej i zażartej walki, a słowa jego namiętne i porywające, paliły, jak roztopiony ołów, i ziały namiętnością, niby siarka płonąca.

— Ja chcę być z wami i tylko z wami! — wykrzyknął namiętnie pułkownik, machinalnie posuwając się ku grającym, których wynagrodzono serdecznymi uściskami.

Jakoż już ucałował kilku z młodzieży, ale mu Staszek Mażul, dopiero co Konrad, drogę zagroził.

— Nie godniśmy takiego zaszczytu — rzekł sucho i z wyraźną ironią, wskazując na ordery dygnitarza.

A mówiąc to prostował się i błyskał oczyma, niby żbik zaczajony do skoku.

— Jam brat wasz przecie i mam prawo być z wami.

— Możesz pan nim zostać — łagodnie podchwycił Jerzy Brażys.

Za to Janek wyraźnie chichotał i spytał, udając naiwność:

— To pan chyba umyślnie się tak przebrał na dzisiejsze przedstawienie?

Tego było za dużo. Stary Ponar chrząknął raz i drugi na znak niezadowolenia,



Wandzie łza zakręciła się w oku, a dobra Marylka wsunęła rączkę pod ramię kuzynka.

— Zostaniesz z nami, kuzynku, to się z czasem poznamy i polubimy.

Ale pułkownik był zbyt żywo dotknięty i zeszytniał w jednej chwili. On przecież tu tym nieznanym rzucał swą duszę pod nogi i żał za wszystkie lata, zdała od nich przeżyte, a oni...

Oni wzgardzili jego ofiarą i to dla błahych pozorów.

— Żałuję bardzo, iż z przypadku wniosłem tu dysonans — rzekł sucho.

— Czyżby pan nie mógł lub nie chciał do nas się dostroić? — cichutko szepnęła mu Wanda.

Coś chciał na to odpowiedzieć, gdy we drzwiach stanął stary sługa i powiedział z cicha:

— Żandarm z uriadnikiem przyjechali i są w przedpokoju.

Przez jedno mgnienie oka zapanowała absolutna cisza. Henryk ruszył się wreszcie dla spotkania przybyszów.

— Ostrożnie, Henrysiu, a nie załuj tam pieniędzy — upomniał Ponar.

Ponarowa, ta delikatna i szczupła kobieta, zmęźniała w oczach wszystkich i wydawała krótkie rozkazy:

— Panie Jerzy, z całą młodzieżą jesteście naszym gościem, przyjechaliście tu dla zabawy z powodu imienin mej córki. Wandziu, czy nasze zbiory są bezpiecznie ukryte?

— Jak zawsze, mateczko.

— Więc bawmy się! — dodała wesoło, uderzając w klawisze fortepianu.

Łazowski zbliżył się do gospodarza.

— Proszę wuja, jak o łaskę, by mnie wolno było wyjść do tych panów.

— Ależ dajże pokój! Henryś tam ich się jakkolwiek pozbędzie.

— Lecz ja proszę — nalegał dalej pokornie.

Ponar ustąpił. Wtedy pułkownik w jednej chwili przedzierzgnął się w prawego moskwicina i krokiem sztywnym a pewnym wszedł do obszernego przedpokoju.

Rudobrody żandarm Jerszow, na jego widok zerwał się z wygodnego siedzenia, które już był zajął, i wyprostował się niby we froncie, a Czujko złożył najwytworniejszy ze swych ukłonów.

Za obu nimi kulił się przerażony Fajwel i starał się, by go nie widziano.

— Co pan masz za interes, najeżdżając dom obywatelski w tak spóźnionej godzinie? — ostro zapytał pułkownik, zwracając się do żandarma.

— Otrzymałem wiadomość, Wasze wysokorodie o licznym zjeździe na dziś, w tym domu i to zjeździe chłopów, więc musiałem stawić się tu z obowiązku i zapytać o przyczynę — odparł pokornie zapytany.

— A ty? — zagadnął znowu, bez ceremonii tak zwracając się do uriadnika.

— Ja z obowiązku służby czuwam nad porządkiem w całymuczastku.

— A sam jesteś skończonym pijakiem i na wszystkie strony chwytasz łapówki — wiem coś o tem i za bytnością u gubernatora

w Wilnie nie omieszkam z tego zrobić użytku.

— Wasze wysokorodie... — prosił Czujko.

— Milczeć! Żle pana poinformowano, jest tu tylko grono przyjaciół domu, którzy przybyli dla zabawy — dodał zwracając się do Jerszowa.

— Słuszaj u, wasze...

Stary służący, nie czekając już na rozprawę pułkownika z Fajwlem, podjął ją na własną rękę i, ująwszy żyda za kark żylastą dłonią, wypychał za drzwi, dopomagając sobie kolanami.

— Proklataja sobaka! — dodał Jerszow, dając tem do zrozumienia, że Fajwel był denuncyantem.

— Żegnam was i życzę, ażebyście na przyszłość z większem uszanowaniem zjawiali się we dworze w Lubiszkach — zakończył audyencyę pułkownik surowo.

Obaj dygnitarze ze skruszonymi minami wyszli na ganek i wsiedli do sanek uradnika.

— Dyabli przynieśli tego pułkownika! — mruczał gniewnie Jerszow, żeby tylko jakiej biedy nie było.

— Niech pan zandarm będzie spokojny, to także Polak, to jemu nikt nie uwierzy — pocieszał Fajwel, uczepiwszy się sanek z tyłu.

— A tyś, Fajwelku, najlepiej wyszedł na tej całej sprawie — drwił Czujko.

— I panu uradnikowi trochę się dostało — odcinał się żyd.

— I cóż ty myślisz, przyjacielu? — spy-

tał zandarm Czujkę, przystając na chwilę dla zapalenia papierosa.

— Myślę, że nam się dziś nie udało, ale udać się musi, bo to gniazdo buntowników, myślę dalej, iż wartoby było pokrzepić się u Fajwła, a w końcu... powiem trochę później — szepnął do ucha przyjacielowi.

A w bawialnym salonie dworskim grzmiał mazur w najlepsze, choć nikt jeszcze nie tańczył.

Pułkownik zręcznie unikał podziękowań obojga gospodarstwa za tak skuteczną pomoc w kłopotliwym położeniu i posunął się do Wandy, prosząc o taniec.

Dziewczę chwilę się ociągało.

Nagle on schwycił jedno z jej spojrzeń i w jednej chwili wyszarpnął z munduru wszystkie ordery i ukrył je w kieszeni.

— Czy i teraz, kuzynko, będziesz się wahała?

— Ani sekundy — krótko odrzekła, przyjmując jego ramię.

— Żywcem go obdziera z moskiewskiej skóry — czy nie widzi mateczka? — pytał Henryk, stając przed matką.

— Oby się jej to udało.

Chłopiec podskoczył do Helki Brażysównej.

— Wszak tańczysz, Helo, mazura i za-tańczysz go ze mną?

— Trochę się wstydzę, paniczu.

— Niedobra jesteś; ileż cię razy prosiłem, byś mię nazywała po imieniu, jak dawniej.

I porwał ją w wir raźnych podskoków i niewymuszonej wesołości.

Nawet stary Ponar przetańczył z Marylką, która była jego ulubienicą.

Ale reszta młodzieży z wiosek i zaścianków nie umiała tańczyć. Lecz Staszek \* dodał innym, mniej śmiałym, ducha i wnet ustawił ich w gromadkę pod piecem.

Zrazu nieśmiało, lecz potem coraz żywiej i pełniej rozbrzmiała piosnka chóralna i silnych piersi młodzieńczych.

Pary taneczne wnet się do nich przyłączyły, a Ponarowa urwała w pół taktu melodyę mazura, aby w lot schwytać przygrywkę do pieśni słyszanej.

Janek kowalczyk prześlicznym tenorem śpiewał z całej duszy, a śmiały mu się oczy i podrygiwały w takt nogi. A gdy skończył szedł kolejno całować ręce gospodyni i panienek, robiąc to wśród figlów i wesołej swobody.

Pułkownik ze zdumieniem dowiedział się od Wandy, że są to włościanie okoliczni.

— Czyżby i ta panna Helena?

— Ona ma tu trzech braci i mieszka w zaścianku, lecz długi czas wychowywała się u nas we dworze i kochamy się, jak siostry.

Rzewne tony wiolonczeli znowu przerwały ich rozmowę. To Jerzy grał jakąś tęskną fantazyę i zapomniał o całym otoczeniu, choć Marya go niemal magnetyzowała długiem i częstem spojrzeniem.

Pułkownik ponownie przechodził okresy zmiennych napadów gorączki. To słuchał z przejęciem, to zapadał w bolesną zadumę, aż w końcu szepnął z cicha do Wandy:

— Co to on gra? ja i tego nie znam, ale

to coś takiego, co mi jednocześnie całą istotę szarpie na kawały, lecz i poi niewypowiedzianą rozkoszą, jako wspomnienie najdroższych chwil dzieciństwa.

— To fantazyja pana Jerzego, który jest artystą prawdziwym. O ile sędzę, jest w tym temacie coś dla pana i o panu.

Wiolonczela jęczała, niby człowiek bólem, wśród snu szarpany, i nie mogący się rozbudzić, potem wybuchnęła, jakby okrzykiem radości i tryumfu, a za chwilę rozlała się w tonach pełnych energii, czynu i radośnego wesela.

Melodya pieśni odbiła się korzystnie na Wandzi i Teodorze, którzy uśmiechali się, spoglądając na siebie, dając tem znaki zrozumienia intencji grającego.

Jerzy już skończył, lecz milczał, jakby nie mogąc się otrząsnąć z tych uścisków wyśpiewanej melodyi, która go w zupełności pochłonęła.

— Rozbudź go, Marylko, bo nam w błękity uleci — śmiał się Henryk.

Młodzian zerwał się na te słowa i ochoczo stanął przy boku zbliżającego się dziecka.

— Musimy się spieszyć i wrócić do zaścianka, bo jutro Bolesł odjeżdża.

— Nic z tego; po herbacie ruszymy ku ligiem wszyscy razem — może i ty z nami, pułkowniku?

— Z największą przyjemnością — odparł Łazowski.

— Zdemokratyzujesz się tu u nas doszczętnie, kuzynku — żartowała Wanda.

— Zazdroszczę dziś serdecznie każdemu

z tych różnych młodzieńców — odparł szczerze.

— Jesteś więc na dobrej drodze, bo o wszystkim już stanowi dobra wola pana.

— Gdybyż ona mi otworzyła serca wasze i dała zaufanie!

— Proszę nie tracić nadziei.

— Proszę mi jej dać nieco — poprosił.

— Jeden zbłąkany i nawrócony wart więcej, niżli dziesięciu prawowiernych.

Uszczęśliwiony pułkownik z właściwą sobie gwałtownością do natychmiastowego czynu, rzekł bez namysłu:

— Podaję się za chorego i jutro proszę o dymisyę, poczem osiądę na własnym zagonie i będę pracował na szacunek i uznanie takich, jakich tu dziś poznałem.

— A te kilkadziesiąt tysięcy? — nalegało dziewczę żartobliwie.

— Zapłacisz mi je, kuzynko, to nic nie pomoże! — szepnął rozochocony i promieniający.

— Jakże, Teosiu, czujesz się tu u nas? — spytał stary Ponar serdecznie.

— Wybornie, wujaszku; czy mogę tu dojeżdżać jak najczęściej, dla nauki i praktyki?

— Zawsze ci radzi będziemy.

A Wanda spojrzeniem przyświadczyła tej zgodzie ojcowskiej.

W pokoju powstał gwar i zamęt. — Układano się o porządek wycieczki, więc Henryk głośno protestował przeciw zamiarowi, by Marylka i Hela miały jechać w jednych sankach.

— Jest nas chłopców dwunastu, a was

tylko trzy, więc musimy tak się urządzić, abyście zarówno miały świętę każda.

Łazowski z przyjemnością się przekonał, że i jego obejmuje ta ilość dwunastu.

— To trochę trudne zadanie do rozwiązania — zrobił uwagę Jerzy.

— Na moich saniach zmieści się wygodnie pięć osób — zaproponował pułkownik.

— Lecz świat im przesłoni to lub woźnicy — zauważył Staszek Mażul.

Łazowski się zaczerwienił.

— Proszę zostawić swój ekwipaż u nas — z cicha doradziła Wanda.

— Dziękuję pani.

Okazało się, że wraz z lubiskiem jest pięcioro sanek do rozporządzenia, z których każde zmieszczą po trzy osoby.

Więc Ponarowa tak rozporządziła kawalkatą.

— Wandzia pojedzie z Teosiem i Janek z nimi, ażeby pułkownika psy litewskie nie rozszarpały.

— A złe są u ciotki Mażulowej — wesoło zauważył Janek.

— Helenka pojedzie ze Staszkiem...

Henryk spojrzął na matkę błagalnie.

— ... a Henryś im będzie družbował, Marylkę zaś powierzam Jurkowi i Bolesiówi, reszta zaś niech się układa podług upodobania.

Wszyscy byli zadowoleni, tylko Henryk miał minę dość kwaśną na razie.

A był to przecież ulubieniec matki.

Gdy towarzystwo siadało do stołu w jadalni, Ponarowa na chwilę odprowadziła syna na stronę.



— Dziecko drogie, zaufaj oczom matki; bądź cierpliwym. Serce dziewczyny szlachetnej i uczciwej mówi zawsze prawdę, a serce Heli zdaje się bić dla Staszka. Może się mylę, lecz nie godzi się tobie, szczególnie tobie, wywierać jakiś nacisk i nadużywać położenia.

— Masz słuszność, mateczko, jak zawsze, i możesz mi zaufać.

— Tego się spodziewałam po tobie i z całego serca z tobą współczuję.

Uścisnęli się, poczem w najlepszych humorach wrócili do towarzystwa.

Właśnie pułkownik skarbił sobie względy Janka, który miał go wieść wraz z Wandą.

— Nauczy mnie pan rachunków i rysunków — droczył się chłopiec półzartem.

— Chętnie panu dopomogę, w czem tylko będę mógł.

— To nasz przyszły mechanik -- dodał Henryk, wskazując na Janka.

A Łazowski rad był z dobrego początku zamierzonej pracy społecznej w ojczysem środowisku.

— To już muszę uważnie wieść pana profesora — mówił Janek w pół godziny później, ujmując lejce w sankach, gdzie siedziała Wanda z Teodorem.

— Dobrze nam będzie z panem — powiedziała Wanda, kiedy ruszyli po gładkiej i miękkiej drodze.

— A mnie z wami, mnie z tobą, kuzynko, jest już i teraz przewybornie.

Rząd sanek szybko pomknął w kierunku zaścianka.

— Czemuż pan ciągle milczy? — zagadnęła Marylka Jerzego.

— Bo kajam się z grzechów życia całego proszę Boga o siły na przyszłość — odparł poważnie.

— Cóż panu nasuwa tak poważne myśli?

— Ta świetlista droga, na którą zuchwale wstępuję.

— Mówi pan zagadkami. Ja proszę o dobry humor i wesołość...

— Niech mi je pani nakaze.

— Więc nakazuję.

W tej chwili Jerzy wyskoczył z sanek i zaśpiewał donośnie:

Po śnieżystej drodze  
Pędzi żandarm smutny;  
Umknęła mu zdobycz,  
Został nos okrutny.

Hu! ha!

Śmiech ze wszystkich sań był nagrodą śpiewaka, lecz miłszym mu był uścisk rączki Marylki, która go wezwała do zajęcia miejsca.

W parę chwil później piękny tenor Jan-ka zanucił z przodu:

Wyje wicher, ogar węszy  
I nasz, Czujko szuka;  
Hejże! chłopcy, bierzcie kije  
I wygrzmóćcie kruka.

Hu! ha!

Już orszak cały zjechał był od niejakiego

czasu na wąską drogę do zaścianka, gdy jakieś sanki, mignęły, w cwał lecąc z przeciwnej strony.

— Nie jestem kowal i czarodziej tem samem, jeśli to nie Jerszow z Czujką! — zawołał Staszek.

Jakoż i z innych sań ich poznano i powstał niepokój, co mogli robić wieczorem w zaścianku, bezpośrednio po tak niemiłym przyjęciu w Lubiszkach.

Lecz już pierwsze sanki dosięgły opłotków zaścianka, a w parę minut później cały orszak z brzękiem dzwonek i okrzykami wesela stanął przed chatą Brażysów.

Stary gospodarz wyszedł witać gości serdecznych i spodziewanych, a Marylkę, swoją, jak zwykł mawiać, panienkę wniósł do chaty prawie na rękach.

Lecz stropił się wobec munduru pułkownika. Wnet atoli Staszek Mażul głos zabrał i mówił:

— Ruszyliśmy do dziadzi (wuja), wszyscy z paniczem i panienkami, a i pan pułkownik, ich krewniak, nami nie pogardził.

— Lecz co tu u was robili ci goście, cośmy ich spotkali na drodze? — zapytał Henryk.

Lecz nie mógł usłyszeć odpowiedzi, gdyż chata wnet buchnęła śmiechem okropnym i niepohamowanym.

Śmiały się panienki z Helką, śmiali się chłopcy, tylko poważna, jak zwykle, ciotka Dorota, wysunęła się z kąta na środek izby i mówiła spokojnie:

— A no! Zalotników mieliśmy tutaj, lecz się nie spodobali moim dziewczętom, to i mu-

siałam ich spłoszyć wraz z dziewczętami, częstując na drogę pralnikami.\*)

Śmiech nie ustawał, bo i pralniki znalezione na ławach. Dopiero w chwil parę óżniej, stary Szymon tak mówił na stronie do Henryka i Łazowskiego.

— Wygnani ze dworu w Ponarach, tu przyjechali brać pomstę, bezpieczni, że chłopców w domu nie było. Ale ciotka Dorota przyjęła ich okrutnie i bodaj tak i na prawdę coś im dostało się na drogę.

— Jakże to było, pokaż nam ciotko? — przystawały panienki śród śmiechu i przymlań.

— Było, jak było, zwyczajnie, jak z łotrami, co nie mają ni honoru, ni wstydu. Ot, nie myślcie już o tem, czubatki wy moje najmilsze, lecz siadajcie i dajcie mi na siebie popatrzeć.

Ruszono kupą całą do izby gościnnej, gdzie już od progu Janek grał skoczego na skrzypcach.

Lecz wnet Brażysowa i ciotka Dorota pomyślały o gościnem przyjęciu wesołej druzyny i poczęły znosić kielbasy, ser, masło śmietaną, miód, orzechy i wiele innych specyałów, nie zapominając o sporym gąsiorku krupniku.

Pułkownik dłonie radośnie pocierał i co chwila rzucał Wandzie do ucha jakiś okrzyk duszy wesołej i rozrzewnionej.

— Tu można zapomnieć o wszelkiej po-

---

\*) Pralnik — pewien rodzaj mocnej i ciężkiej łypatki z drzewa, inaczej kijanka.

dłości! Tu trzeba pokochać wszystkich i sercem całym!

A ona patrzyła nań coraz cieplej i serdeczniej. Właśnie jak dobra mateczka, widząc szczerą skruchę syna marnotrawnego i jego odrodzenie moralne.

Coraz to chłopcy stawali półkolem i z młodych piersi rzucali pieśń chóralną, której wtórowały dziewczęta. Pieśń uderzała w drobne szybki chatki, w powalę izby, i w końcu zwyciężywszy przeszkody, wybiegała na cichy zaścianek, aby zginąć kędyś na podniebnym, od gwiazd roziskrzonym stropie.

Stary pastuch, Tomasz kulawy, wdział na się aż dwa kozuchy i wartował przed chatą i obejściem. Czasem stanął i westchnął, czasem czapę zdjął i przeżegnał się:

— Śpiewajcie młodzi, ja popilnuję! Śpiewanie, to krzepi z modlitwą na równi.

## Bal u popa.

Ludno i rojno było w Gawie, w piękny poranek niedzielny. Przez główną ulicę obszernego siola i dwie boczne, mknęły w różnych kierunkach po szklistej drodze lodowej sanki, wioząc chłopów na nabożeństwo do trzech najbliższych parafij.

Więc jedni jechali do Kopliszek, inni do Kropian, a byli i tacy, co mieli ochotę jechać wiorst dziesięć do Klawan, gdzie proboszcz miejscowy co drugi tydzień mówił kazanie w języku litewskim.

Więc choć mróz był tęgi, jechali gospodarze i gospodynie, jechały starcy i dzieci, bo słońko wabiło swojemi promieniami i rzeźkość czuć było naokół. Parobcy i dziewczęta długiem sznurem pomykali pieszo po bocznych ścieżkach wydeptanych, i im było najweselej.

Lecz dziw brał wszystkich nie mały, dlaczego przed cerkwią, co się rozsiadła pompatycznie wśród siola, pusto i cicho było dotychczas.

Tak, wśród siola, liczącego przeszło sto pięćdziesiąt chat gospodarskich, stała już od lat trzydziestu ta cerkiew — bez parafian.

Pamiętali starzy gospodarze, jak z rozkazu dzikiego Murawiewa wpadła tu do Gawy, sotnia kozaków, chmara policyi i kilku popów. Kościół wnet zabrano, a w miesiąc poświęcono — nową cerkiew. Zdolni to snadź byli budowniczkowie jacyś! Lecz pamięć kościoła żyje wśród ludu, ba! wszak i dziś tu kościół w tej cerkwi rozpoznać nie trudno.

Zbito wprawdzie dwie wieże frontowe i na ich miejsce dano dwie banie zielone, a trzecią w pośrodku suto złoconą, ale reszta została nietknięta.

Wewnątrz były nawet obrazy, niegdyś kościelne, choć już nader uszkodzone, bo któryś z dyaków cerkiewnych dorabiał im różne szczegóły w duchu prawosławnym: więc brody młodziankom i zakonnikom, długie sarafany\*) niewiastom i okrutne berdysze żołnierzom.

Więc też lud czapki zdejmował i czcił pamięć kościoła w tych murach, znakiem krzyża świętego broniąc się przed rozpaczliwym jękiem ogromnej boleści.

Bo i komuż służyła ta cerkiew? Lud był szczerze katolicki w siole całym, natomiast w kilku przysiółkach było nieco unitów nawróconych na prawosławie przy poświęceniu nahajów kozackich, i garść burłaków osadzonych po zaściankach przez rząd łupieżczy.

Kilkuset tedy Gawian musiało jeździć do innych kościołów, a w Gawie panoszyła się

---

\*) S a r a f a n — rodzaj szlafroka kobiecego u Moskali.

ta cerkiew baniasta z przodu, której drzwi najczęściej były szczelnie zamknięte.

A przecież był tu i pop, i dyak, i ponomar\*). Zbudowano plebanię murowaną, obok szkołę i budynek szpitalny, było nawet dwóch stróżów cerkiewnych.

Lecz to było za mało dla stworzenia życia tam, gdzie, jak w Gawie, nie mogło go być pod płaszczem prawosławia.

Było więc śmiesznie, smutno i gorzko dla oczu ludu miejscowego. Pop wszyskiem zawładnął: nastawnik\*\*) został metrem córek jego nieletnich i całkiem już dorosłych, ponomar pełnił obowiązki kucharza, dyak był znanym chirurgiem, a z dwóch stróżów jeden pełnił obowiązki woźnicy u popa, drugi zaś szynkował u żyda w karczmie, dając mu firmę własną.

Lecz to nikogo nie raziło, tak się bowiem już działo od lat kilkunastu. Dziw jednak brał ludzi dlatego, że onej niedzieli było święto popie, a nie cerkiewne, o czym trąbiono po siole już na parę tygodni przedtem.

Od chaty do chaty chodził dyak, chodził ponomar, chodzili stróże kolejno, a każdy zwiastował ludziom tę miłą nowinę i zachęcał do darów dobrowolnych. Pop z popadyą mieli świętować trzydziestą piątą rocznicę wspólnego pożycia w przystojnem i bogobojnem małżeństwie, — więc nabożeństwo w cerkwi zapowiadano niezwykle okazałe.

---

\*) P o n o m a r — zakrystyan, dzwonnik.

\*\*) Nastawnik — nauczyciel.



Atoli przed cerkwią było głucho. Przyszędł wprawdzie stróż jeden i łopata przegarnął ścieżkę w śniegu do wrót cerkiewnych, potem przyszędł ponomar z drugim i oddzwonili na trzech dzwonach jakąś dziką pobudkę, pełną niby skoków dziwacznych i płasów, lecz nikt zresztą się nie pokazywał.

Natomiast w podwórzu popa ruch pawał od świtu, pięć popadyanek pomykało co chwila to w tę, to w ową stronę, a skrzeczający głos starej popadyi rozlegał się do nośnie.

Właśnie stróż-woźnica otworzył wrota szeroko i machnął miotłą po śniegu razy kilka, ot! tak — dla lepszego pozoru.

— Hawryło! Hawryło!! — usłyszał w tem głos popadyi.

— Zdechnij przekłeta! — mruknał gniewnie i szedł przed okno plebanii, gdzie tłusta twarz popadyi wypełniała sobą cały otwór lufcika.

— Gdzież Mordko? Gdzież to ciek<sup>2</sup> — niespokojnie zagadnęła popadya.

— Miał zarznąć po szabasie — obojętnie odparł Hawryło.

— Biegnijże do niego, gołąbku! — błagała.

Zawrócił się i ruszył ciężko i apatycznie, lecz w pół drogi do bramy doznała go popadyanka Dunia z blaszanką wódki.

— To co innego! takiz bo dzień uroczysty! — rzekł ze słodkim uśmiechem i wypił gorzałkę.

Uspokoiła się znacznie czerwona, tłusta i rozmamana popadya i ruszyła do obszer-

nej jadalni, gdzie były zebrane wszystkie jej córki rodzone. Dziewki to były krzepkie i obsadne, choć niezbyt urodziwe. Najstarsza Zina silnie zezowała, Dunia ogień miała we włosach, Lida i Parasza przez ospę posieczone, tylko Sonia, najmłodsza, z noskiem zadartym, zdawała się wolna od ułomności nazbyt widocznych.

Wszystkie w zaniedbanych strojach porannych wypełniały pokój wrzaskiem i śmiechem.

— Czegóż tu sroki poschodziłyście się? — zgromiła matka.

Te pięć córek stanowiło dla niej niewyczerpane źródło kłopotów i zmartwienia. Siedziały w domu kamieniem, jedną tylko wziął Pigulewskij, stanowy, i to wybrał najładniejszą. A reszta siedzi o to u nich, starych, objada ich doszczętnie, a gzi się, jak bydło na pastwisku, i ze skóry często wyłazi.

Popadya padła na krzesło najbliższe, a najstarsza Zina wnet podsunęła matce szklanekę herbaty ze śmietanką i koszyk świeżych bułek.

— Ojciec jeszcze nie wstaje? Idźże która i obudź starego, przecie to już dziewiąta godzina.

Skoczyła Sonia, ulubienica ojcowska — lecz wróciła za chwilę cokolwiek przestraszona.

— Papa jakiś czerwony, macha rękami i precz pędzi; może chory...

— A to skaranie boże! — jęknęła popadya, polykając resztę czwartej bułki i tłustą dłonią ocierając usta.

Ruszyła wnet do sypialni małżeńskiej, a Zina i Dunia poszły wślad za nią, jako rezerwa.

Ojciec Prochor istotnie mógł zrobić wrażenie chorego: na ustach miał pianę, policzki granatowo-czerwone, a sapał i rzucał się okrutnie.

Popadya szarpnęła go energicznie za ramię.

— Wstawaj! czas już do cerkwi!

Lecz śpiący coś mruknął tylko i spał dalej.

Stroskana małżonka pochyliła się szybko do twarzy jego i odskoczyła ze wstrętem.

— Ja ciebie, pijaczyno, zaraz uleczę! — syknęła ze złością i poleciała córkom przynieść śniegu.

Gdy jednak córki wybiegły, naprędce odbyła pierwszą część zamierzonej kuracji, tłustą dłonią policzkując śpiącego bez rachunku i karygodnego współczucia.

Pop Prochor zerwał się z posłania i wrzasnął:

— Ludzie ratujcie! mordują!

— Ot tobie! ot tobie ratunek! — syczała popadya, dopełniając dozy razów na obliczu winowajcy.

Pop stanął na nogi i potrząsnął głową, już prawie całkiem przytomny.

— Za cóż mię katujesz, duszo droga, — jęknął żałośnie.

Małżonka w milczeniu dobyte pod poduszki próżną flaszkę i wetknęła mu ją pod nos.

— Skarbie mój! tak mi ciężko było na sercu, tak coś dławilo, zem trochę pokrze-

pił się nad ranem, aby raźniej ten dzień, dla nas tak wielki, powitać — pokornie tłomaczył się pop, z niekłamanemi łzami na policzkach.

— Sobaka! — rzekła skromnie popadya i, polecivszy córkom, aby wytarły twarz i kark ojca śniegiem, opuściła sypialnię.

W jadalni jeszcze chwilę gniewnie sapała, ale Parasza wnet podała spory kielich brunatnego płynu, mówiąc:

— To ta — na spędzenie humorów.

Popadya wypła i — jak ręką odjęło.

W pół godziny później, ojciec Prochor, już umyty i z koską świeżo zaplecioną na ciemieniu, przybrany w odświeżony swój chałat na zrudziałej podszewce fioletowej, złożył dziewięć pokłonów przed obrazami w bawialnym pokoju i kapłańską dłonią błogosławił korną małżonkę, składającą mu życzenia.

Harmonia zapanowała zupełna.

— Cóż z cerkwią? — zagadnęła popadya.

— Trzeba by przecie dziś... — zakłopotał się ojciec Prochor.

— Tylko mi nie bierz ponomara, bo w kuchni pierogi nie gotowe, i nie bierz dyaka, bo ten sprawia prosięta i indyki na kolacyę — zaleciła żona.

— Jakże więc będzie? służba boża... — zrobił uwagę pop.

Nagle wyprostował się poważnie i skinął ręką z mocnem postanowieniem:

— Można dziś i bez nabożeństwa. Przyjadą sami swoi i ci przyjdą tu wszyscy na modlitwę i po błogosławieństwo.

— Dobrze powiedziałaś, gołąbku! — przytaknęła skromnie popadya.

— Skądże indyki? skąd prosięta? — badał cichutko rozczulony małżonek.

— A widzisz? Moja to praca i staranie! a nie dali przez tydzień cały ani jednej sztuki, choć ich błagałam, tych łajdaków! Bóg się nad nami zmiłował: poszedł stróż Mit'ka już późnym wieczorem i przyniósł wór cały.

— Żeby jednak nie było hałasu o to, — niepokoił się pop.

— Głupstwo! Mit'ce trzeba przez jaki tydzień trochę popuścić, ku czemu ja mogę mu lać w gardło gorzałkę, a dyak uproszony pięści nie pożałuje.

W ten sposób sprawę umorzono i pop mógł zasiąść swobodnie do rannej herbaty.

A potem troskliwa żona przyniosła mu kilka ogórków solonych, mówiąc:

— Przetrzyj że stary sobie zęby po nocy.

Uśmiechnął się łagodnie i jeszcze o coś prosił ją wzrokiem.

Więc mu podała szklaneczkę spirytusu, strofując z dobrocią:

— Spileś się, jak bydlę, i teraz mroczy cię w mózgu.

Pop brodę ogarnął, wycmoktał spirytus z lubością i ucałował pulchną dłoń »matuszki«. Uczuł się silnym i zapragnął wziąć udział w przygotowaniach domowych.

— Siedź już lepiej spokojnie w kancelaryi, bo patrzeć tylko, a goście zaczną się zjeżdżać.

Jakoż jeszcze dobrze przed południem

przyjechał Sidorenko, pisarz gminny z Kropian i Jerszow.

— Wiecznie głodna kanalia! Na cały dzień się wybrali! — z furią zawołała popadya, przebiegając przez »Salon«, gdzie nastawnik już od dwóch godzin pracował nad wywoskowaniem podłogi wspólnie z Dunią i Paraszą.

Bo też praca im szła niesporo. Rozigrane dziewczęta podstawiały mu nogi, lub szarpały za odzież, a on musiał je gonić i mścić się wśród pisku i szamotań. A Sonia bestyjka, to nawet ani razu nie zajrzała do bawialni.

— Wiem, wiem! — kilkakrotnie pomyślał nastawnik — chowa ją popadya na wieczór dla akcyzników, a mnie radaby zbyć temi małpami.

Wszakże bawił się jak umiał i mógł, a i Dunia z Paraszą były również zadowolone. Zaledwie słyszeli głośne powitania przybyszów i bynajmniej nie myśleli się krępować.

Ojciec Prochor zrazu z pewną powściągliwością ucałował po trzy razy każdego z gości, lecz rozjaśnił oblicze na widok dwóch tęgich zajęcy w ręku pisarza.

— Cały dzień wczoraj za niemi biegałem, ojcze Prochorze, — chwalił się Sidorenko.

Wtedy Jerszow, czując się trochę niezręcznie, że to przyjechał z rękami pustymi w dzień tak uroczysty, zaczął z punktu ciekawą rozmowę o najświeższych wiadomościach z Wilna.

— Generał-gubernator Orzewskij, daj jemu Boże królestwo niebieskie! — dogorywa,

lecz pono wysłał jeszcze do miłościwego cara prośbę o kilka nowych ukazów tymczasowych.

— Czytałem w »Świecie«, że »Polaki« znowu myślą się buntować — podchwycił Sidorenko, jako człek świadomy spraw najszerszych.

— Daj to Boże! — odrzekł z przejęciem pop, troskliwie waząc w rękę otrzymane w darze zające.

Rudobrody Jerszow jał badać w zadumie, ku czemu się ściągał ten wykrzyk popa: czy do ukazów tymczasowych, czy też do tak upragnionego buntu Polaków.

Jeszcze nie skończył zadania, kiedy wtoczyła się popadya, więc trzeba było znowu wieszować, składać życzenia i... trochę czuć swą niezręczność, zwłaszcza gdy przybyła powiedziała Sidorence:

— Dobry chłopiec z ciebie, bo rozumiesz, że gość powinien wziąć z sobą nie tylko gardło i żołądek, ale i w ręce cokolwiek.

Zdało się nawet, że przy tem, jakoś brzydsko spojrziała na skromnie stojącego zandarma, który zdążył już trzy razy cmoknąć jej rękę.

— Mniejsza o to! zapomni haba i kwita! — pocieszał się Jerszow filozoficznie.

Jakoż nie omylił się. Popadya, szczerze rada z zajęcy, zabrała je zaraz do kuchni, a córce najstarszej rozkazała podać wódkę i zakąski do kancelaryi.

Przechodząc przez salon rzekła, grożąc palcem nastawnikowi:

— A wy tu, pustaki, kończcie robotę, gdyż Pigulewscy wkrótce nadjadą.

Sidorenkę i Jerszowa wszyscy tu lekceważyli jednak, gdyż obaj byli żonaci i zbyt często musieli wprost z workami objeżdzać chłopów i żydów.

Tak się przecież nie robi!

Wszelako Zina, już przed czterema laty przekroczywszy trzydziestkę, była najmniej wybredna i w kwadrans później, w najnowszą suknię odziana, przyniosła upragnioną tacę do kancelaryi ojcowskiej.

Miała nawet ochotę dotrzymać placu biesiadnikom, ale ojciec miał coś przeciw temu, gdyż bał się potrosze, by nie służyła za szpiega wobec matki.

— Dziękujemy ci, córuchno, lecz idź do »matuszki« i pomóż jej w przygotowaniu dalszego przyjęcia — powiedział słodko, biorąc w rękę karafkę.

Goście również nic przeciw temu nie mieli, całą uwagę skupiwszy na tacę.

Nie upłynął kwadrans, a humory trzech biesiadników znakomicie się ożywiły.

— Cóż tam w gminie? — zagadnął pop pisarza.

— Kiepsko, ojczy kochany, nasz starszyna\*), zrazu pokorny i posłuszny, coraz częściej staje okoniem i chce wglądać w sprawy gminne.

— Utrzeć mu nosa trzeba.

— Ba! robi się, co można, ale urwą się w końcu nawet najlepsze sztuczki — odparł uśmiechnięty Sidorenko.

— To pierwszy majster do sztuczek! — wykrzyknął żandarm z uznaniem.

---

\*) Starszyna — wójt.



— Jakże inaczej? — skromnie bronił się pisarz.

— Bo i prawda; naród z dniem każdym hardziej, tylko mu popuść, a rychło i pop sam pójdzie z torbami — poparł mówiącego ojciec Prochor.

— Wy, ojcze, macie przynajmniej swoje s t a d o b a r a n ó w — na to Jerszow z odzieniem zazdrości.

Wszyscy trzej na te słowa wybuchnęli śmiechem, a pop mówił dalej żałośnie:

— I wśród nich coś się psuje widocznie. Dawniej nie brali ślubów, nie chrzcili dzieci w cerkwi, nie chodzili do spowiedzi, ale płacili i płacili w pokorze. Dziś każdy taki pies, niegdyś unicki, kłóci się o każdą kopiejkę i kręci, niczem żyd.

— Donieść by, ojcze, na kilku dla postrachu — doradził Jerszow.

— Robiły to już moje dziewczki, a ja z konsystorza odbierałem nosy.

— Odwołać się do policyi, do gminy — dodał Sidorenko.

— Dziękuję uniżenie: nie mam nic do podziału — ze złością zachnął się pop.

— Lepiej po czarce, ojcze! — wtrącił na zgodę żandarm.

Gospodarz oczywiście nic nie miał przeciw temu, ale karafka była próżna, a po nową iść się nie ważył.

Na szczęście przybyli tu nowi goście: dzierzawca Chłystowicz i Czujko.

Chłystowicz, przystojny i dostatnio odziany, brunet, o ponurej, ściągłej twarzy, budził jakiś lęk w kole znajomych i imponował zamożnością.

Więc też gospodarz i inni goście witali go z wyszukaną grzecznością, a po chwili ojciec Prochor śmiało zawołał o nowy transport wódki i przekąsek.

— A każ tam »batuszka« wybrać z sonek baryłkę dobrej gorzałki i pij z myślą, że to ostatni mój upominek dla was — dość chmurnie zagadnął pan dzierżawca.

— Z serca dziękuję i pozwólcie, że nie uwierzę słowom waszym — zaprzeczył gospodarz ze słodkim uśmiechem.

— Ja to samo mówię — dodał Czujko.

— No, zobaczycie! Od wiosny wyganiają mnie z Kopliszek, które kupuje... no! zgadnijcie też — kto?

Wszyscy powstali silnie poruszeni, bo wszyscy żywili się coś nie coś z rąk Chłystowicza, z powodu jego potajemnej gorzelni.

— Nie wierzę! Chcesz nas, panie, przstraszyć tylko — przebaknął gospodarz.

— A któżby tu się ważył na kupno takie? — z pewnością siebie oświadczył Sidorenko.

Jerszow myślał najdłużej, a wreszcie ozwał się dyskretnie:

— Po co mi zgadywać, kiedy i tak dość wcześniej o tem wiedzieć muszę.

— Ot tobie! — warknął naraz wściekle Chłystowicz, pokazując najprawdziwszą figę żandarmowi.

Ów się nieco obraził.

— Pan dzierżawca dziś trochę nie w humorze.

— A skądże tu humor, do stu biesów! — Po kilkunastu latach wyganiają cię, jak

psa, i oddają taki majątek chamowi, tak, — chamowi, Brażysowi z zaścianka.

— Brażysowi?! — buchnęło z czterech piersi całą gamą zdumienia i oburzenia.

— Tak, jemu; zmógł się, psie plemię, ma pieniądze i dał zadatek dziedzicowi w Wilnie.

— Żarty, czy co! toć my mu nigdy pozwolenia na to kupno nie damy — zaprzeczył żandarm.

— Głupie gadanie! Zwąchał się, jucha, z tym pułkownikiem Łazowskim przez Ponarów i wyrobił sobie pozwolenie w Wilnie.

Czujko najwięcej był dotknięty tą wieścią, bo aż przybladł wyraźnie i, udając obojętność, spytał:

— Dał więc tylko zadatek, to jeszcze nie kupił?

— Lecz kupi za tydzień, bo tak mię zawiadomiono z Wilna, przy żądaniu papierów i map.

— I dużoż dał zadatku?

— Głupstwo podobno i to pożyczonemi od Ponara, bo sam nie był przygotowany do interesu.

Czujko raźniej pogładził faworyty.

A Sidorenko aż przyskoczył do Chłystowicza, by szepnąć poufnie:

— A gdyby tak nie dać papierów i map?

— Aha! nie dajcie, skoro są złożone u tego... tego wyrodka na plebanii — syknął Chłystowicz, cały mieniąc się na twarzy.

Wyraźne przygnębienie obsiadło zarówno podpitych już od godziny biesiadników, jak

nowoprzybyłych, wszyscy oni w kłęsce Chłystowicza dojrzeni własną i nieuni-  
knioną.

Wreszcie Jerszow rzekł dość obojętnie:

— Gorzelnie wszystkie i tak wkrótce upadną wraz z szynkami, skoro wejdzie w życie monopol rządowy.

— Jużci, prawda — dodał pop.

— Bajecie, niby dzieci! — gniewnie rzucił Chłystowicz. — Więc cóż ten monopol? Zabije on żydków karczmarzy i to niezupełnie, bo jaki taki będzie zawsze trudnił się sprzedażą, ale nic nie robi takiemu, co potrafi omylić czujność psiarstwa różnego i jeszcze mu więcej dochodu za ryzyko przysporzy.

— Jak świat światem, naród gorzałkę pić będzie i ostatni grosz na nią poświęci — z przekonania własnego dorzucił Sidorenko.

Gospodarz przystąpił do napełniania kieliszków, — ale Chłystowicz go wstrzymał:

— Nie tak, ojczy, my z Czujką potrzebujemy was przecie dopędzić — i, napełniwszy całą szklankę mocną wódką, wypił ją duszkiem.

— Ot, chwata! Ani się zmarszczył! — przyklasnął popisowi żandarm.

Ojciec Prochor machnął lekceważąco dłonią i, podparłszy się w boki, mówił z przyjemnością:

— Za moich czasów wszyscy wychowawcy seminaryum, przed wypuszczeniem ostatecznym, musieli tak wypić całą butelkę wódki z pod czopa. Cha, cha! była zabawa, bo prawie nikt nie poprzestawał na je-

dnej, a rznął dwie po kolei, i trupy z szybkością błyskawicy uścielały pobojuwisko.

— Wiadomo! Każdy batuszka musi wziąć pierwsze skrzypce wśród parafian — rzekł Czujko, również wychylając całą szklankę.

W kancelaryi zrobiło się duszno. Od wyziewów pijackich powstał swąd ciężki i jeszcze bardziej upajający. Ten i ów wstawał kolejno, lecz, nie władając swobodnie nogami, siadał ponownie.

Jeden tylko Chłystowicz trzymał się krzepko i był blady na twarzy.

— A ja wam powiadam — mówił on po chwili — że durnie jesteście wszyscy i niedołęgi! Macie władzę w ręku, macie zatem tysiące sposobów walki, a pozwalacie naokół, by wzrastali w siłę tacy Ponarowie, Brażysowie i ksiądz Zaranek w dodatku. Pastuchami wam być, a nie sługami carskimi!

I po tych słowach powiódł okiem śmiałym po zgromadzeniu i śmiał się brzydko, szydersko.

Ci zaś milczeli, dysząc ciężko, niby pod brzemieniem wstydu okropnego.

Nagle Czujko się zerwał i grzmotnął w stół pięścią, aż szkło zadzwoniło.

— Łzesz pan, jak ksiądz na kazaniu! Myślimy o nich wszyscy, bo nam myśleć trzeba o sobie, jeno czasu trzeba i dobrej sposobności — zawołał z entuzjazmem.

— Weźmy się za ręce wszyscy razem! — grubym basem huczał gospodarz, napróżno usiłując powstać z niskiego tapczana.

— To niby zмова, prawo nie pozwala.. — mruzczał Jerszow.

— Ależ to dla służby carskiej! — tłumaczył wykrętny Sidorenko.

— Chyba, że tak!

Dalsze atoli układy przerwali nowoprzybywający goście. Więc przybyło kilku popów z całemi rodzinami, leśniczy lasów rządowych z siostrą, potem pośrednik z Pigulewską i dwóch akcyźników.

Kancelaryę otwarto na przestrzał do saloniku i sieni, i dzięki temu mroźne powietrze ocuciło nieco podchmielonych biesiadników.

— Pietrusza pojechał do Wilna, wezwany przez sprawnika! — już w progu zawiadomiła rodziców pani stanowczyna, pozwalając się rozbierać pośrednikowi i rozdając siostronom pocałunki.

Chłystowicz kordyalnie ucałował obu akcyźników, a ojciec Prochor ośliniał z równą serdecznością wszystkich nowoprzybyłych.

— Toć i mnie się coś chyba należy! — przygadywał Czujko, śmiało się ocierając w łoku o dziewczęta domowe.

Sonia nawet zapiszczała dość głośno, lecz nikt na to uwagi nie zwrócił.

Całe towarzystwo przeszło wnet do saloniku, krom jednego Sidorenki, którego pośrednik ostrem spojrzeniem przygwoździł do progu kancelaryi.

— Ot tobie i zabawa! — mruzczał pokornie zdetonowany podwładny.

Pośrednik, akcyźnicy i leśniczy wnet utworzyli osobne kółko, a dziewczęta po-

ciągnęły ku nim pod przewodem wystrojonej stanowczyny.

Jerszow zabawiał kilku wyrostków pokazaniem swego oręza, Chłystowicz zaś i Czujko bawili poważne damy przybyłe, opowiadaniem już nie tłustych, lecz wprost cuchnących dowcipów.

Od czasu do czasu, ktoś z gości zerknął pożądliwie w stronę jadalni, skąd grzmiał donośny głos popadyi i biły nawałą lechące zapachy kuchenne.

— Cieszcie się, panienki, albowiem kawalerowie nasi zamówili muzykę na wieczór dzisiejszy — obwieściła głośno Pigulewska, najdłuższem spojrzeniem darząc pośrednika.

A popadyanki jęły przytupywać nogami i strzelać oczyma ku wybranym z młodzieży.

Czujko na to hasło podskoczył wśród szarmanckich ukłonów.

— Sądziłem, że już nie przyjdzie zaznać miłej zabawy na tej podłej prowincyi! — zawołał z zachwytem.

Jakoż panny przyjrzały mu się wtedy uważniej i półuśmiechami przyjęły zapowiedź, za to młodzież męska pogardliwie ruszyła ramionami, ginąc w kłębach dymu z papierosów.

Nagle Chłystowicz poskoczył na środek pokoju, odepchnął dwóch popów brzuchatych i, ujawszy się w boki, wrzasnął:

— Uch ja!

Puścił się szalonego kozaka, grożąc wierzganiem niemal wszystkim zebrany, którzy utworzyli koło.

A on hulał z całym rozpasaniem i szaleństwem, gotów, zda się, duszę własną wlać w ten rytm taneczny, pełny orgii pijanej i dzikich jakichś, stepowych popisów.

Już spotniał, już twarz mu ogniem paliła, a jeszcze skakał i wrzeszczał. Gale-rya wybuchnęła gromkim, przeciągłym oklaskiem.

Wreszcie osłabł, raz jeszcze wściekle przytupnął i machnął ramionami, a wtedy lampa ze stołu spadła na podłogę, tłukąc się w drobne kawałki.

Dziewczęta chórem wrzasnęły, a do salonu wpadła popadya i ujrzawszy szkodę rzuciła się na Chłystowicza:

— Rozbójniku jeden! Toż ośm rubli kosztuje ta lampa i w samym Wilnie kupiona!

Lecz znudzony tanecznik rozśmiał się tylko ochoczo i dobywszy banknot dziesięciorublowy, zatknął go jej za obwisły podbródek.

— Na, stara! kupisz sobie lepszą.

Ten manewr zręczny zażegnał burzę i dał hasło do nowej zabawy, bo dziewczęta z wyrostkami rzuciły się na wyścigi zbierać pobite kawałki lampy i usuwać ślady nafty.

— Oj, figlarze, — mruknęła popadya udo-bruchana i wezwała towarzystwo do stołu.

— Sam tę lampę kupowałem i zapłaciłem cztery ruble — szepnął Jerszow do ucha Sidorence.

W jadalni przybyło jeszcze dwóch biesiadników, którzy dotąd pełnili honorowe obowiązki służby domowej. To byli: dyak, krępy i kudłaty i młodzieńczo spojierający



nastawnik, niezmiernie silnie woniejący i wypomadowany.

Brakło nakryć, brakło krzeseł, lecz jadła i napojów była wielka mnogość. To też goście mieścili się ochoczo, jak kto chciał i mógł. Pigulewska siadła na jednym krześle razem z pośrednikiem, Chłystowicz i Czujko aż nazbyt serdecznie chwyтали wespół popadyanki, ofiarując im własne kolaną do siedzenia. Tylko popi i popadye rozsiedli się wygodnie i głusi na wszystkich i wszystko, zabrali się do jada, a w końcu stołu Jerszow zawarł z Sidorenką przymierze zaczepno-odporne odnośnie do luźnie błędzących półmisków.

Zina, pod silną kontrolą matki, kładła godniejszym po odrobinie kawioru na talerzyki, a Dunia nalewała w kieliszki portwein i maderę.

Jadła przecież nie brakło. Olbrzymie pierogi z rybą, kapustą i mięsem, były dostępne dla wszystkich, potem szły kolejno prosięta z chrzanem, ryby w galaretach, indyki nadziewane, pierożki ze słodkim twarogiem i śmietaną, wreszcie kisiel z jagód i kruche ciasteczka.

A wódkę lali dyak i nastawnik bez miłosierdzia i upamiętania, sypiąc jak z rękawa zręczne przygadki i nagląc do picia. — Piły również kobiety wódkę mocną, lecz cukrem smażonym i zapachami zaprawioną, a oblicza ich coraz to słodsze stawały się od tego trunku.

Z półbeczka, tuż w pokoju stojącego, czerpał, kto chciał, blaszanką kwas chlebowy i pił w miarę potrzeby i pragnienia

Od kuchni i izby czeladnej dolatywały czasem głośne wykrzykiwania lub śmiech grzmotliwy, co panów uczujących bawiło otuchą, że i służba równie gościnnie jest podejmowana.

Popadya zrazu powodziła oczyma za każdym półmiskiem i salaterką, lecz wkrótce się uspokoiła, natomiast jadła za troje zgłodniałych conajmniej.

Nie widziała już nawet i tego, że czuły małżonek równie pożądliwie chłonał trunki, jak ona jadło, i dzięki temu oczy mu jakoś wyraźnie zbieleły, a policzki i czoło krwią silnie nabiegły.

Goście bawili się dobrze.

Już Chłystowicz dwa razy włożył pod stół dla podjęcia chustki upuszczonej, a akcyźnicy kolejno pili zdrowie dziewcząt, klękając przed każdą lub wznosząc ją w górę na »hura!«, ku czemu znajdowali pomoc u Czujki i leśniczego.

Jeden tylko pośrednik siedział dość poważnie, natomiast Pigulewska co raz to rzucała niespokojne spojrzenie dokoła, a rękami coś poprawiała koło siebie.

Przyszła w końcu chwila, kiedy już najwytrwalsi nawet musieli położyć łyżki i widelce, dla przyzwoitości również nakrywając dłońmi kieliszki.

Można już było wtedy nieco pogadać choćby dla strawności i lepszego ducha.

Więc ten i ów zagadywał sąsiada, drugi nucił sobie półgłosem, a inny jeno wyrzucał z siebie jakieś dźwięki bez ładu i składu. Przecież zmógł się jakoś pop wiekiem naj-

starszy i podniósł się z krzesła, brzuchem i rękami wspierając się o stół biesiadniczy.

Wzrokiem i ramionami nakazał milczenie, dwa razy chrząknął i tak prawil z wolna :

— Patrzyć miło, jak ochoczo się bawi lud prawosławny ! Oto nasz, ojciec Prochor z »matuszką« Praskowią już lat trzydzieści pięć siedzą tu w tym kącie i pracują na sławę cara i wiary naszej. A pracują ciężko i krwawo, bo oto pan Bóg dał im dziełek sporo, sześć cór dorodnych i synka dzielnego, którzy cieszą ich serca i oczy rodzicielskie... Rzadka to chwila, kiedy są w gronie przyjaciół, życie zresztą całe upłynęło im wśród wrogów podstępnych, wśród zawodów i przykrości. Dziś więc nagródźmy im to wszystko dobrą ochotą i dobrem życzeniem i zgodnie krzyknijmy : hura !

— Hurrrra !!! — odpowiedzieli słuchacze, zrywając się z miejsc i tworząc straszne zamieszanie.

— Hura ! — odpowiedzieli również Sidorenko i Jerszow, a pierwszy ukrył w kieszeni spodni butelkę wódki, gdy drugi wpechnał pod mundur połowę sporego pieroga.

— Oj ciężkaż nasza dola, ciężka ! — jęczał ze łzami gospodarz. — Czy uwierzycie, goście mili, że tydzień cały pędziłem ludzi po wsi, żeby się przed wami nie zawstydzić, i przynieśli mi tylko dwa kogułki z przetrąconemi nogami, niespełna kopę jaj, cośkolwiek masła, twarogu i śmietany, no i... nic więcej, jak Bóg jest na niebie... Podły lud i podła parafia !

Szmer współczucia dał się słyszeć w gronie biesiadników.

— Ot by egzekucyę takim! — wyrwał się zandarm.

— Żydowin i ten się zmiłował, niosąc ciele i ryby! — jęczał dalej gospodarz.

— Milcz bo stary! — zgromiła małżonka, tknięta jakąś niedobrą obawą.

Lecz pop dalej obracał językiem:

— A prosięta i indyki musieliśmy kupić za własne, krwawo zapracowane pieniądze, ot! jak mię tu żywego widzicie!

— Przestańcież, ojcze, bo i jakżeby mogło być inaczej — wtrącił Czujko i brzydko się uśmiechnął.

— Świnia! — burknęła popadya.

Komu należał się ten epitet, trudno było zgadnąć, lecz Czujko uczuł się dotkniętym i wśród ciszy ogólnej tak sobie mówił od niechcienia:

— Dziś właśnie, gdym tu spieszył z życzeniami, zaszedł mi drogę Grynys i skarżył się, iż mu wczoraj z wieczora ktoś ukradł cztery indyki i pięcioro prosiąt. Nie wierzyłem, a on mię obiecywał śladem prowadzić wprost za złodziejem.

— Uf! jak gorąco! — mruknął pop Prochor.

— Jakto cztery i pięć, kiedy tylko po dwa było? — nagle wrzasnęła popadya, zrywając się od stołu.

Położenie było krytyczne, gdyż ten i ów z gości podpitych układał twarz do śmiechu i gotów był drwić sobie w przystępie dobrego humoru.

— Klaniamy się gospodarstwu i dziękujemy pokornie za chleb i sól tak gościnnie podane — rzekł najstarszy pop, powstając i zegnając się dziewięć razy.

Wszyscy raźnie skoczyli z miejsc po dwu godzinnem, uciążliwym siedzeniu. Nie było końca podziękowaniom i uściskom, w czem wszakże nie brała udziału arystokracja.

Chłystowicz schwytał w pól Paraszę i wiódł przodem, sam całując i równie rzęście odbierając pocałunki.

— Toć żonaty jesteś, rozpustniku! — upomniała popadya.

— Plwam na ciebie, wiedzmo stara! — rzucił grubijańsko przez ramię i »bawił się« dalej.

Gospodyni, ani trochę nie obrażona, poszła prosto do Czujki i wzięła go za rękę.

— I cóż pan myślisz zrobić z tą skargą Grynisa?

— Jak »matuszka« każe? — odparł ów pytaniem na pytanie.

— Zaniechaj jej dla święta dzisiejszego.

Chwilę się zawahał, ale Sonia w tej chwili ujęła go pod ramię i wezwała z sobą.

— Pal ją dyabli! — odpowiedział matce, a do dziewczyny przylepił się ochoczo.

Popadya wróciła do jadalni. Okropny tu widok przedstawił się jej oczom: dyak z żoną i ponomar z całą rodziną oczyszczali zajadle opuszczone przed chwilą pohojowisko. Więc spijali resztki z butelek i kieliszków, wylizywali półmiski i bili się niemal o kęs pieroga lub niedogryzioną kość indyka lub prosięcia.

— Za twoje zdrowie, matuszka — zawyli na jej widok.

Oburzenie zdusiło jej gardziel, więc przetoczyła się w milczeniu, kierując się do kuchni.

Tu widok nowy. Woźnice gości, pod wodzą dwóch stróżów miejscowych, już spici na umór, baraszkowali z dziewczkami służebnemi popadyi. Właśnie Mitka, snadź żołnierz odstawny, bo w szynelu i z medalem, uczył służby frontowej Mataszkę, układając jej figurę ku uciechu widzów.

Popadya przypadła z piskiem i schwyciła go za kudły.

— Toż wzięłeś wczoraj u Grynisa cztery indyki i pięcioro prosiąt. Więc, gdzie są moje indyki i prosięta? — syczała nad nim, tarmosząc bez litości.

— Zmiłuj się matuszka rodzona, jam wienien! — roztkliwił się grzesznik odrazu skruszony.

— Gdzież są? — badała, nie wypuszczając z rąk jego czupryny.

— Mordko zabrał indyki, bo mówił, że mu się należą za ciele, a dyak wziął świnki na przychówek.

— Złodzieje! rozbójniki! — kleła popadya, puszcżając włosy winowajcy i dając mu natomiast kilka strzelistych policzków.

A pijana gawiedź wyraziła swoje uznanie dla niej śmiechem chóralnym.

Przez chwilę myślała, że zapłacze, tak ją coś zdusiło w gardle, lecz zmogła się jakoś, bo czas już był wielki pomyśleć o nowej uczcie wieczornej. Tu zaś opadały jej

ramiona i nogi niesłużyły ze zmęczenia i wzruszeń.

— Oszczekają mię ludzie! — przyszło jej na myśl i głosem najłagodniejszym przywołała dyaka.

— Gołąbku ty mój, już ci daruję te świnki wczorajsze, lecz weź się co rychlej do wieczerzy i nie zrób mi zawodu, a ja cię ucałuję, mój ty serdeczny!

Ów zaś trząsnął jeno łbem, wypił półgarcówkę kwasu i był już gotów do dalszych poświęceń.

— Bądź ty spokojna, matuszka, wszystko będzie na czas i w porządku.

Wtedy popadya z uczuciem ulgi wyraźniej wróciła do salonu. Tu panowała zupełna anarchia.

Akcyźnicy z leśniczym dobrali sobie najtrzeźwiejszego popa i zasiedli w kancelaryi do pulki preferansa.

— Nie mam hroszy! — bronił się wybrańiec.

— Nie to, masz brodę za to szeroką — odpowiedziano mu dla uspokojenia.

Gospodarz i dwaj inni popi zalegli tapczany w kancelaryi.

Panny domowe usunęły się z przyjezdny-mi na górę, do dwóch izdebek dziewiczych, lecz zrobiły to tak cicho i sekretnie, że Chłystowicz, Czujko i nastawnik chyłkiem wnet za nimi pomknęli.

Mamy i wszelakie wyrostki pozostały w salonie i wyszukiwali kątków zacisznych. Więc gospodyni uprzejma zabrała dwie jeszcze popadye i zawiodła ze sobą do sypialni małżeńskiej.

Pigulewska jakoś zginęła wraz z pośrednikiem, po krótkich układach z nastawnikiem. Sidorenko zaś i Jerszow uznali, że dla nich już dość będzie i cichaczem odjechali do domu.

Jakoż już zmierzchało się powoli. Na dole słychać było jeno ochryple głosy graczy i stuk w kuchni, za to na górze wrzało niby w ulu, w przybytku dziewiczym. Znalazły się orzechy, ziarna dyni i jabłka, więc uczta trwała w dalszym ciągu.

Nastawnik z szybkością maszyny gryzł orzechy potężnymi szczękami i wyluskane ofiarowywał wybrankom; za co mu inne dziewczęta płaciły łupinami, rzucanymi wprost w oczy, a Chłystowicz wyciął kilka potężnych szczuteków w oba uszy.

Przystojny Czujko grał z każdą kolejno w cetno i lichy o całusy i brał je zawsze bez różnicy, czy wygrywał, czy przegrywał. A gdy bronily się skromne panienki, ogarniał ramionami po dwie lub trzy i tak trzymał w niewoli, żądając wykupnego.

Światła nie palono, ażeby przedłużyć tak miłą szarą godzinę. Tylko nastawnik świecił co chwilę zapalką, czując szeptły zduszone i namiętne oddechy w pobliżu. Gaszono jednak zapalkę wśród wrzasku i śmiechu, i szturkano go bez litości. Zresztą wiedziały panny zbyt dobrze o tem, że opiekują się wzajem, więc też niewinnej zabawy nie myślały sobie żałować.

Figlarki! Udało im się wyciągnąć kieskę z kieszeni dzierzawcy i wnet jej zawartość podzieliły między siebie.

Kiedy się pokrzywdzony spostrzegł, roz-



śmiały się tylko i upewniły, że o niczem nie wiedzą.

— Oddajcie lepiej, gdyż zrewiduję każdą najskrupulatniej! — próbował zrazu żartować, choć w duszy żal mu było dość poważnie zagrożonych kilkunastu rubli.

— Proszę sobie szukać — wołały.

— Tylko skromnie! — upomniała Zina.

— Za nic nie ręczę! — odgrażał się Chłystowicz.

Czujko postanowił wyzyskać dobrą sposobność, lecz ukrył wprzód własne pieniądze na piersiach.

Wtedy zrozpaczony nastawnik pchnął szpilkę w ciało Chłystowicza, a sam chyłkiem skoczył na stronę.

— Ooo!! — wrzasnął ugodzony i zaczął kłaść bez upamiętania, wołając o ogień i światło.

Nagle z dołu doleciały odgłosy, zapowiedzianej orkiestry. Przeraźliwy klarnet świrował uszy, basetla huczała jednym tonem zeciągłym, a skrzypce wesołym piskiem zapraszały do tańca.

Panienki porwały się tłumnie i jęły wyganiać nie żartem kawalerów.

— Musimy stroje nieco poprawić!

— Musimy włosy ułożyć!

— Trzeba zmienić trzewiki!

Tak wołały na wyścigi i trzepotały się, niby kuropatwy w sidła schwywane.

— A moje pieniądze? — gniewnie burknął Chłystowicz.

Daremne starania! Przepadły bez wieści.

---

Tańce już trwały od dwóch godzin. Rozpierzchli goście zebrali się w komplecie w bawialni, oprócz gospodarza jedynie, który zagrzebał się pod futro i zasnął, podług zwyczaju, na całą dobę.

Pigulewska nawet nie patrzyła już na pośrednika, który zapuścił się z popami w poważną rozmowę o poskromieniu »s t a d a b a r a n ó w«.

Popadyanki roznosiły herbatę z konfiturami, a nastawnik dolewał wybrańcom śmietanki z trzymanej karafki.

— To z wściekłej krowy — dowcipkował przy tem.

Zresztą wszyscy byli trzeźwi i przejęci jakąś tajemniczą skruchą wobec gospodarzy. Jeden tylko Chłystowicz był chmurny, choć mu śmietanki dolewano pół na pół do szklanki.

Niespodziewanie przybył jeszcze gość jeden.

— Stróżko-Zarucki! — cichym szmerem rozległo się nazwisko przybysza, a w chwilę później wszedł on sam w długich butach i ciepłej marynarce.

Lecz nie żenował się bynajmniej i od niechcienia powitawszy zebranych, wstrząsnął ręką gospodyni, mówiąc:

— W przejeździe przypomniałem sobie o przyjęciu u was i zajechałem, bo myślę, że na takim balu zawsze coś sędzie śledczy znajdzie do roboty.

Śmiał się przy tem złośliwie i drwiąco.

— A zawsze tensam żartowniś! — z uśmiechem odpowiedziała popadya, kryjąc gniew i sporą dozę obawy.

Nie ją jedną wszakże przerażał i gniewał Stróżko-Zarucki. Miał on opinię dwuosobowego maniaka i tem gorszego, że nikt nie mógł przewidzieć, kiedy będzie jednym osobnikiem lub drugim. W dodatku pił dużo, był gwałtowny nad miarę, miał duże stosunki i lekcewał wszystkich.

Wiedziano także, że po ojcu był arystokratą moskiewskim, a po matce Polce, nie gorszym szlachcicem. Lecz to bynajmniej nie tłumaczyło, czemu raz był strasznym prześladowcą Polaków, a drugi raz śliną pogardy obrzucał wszystkich Rosyan bez wyjątku.

To też całe towarzystwo było, jakby mrozem ostrym zwarzone.

On zaś zapalił najspokojniej papierosa i przysiadł się do Pigulewskiej na pogawędkę.

— Cóż tam słychać u pana stanowego?

— Bawi w Wilnie w interesach służby.

— Wiem coś o tem: podobno coś tam zabrakło z pieniędzy skarbowych. A u pani? — pytał dalej.

— Siedzę zwykle w domu i dziś tylko wybrałam się złożyć życzenia rodzicom — tłumaczyła się zażenowana i onieśmielona kobiecina.

— To rozczulające! — Czy pani nie sądzi, że ten nasz pośrednik ma wyraz twarzy skończonego idioty?

— Ja... ja się nie znam na tem.

— To całe szczęście... dla pani — odparł na to z wielką serdecznością.

Lecz wstał już i z gracyą podając ramię przechodzącej właśnie Soni, zaczął

chodzić po bawialni, jakby nie słysząc i nie widząc, że akcyznicy wraz z Czujką namiętnie walcowali po środku, nadmiernie czule ściskając tancerki w objęciu.

— Moja piękna, czy wy dziś jeszcze choć raz jeść będziecie? — spytał zalotnie.

— Zaraz będzie kolacja.

— To dobrze, aniele! bądźże mi duchem dobrym i opiekuńczym i postaw przy mojem nakryciu butelkę koniaku, a ja ci rączkę uścisknę, jeśli raczysz usiąść przy mnie.

Sonia przyrzekła i wnet odbiegła, by spełnić przyrzeczenie, a Stróżko-Zarucki ujął za ramię kłaniającego się i spoconego Czujkę i pchał go przed sobą do kancelaryi.

— A ty, Wasyl, co robisz?

— Na służbie jestem — krzepił się zaczepiony, lekko blednąc i chwytając pamięcią niedawne wspomnienia o swej służbie w Kownie.

— Bacz jeno, synku, bym cię zbyt często nie miał na oczach — upomniał sędzia śledczy i odwrócił się plecami do ulubieńca popadyanek.

— Dyabli go tu przynieśli! — pomyślał sobie Czujko i przysiadł się skromnie do nastawnika.

— Kim on dziś będzie? — po raz dziesiąty już starała się odgadnąć popadya i z chmurą na czole wezwała gości do jadalni.

— Bądźcież łaskawi, goście najmilsi, i darujcie, że mój stary z powodu słabości wam służyć nie może — prosiła i usprawiedliwiała się przy tem..

I oto przyszedł kłeski kolejną.

Więc najprzód pierogi wieczorne przyszedły na stół półsurowe.

— Nie to, matuszka, jutro dopieczesz i zjesz za zdrowie gości — drwił Stróżko-Zarucki, pijąc koniak wielkimi kieliszkami i przegryzając plasterkami cytryny z cukrem.

A goście próbowali z różnych końców i ze środka, trochę zjedli z cicha ganiąc a resztę ze złości popsuli.

— Dawajcież pieczyste! — ratowała pozycję popadya, śląc córki raz w raz do kuchni a z niemi razem przekleństwo dla dyaka.

Bo i słusznie.

Za chwilę przyszedł na stół zające spalone na węgiel, a koguty w potrawie okazały się nie wypatroszone.

— Dajcie mi tu tego łajdaka! — zaszlochła popadya, drąc suknię na sobie i uzbrajając się w widelec.

Oczywiście goście ją uspokoili, a zresztą dyak już od pół godziny ruszył na sióło gdzieś w gościnę.

Obie popadye sznurowały sobie buzie z wielkim wysiłkiem i zapewniały, że wszyscy są syci aż do niestrawności. Pannom taniec więcej był w głowie i na ustach, a mężczyźni ratowali się, jak się dało, wódeczką, grzybkami i wędliną.

Wszakże dwaj popi zabrali się do kogutów, słusznie rozumując:

— Nie trzeba wewnątrz zaglądać, a z wierzchu mięso zjeść można.

Więc choć to i owo nie dopisało, zabawy

było i śmiechu nie mało, a skutek po godzinie tensam, co przy obiedzie. Oblicza się zaczerwieniły, oczy zapalały, a z gęb buchało zapachem wódczanym i wyuzdaniem, ile że dowcipny Stróżko-Zarucki dawał ku temu pobudkę nie skąpą.

Już nawet pulchna Praskowia wracała do jakiej takiej równowagi, odzyskując godność uprzejmej gospodyni, a akcyźnicy z leśniczym zaczęli wymieniać z pannami pierwsze strzały nie dość przystojnych zapalów, gdy...

Powstał pan sędzia śledczy, nieco błądy na twarzy, a z palającymi oczyma i, wychylając resztki koniaku, śmiało się odezwał:

— Jestem pewny, że szanowni goście, czcząc dzień tak uroczysty, zapomnieli o ukochanym jedynaku godnych gospodarstwa. Więc wnoszę zdrowie tego dzielnego młodziana, co ostatecznym wyrokiem sądu okręgowego mohylewskiego został skazany, za kradzież na cztery lat rot aresztanckich.

Niby grom uderzył w rozochoconych biesiadników. Otwarli gęby, wybałuszyli zamroczone oczy, a w piersi chwyтали powietrze.

Popadya z cichym jękiem rozłożyła ramiona i zemdląła w ramionach najbliższych sąsiadów.

— Ot nieszczęście! — rzekł pop, wiekiem najstarszy.

— Ratujcie biedaczkę! — porwały się na raz wszystkie popadye.

Większość gości nic nie wiedziała o istnieniu tego syna, a nikt zupełnie nie sądził,

ażebym aż tak się zapomniał. Ten i ów z mężczyzn w poczuciu wspaniałomyślności jał sarkac na niepotrzebnego gońca złej wieści.

Ale Stróżko-Zarucki tem się bynajmniej nie stropił i ciągnął rzecz dalej:

— Nie udawaj, matuszka, wszak wiesz już o tem dobrze od tygodnia, a chciało ci się balu; więc też i ja dary swoje przynoszę.

Popadya wzdrygnęła się i oczy otwarła, z cicha szlochając:

— Sponiewierali mi chłopca za głupstwo! Młody, jak młody, wiecznie łaknął pieniędzy, a skądże ich miał wziąć? Pisał do nas raz po raz i prosił, ale nic nie wskórał, bo i u nas nędza... A tu szła pocztą suma skarbową, przeszło pięć tysięcy... Capnął nieborak, lecz capnął rozumnie, bo wszystko przewidział i ślady zatarł za sobą. Trzebaż niedoli, że jeden podły Polak, poczytylion, to podpatrzył, więc mój Waniusza tknął mu zaraz w zęby pięćset rubli. I cóż powiecie, goście mili? Zbój ten wziął pieniądze i wydał Waniuszę. Podły naród! Podłe Polaki! Wszak łotr ten nawet nie zwrócił chłopcu mojemu jego pieniędzy, lecz złożył prokuratorowi... I teraz Waniusza, po wyroku, pisze do nas, prosząc choć o kilka rubli, bo siedzi bez kopiejki przy duszy — zakończyła matka głosem rozdzierającym.

Wtedy jeden z popów dobył rubla i rzucił na stół, mówiąc:

— Każdemu może się przytrafić nieszczęście! Daję część swoją na składkę dla biedaka.

Akcyźnicy i leśniczy sięgnęli również do kieszeni, a Chłystowicz spojrział ze złością na dziewczęta i burknął:

— Taki już ród widać!

Popadya ocierała już oczy, gdy Stróżko-Zarucki, wodząo oczyma po wszystkich, rzucił ponownie.

— Wspomóżcie Waniuszę, bo sami dziś lub jutro podobnego losu doznacie.

— Zamknąćby gębę temu kraczącemu ptakowi! — wybuchnął Chłystowicz, oczyma powołując Czujkę do wystąpienia.

Ten atoli spuścił oczy skromnie i bawił się guzikami munduru.

— S k a t i n a! — mruknęli popi, zgodnie wstając od stołu i wychodząc do salonu, dokąd wnet cizba cała się zwała.

— Muzyka, grać! — huknął nastawnik i schował się za panny.

Lecz sędzia śledczy wpadł w istny szal niszczycielski i buntowniczy. Podskoczył do żydków muzykantów i, rzucając im kilka rubli, rozkazał donośnie:

— Żebym za pięć minut śladu waszego już tu nie znalazł.

Żydzi ukłonili się do ziemi i chyłkiem umknęli za drzwi.

A człowiek dwuosobowy ze spokojem przedziwnym podchodził kolejno do popów i, chwytając ich za brody dostatnie, wiódł przed obrazy, oświetlone lampą, i stawiał w szeregu.

Już stanęli wszyscy trzej. On natenczas wetknął w zęby każdemu po rublu srebrnym i rozkazał dobitnie:



— Bijcie pokłony za zbawienie mej duszy.

Popi zrazu się wzdrygali.

— Bijcie pokłony! — powtórzył z naciskiem, szarpiąc za brodę najstarszego.

Więc bili pokłony i kładli znak krzyża na piersiach, wzdętych strasznym oburzeniem.

A Stróżko-Zarucki, stojąc na środku hawialni, mówił po chwili tonem modlitwy natężnionej:

— Bawcie się ludzie prawosławni! zgnijcie w pijaństwie, rozpuście i podłości wszelakiej, bo wkrótce wybije już na was godzina. Wy, dzielni działacze — wskazał na Czujkę i Chłystowicza — nakopiecie złota w kopalniach, a wy, reszta tłumu ciemnego i upodłonego pójdziecie sobą użyźniać szlaki wszechludzkiej cywilizacji i postępu.

Ostatnie słowa rzucił już, jako jęk straszny i łzami nabrzmiały i skoczył przez sień na podwórze.

— Bywaj Hrysza, sam tu! — jeszcze wrzasnął.

Potem, na widok własnych sań i woźnicy, w oka mgnieniu, zerwał z siebie odzież zwierzchnią i rzucił się piersią na śnieg podwórza.

— Kto jestem ja, Hrysza?

— Zaprzanite, Wasze Wysokoblahorodje! — odparł sługa, nawykły do czegoś podobnego i już stojący na ziemi.

— Wal dziesięć odlewanych!

Knut świsnął razy dziesięć, a Hrysza ramienia nie żałował.

— Kimże jestem jeszcze? — miękko już pytał pokutnik.

— Świnia, Wasze Wysokobłahordje!

— Pal pięć umiarkowanych!

Hrysza śpiesznie odliczył.

— Czemże jestem w istocie? — płakał już człowiek dwuosobowy.

— Nieszczęśliwym, Wasze Wysokobłahordje!

— Pożałuj mię, bracie! — ryknął Stró-zko-Zarucki, całkiem już roztkliwiony.

A gdy Hrysza go odział i okrył starannie padł twarzą na ziemię i całując ją, wśród łez, po raz pierwszy zbeszcześcił popie podwórze, rozdzierającą mową polską:

— Biednaż ty, ziemio! tyle bo płazów żywić sobą musisz, a wierne twoje dzieci żyją w ubóstwie i prześladowaniu!

W kwadrans potem nie stało już gości w domostwie popiem. Nawet skromny nastawnik rzucał się i kłął w swej izdebce, ścieląc sobie łóżko:

— Ot, naperfumowała, psia krew! a ten syn suczy zbył mię jeno trzyrublówką.

A stójko wiejski — karą zmuszony do pilnowania cerkwi i popiego obejścia, gła-skał kundla wierneho i uspokajał go słowami:

— Cichoż bo, wierny, jaskinia się już wypróżniła, to zdrzemnij się sobie, ja zaś pacierz<sup>już</sup> zmówię za pomyślność sprawy naszej.

Koniec części pierwszej.



## Część druga.

---

### Kruki rzucają się gromadnie.

Wiosna wyprawiała grymasy. Ni stąd, ni zowąd, przychodziły dni ciepłe i pogodne, a wśród nich pękały lody i topniały śniegi, tworząc strumienie i kaskady naokół, pełne szmerów burzliwych i groźnych pomruków. Aliści wnet potem wracały przymrozki, drogi ścinały się w grudę i wszystko ponownie leżało w sennej martwocie zimowej.

Więc grzbiety ludzkie, prostujące się z pierwszym, ciepłym podmuchem, kurczyły się ponownie, spojrzenia rozjaśnione nadzieją, mglily się troską i obawą, a wszędy słyszeć się dawały smutne pogwarki, że rychło braknie karmu dla ludzi i bydła.

I tak było kolejno raz, drugi i trzeci... Umysły obsiadała gnuśność jakaś, serca biły powolniej, nie słyszałeś wesołości i swobody, nie słyszałeś piosnki donośnej i raźnego hukania.

Za to karczmiszka pełne były ludu frasośliwego i jakby zczerniałego od biedy zi-

mowej, a wszyscy trzej współzawodnicy w Kopliszkach: Fajwel, Mordko i Judka, pełną garścią zbierali miedź zaśniedziałą z dłoni chłopskich.

Daremnie skrowronek furczał pod obłoki i trzepotał skrzydełkami a nucił; daremnie kotki wierzbowe pieściły oczy ludzkie myślą o wiośnie. Człek tym wskazówkom nie wierzył, kurcząc się w kozuchu i smutnie spoglądał na brudno żółkniejące zasiewy ozime, brudno szare pola w spowiciu zimowym i silnie jeszcze stężałe błota i leśne polanki.

Jak na to jeszcze kruki, szukając ścierniwa, gromadnie nachodziły zagrody i wrzaskiem przenikliwym, od świtu do nocy, urągały ludziskom, którym kurczyły się pięści w gniewie ponurym, a z ust zrywało się... bezsilne przekleństwo.

Wspaniały Czujko, milczący i groźny Jerszow, zaciętrzewiony Sidorenko częściej, niż zwykle, przemykali się drogami, a wieczorami pisali często i pisali nieraz w noc jeszcze długo.

Pisali raporty, pisali prośby i listy, a więc pisali głównie a niemal wyłącznie donosy i baśnie potworne. Zrujnowany dwór w Kopliszkach był osią wszystkich ich wycieczek, a wiecznie pijany i, jak byk ranny, rozjuszony Chłystowicz był wodzem ich, słuchaczem i hojnym amfitryonem.

Jakoż przyszły nań klęski jedna po drugiej. Więc najprzód otrzymał notaryalne wezwanie do opuszczenia majątku w ciągu trzech tygodni i zdania go nowonabywcy, Jerzemu Brażysowi.

Zrazu rozśmiał się tylko i jał przechwalać i odgrażać się w gronie kilku burłaków, żydów i spodlonych pijaków, co służyli u niego. Ale krótko trwała uciecha, gdyż wnet zjechał Czujko i zasłaniając się surowym rozkazem na piśmie od stanowego, odradził wszelką myśl o oporze władzy i buncie.

— Piotr Stepanowicz mi pisze poufnie, że sam gubernator wgląda w tę sprawę, więc żeby wszystko stało się, jak chce tego prawo — tłumaczył spokojnie.

— Czort bierz wasze prawo i Piotra Stepanowicza! Małoż to rubli złodziej ten wydoił u mnie, a gdzież miał prawo po temu? — wrzasnął Chłystowicz.

— Ja o tem nic nie wiem — ostrożnie szepnął Czujko.

— Toć i ty, wypomadowana małpo, patrzyłeś dotąd na moje ręce, a jam ci nie skąpił zera, a teraz ot tobie, — krzyczał Chłystowicz, częstując Czujkę figą pod nos.

Ten się obraził.

— Byłem przyjacielem waszym dotąd, a i teraz mógłbym być użytecznym, lecz po takim postępku...

— Pluję na was wszystkich! — przerwał jego słowa Chłystowicz, sięgając po szklanke i karafkę z wódka.

Czujko jał się munduru i szabli, jak to zwykł czynić przed odejściem, a uśmiechał się, jakby litośnie, poczem spojrział od niechcienia w okno i mówił ze zdziwieniem:

— Ot macie i gości, panie Chłystowicz, lecz pewno nieoczekiwanych?

Gospodarz rzucił się do okna i stanął skamieniały.

Z dwóch bryczek nowoprzybyłych już wysiedli w podwórzu komornik sądowy, starszyna włościański i dwóch sołtysów, a kupka chłopów stała w odwodzie, zbrojna w kije ogromne i śmiech urągliwy.

— Czego chcą tamci? — głosem zdławionym wyrzucił z siebie pytanie Chłystowicz, wspierając się na ramieniu Czujki.

Ów zaś zlekka się usunął i sięgnął w zanadrze, jakby teraz tylko przypominając o głównym celu swych odwiedzin.

— Właśnie mam tu papier, chodzi o jakiś inwentarz dotychczasowego dziedzica, wam tu zdany przed laty na przechowanie za kwitem.

— Ależ żadnego kwitu nie ma i nie było? — wykrzyknął raźniej gospodarz.

— Otóż to, że znalazł się i to najformalniejszy, więc komornik robi zajęcie dla zabezpieczenia pretensyi dziedzica starego.

Chłystowicz pobladł w jednej chwili i zalał rękę.

— Ależ to ruina dla mnie! — głucho jęknął przy tem.

Jakoż dobrze on wiedział, obejmując dwór przed kilkunastu laty, że ten inwentarz był oszacowany na dwa tysiące rubli niespełna. Lecz później, w lat coś kilka, kiedy zdołał wkraść się w zaufanie właściciela, za kilkadziesiąt rubli kupił przecie u lokaja spis ten ze swoim własnym podpisem i własnoręcznie spalił.

Więc dziś papier ten powstał z popiołów?

Zaśmiał się prawie wesoło i przyjacielsko już uderzył uradnika po ramieniu, mówiąc:

— Wypijmy lepiej na zgodę a potem pójdziemy pogadać z tymi panami w podwórzu! ha! ha! na szczęście ogień śladów nie zostawia i trawi doszczętnie.

Czujko przyjął traktament i przez wdzięczność rzucał rady i wskazówki:

— To i dobrze, jeżeli spisu nie ma; areszt będzie nieprawny i można usunąć go z łatwością, lecz z drugiej strony... mówił mi komornik, że ma jakiś dokument bardzo dostateczny...

Chłystowicz jeszcze się śmiał, bo był mocno podpity, lecz po chwili wdział kożuch i czapkę i ruszył w podwórze.

Właśnie komornik w asystencyi władz zmierzał do obory, która była chlubą Chłystowicza i przedstawiała wartość poważną.

— Czem mogę panom służyć? — zagadnął gospodarz nieco drwiąco i tylko zleka uchylając czapki.

Ale komornik był urzędnikiem wytrawnym.

— Zechce pan dobrowolnie zapłacić za inwentarz sobie powierzony przez właściciela całą należność podług oszacowania, lub też... miło nam będzie, gdy pan swoją obecnością uświęci areszt, który położymy dla zabezpieczenia sumy powyższej.

— Zgoda na pierwsze, lecz proszę o dowód, za co i ile mam płacić.

— Pan przecie sam dobrze wiedzieć musi, gdyż właściciel Kopliszek, oddając sprawę do sądu, zawiadomił jednocześnie, że

na usilne prośby pańskie kazał w lat kilka po objęciu majątku przez pana, zrobić kopię spisu inwentarza z oryginału i tę panu przez służącego doręczył — objaśnił spokojnie komornik.

— Więc to była tylko kopia? — syknął rozwścieklony Chłystowicz.

Komornik teraz już się uśmiechnął, spoglądając na starszynę.

— Akty notaryalne, panie kochany, można odnawiać aż do końca świata — dodał z uśmiechem wyższości.

Chłystowicz w jednej chwili zrozumiał swój zawód okropny i przeobraził się w dzikie zwierzę, usiłując zagrozić sobą wejście do obory i wrzeszcząc:

— Miejcie wy sobie akty, a to bydło moje i nie dam go sobie ruszyć!

A czerwonymi oczyma powodził dokoła, przyzywając do boku swego służbę spodloną i przyjaznego Czujkę. Lecz służba jakby pod ziemię się skryła, za to Czujko przywołał gromadkę chłopów i stanął przy boku... komornika.

Rzekł jeno nihy z łaski:

— Dajcież pokój, bo nic nie wskóracie, a może być tylko gorzej.

— Zdechnij, jak pies! — odparł Chłystowicz chrapliwie.

— Możeby protokół? — zaproponował starszyna.

— Lepiej go związać — rzekł na to komornik.

— Ja tam nie mam żalu — zapewnił Czujko.

I nie wiadomo, jaki obrót przybrałyby



rzeczy w dalszym ciągu, gdyby nie całkiem nieprzewidziana okoliczność. Oto Chłystowicz nagle upadł w gnój obory, tocząc pianę z gęby i wijąc się w konwulsjach.

— Zamy takie wypadki — poświadczył Czujko.

— Jemu to nie po raz pierwszy — obojętnie przytaknęli chłopci.

— To może i lepiej — rzekł w końcu komornik i przystąpił do urzędowej czynności.

Wtedy to spryt uriadnika znalazł obszerne pole do popisu. Tak bowiem manewrował przy kolejnem oglądaniu i szacowaniu inwentarza, że sumę poszukiwaną zabezpieczono w całości na krowach, wołach, koniach, i dość zasobnych zapasach śpi-chlerza.

— Rupieci domowych nie ma co ruszać, bo to zwykle najmniej warte, a kłopot z tem duży — powtórzył kilkakrotnie.

I stało się podług jego rady, choć starszyne właśnie chodziło najbardziej o te rupiecie domowe.

— Zjesz dyabła — myślał sobie Czujko — naczynia i przybory gorzelniane można jeszcze oddać, lecz wódkę można samemu w części wypić, a resztę mieć na czas późniejszy na... pamiątkę.

Lecz i komornik znalazł się w kłopotcie nie lada, komu powierzyć zajęty inwentarz i remanenta na przechowanie do czasu odbycia licytacyi. Nie chodziło o zboże, bo z tem było łatwiej, lecz o trzydzieści sztuk krów i wołów i dziesięć koni, które trzeba było karmić.

— Możeby proboszczowi? — ktoś zaproponował i wszyscy chwycili się tej myśli skwapliwie, gdyż proboszcz był w sąsiedztwie, co ułatwiało bardzo sprawę żywienia zwierząt z zapasów Chłystowicza.

— Chodźmyż do księdza proboszcza! — zgodził się łatwo komornik i ruszył wraz ze starszyną i uriadnikiem, zlecając soltysowi i chłopom dopilnowanie przedmiotów zajętych.

Czujko uśmiechał się pod wąsem i rad był z czegoś niezmiernie.

Dobyl szabli bohatersko i ruszył na czele, pamiętając na wrogie usposobienie Doskocza i Ratuja.

Lecz obawy były płonne; psy kędyś były ukryte, a na probostwie spotkano Jerzego Brażysa, który łącznie z bratem swym Pawłem, organistą, zajęty był żywą pogadanką u księdza proboszcza.

Jerzy na wieść o przybyszach raz jeszcze zwrócił się z prośbą serdeczną do proboszcza i organisty.

— Więc tak, księżę proboszczu, jeszcze kilka tygodni cierpliwości, a nie stanie tu tego wrzoda, co jest dla nas chorobą.

— Ten łośr spalił kościół i nas puści z dymem, a już to co we dworze jednego drzewa nie zostawi, a zetnie i zmarnuje, jednej szyby całej, ni zamku, ni skobla — ponuro mruknął Paweł, zaciskając usta i pięści.

Proboszcz milczał.

— I was proszę, bracie kochany, bądźcie cierpliwi i spokojni — błagał Jerzy — wiem ci to ja, że znajdę tu pustynię, ale mamy ręce zdrowe, czasu trochę przed so-

bą i miłość tej ziemi naszej, której on przecie ani zabierze, ani splugawi. Zostanie ta karmicielka dobra a przy niej dorobimy się zwolna, wszystkiego i odtąd ona naszą już będzie, naszą — czy słyszycie? — tak naszą, jak ta skóra nasza na grzbiecie i krew w żyłach naszych.

— Toć i skórę ci moskał garbuje, ilekroć przyjdzie mu ochota po temu, a krew toczy przy lada sposobności, jak to było przed rokiem w Krożach — rzekł na to ksiądz Zaranek.

— Tak jeszcze być musi do czasu, aż pójdziemy nawałą i wystawimy siłę przeciw jego sile olbrzymiej.

— Czekać i czekać jeno! — ponuro szemrał organista — a tu ci lada łotr urąga świętemu kościołowi, lada wyrzutek zatrzuwa ci życie i tobie najbliższemu.

Jerzy uważniej przyjrzał się starszemu ratu. Oczy jego pałały jakimś ogniem krytym w głębi duszy, a wychudzona twarz zdradzała bezsenność i wymęczenie.

— Chorzyście, bracie kochany? — spytał.

— Jużci, że chory, bo noce całe waruje u progu kościoła, albo tu na plebanii, bo Chłystowicz zapowiada wszędzie, że zanim stąd pójdzie musi nas zniszczyć z krete sem.

— Niedoczekanie jego! — zajadle szepnął Paweł.

— Dziś jeszcze objadę kilka wsi i namówię ludzi, by stali wam tu co noc pod dwóch albo trzech chłopców na wartownika.

— Staszek poczciwy i wasz Janek dawno

już nam pomagają — rzekł na to ksiądz z pewną tkliwością.

Ale wnet przybrał wyraz suchy i niechętny, gdy weszli do pokoju goście nowoprzybyli.

Czujko zaraz szepnął niby poufnie, półgłosem :

— Otośmy się uporali z wrogiem zaciętym księdza dobrodzieja i oddajemy go tu na opiekę i pod wasze oko.

Był najmocniej przekonany, że w ten sposób zdobędzie dla siebie tytuł do korzystania z wdzięczności proboszcza, więc zdumiał się, gdy ten odparł głośno i, stanowczo :

— Moje stanowisko nie pozwala mi na jakikolwiek udział rzeczowy wśród stron spór wiodących, więc nie chcę wiedzieć o niczem.

Ale komornik i Czujko zaczęli nalegać z naciskiem półurzędowym, co widząc wystąpił Jerzy Brażys z propozycją, że on przyjmie krowy, woły i konie do siebie.

— Rachunek za utrzymanie będzie nader łatwy przez te dni dziesięć lub parę tygodni: ja dam słomę, siano i owies i proszę mi odpowiednią ilość tych produktów zabezpieczyć tu w Kopliszkach z zapasów pana Chłystowicza, gdyż ja dwór obejmę po upływie tego czasu.

Plan był dobry i odrazu rozcinał wiele trudności, lecz proboszcz i brat organista obawiali się jakichś przyczepiek późniejszych ze strony Chłystowicza i odradzali Jerzemu mieszania się do tej sprawy.

— Niczego się bać nie potrzebuję, bo dla

dozoru bydła i koni pan starszyna wyzna-  
czy trzech ludzi ze wsi, którzy będą ró-  
wnież odpowiedzialni wobec władzy za ca-  
łość przyjętego inwentarza.

O najważniejszej rzeczy nie mówił, o tem  
mianowicie, że miał nadzieję cały ten in-  
wentarz z wolnej ręki nabyć u Chłystowic-  
za i w ten sposób całą sprawę załatwić.  
Oczywiście nie przypuszczał nawet, że ta-  
cy, jak Chłystowicz, wolą ruinę ostateczną  
lub zbrodnię nawet, niżli jakiś układ szla-  
chetny, choćby nieco dla siebie dotkliwy.

Więc też plan cały zyskał uznanie u obec-  
nych przedstawicieli władz, a Czujko, ba-  
czny na przyszłą rolę Jerzego, jako właściciela  
poważnego majątku, zwrócił się doń  
z wylaniem swej gotowości do usług i na-  
leżnego uszanowania.

Komornik, zajęty jedynie rachunkiem  
oczekiwanych zysków za taksę i ewentual-  
ną sprzedaż przyaresztowanych przedmio-  
tów, po spisaniu niezbędnych dokumentów  
i podpisaniu ich przez świadków i przed-  
stawicieli władzy, zabierał się do opusz-  
czenia plebanii. Jeszcze chwilę czegoś  
zwłóczył i oglądał się na drzwi i gospoda-  
rza.

Czujko rozśmiał się dobrodusznie.

— Książd dobrodziej zwykł gości słowem  
bożem jedynie przyjmować.

— A czasem to i egzorcyzmami — mru-  
knął zgryźliwy organista.

Proboszcz zaś w milczeniu chodził po po-  
koju, jakby gości nie widział a słów ich  
nie słyszał.

Więc też opuścili plebanię gromadnie,

bo Jerzy nawet musiał pospieszyć do siebie, aby przygotować miejsce dla bydła i koni, które pod eskortą sołtysów miało wnet ruszać ze dworu.

Uriadnik odprowadził komornika i starszynę do jednej z karczem, do rudowłosego Fajwła, a sam pospieszył do Chłystowicza, ażeby dopilnować niezwłocznego wykonania rozkazów władzy.

— To ptaszek! znam go dobrze i muszę pilnować, ażeby nie było jakiej obrazy prawa lub też jego przedstawicieli — rzekł do towarzyszków na pożegnanie.

Komornik wtedy pomyślał sobie, że gdyby wszędzie byli tacy uriadnicy, mógłby bezpieczniej, niżli dotąd, jeździć dla aresztów po wsiach, folwarkach i zaściankach. A zaraz potem jął się obmacywać po głowie, twarzy i kończynach, jakby w poczuciu słusznej rozkoszy, że wszystko zostaje na miejscu właściwem i w stanie zupełnie przyzwoitym.

Ze dworu już zdala dolatywały dzikie wrzaski i przekleństwa. Chłystowicz, przyniesiony przez żonę i służbę do kancelaryi i ułożony na słomie, wnet po odjeździe niepożądanych gości został poddany energicznej kuracyi.

Nie było to zresztą ani nie bardzo wymyślnego, ani też skomplikowanego. Oto dwóch parobków trzymało go pod ramiona nad balią, a żona lała mu na łeb, twarz i kark obfity strumień wody, donoszonej wiadrami ze studni.

Zrazu twarz fioletowo-siną zwolna stawała się czerwono-siną, czerwoną, czerwono-

nawą, aż zbladła prawie zupełnie. Pomagało temu i to prawdopodobnie, że rozute nogi tarł pastuch niemal do krwi rohożą, maczaną w wodzie gorącej i popiele.

Był więc to najprostszy i najskuteczniejszy sposób do szybkiej odmiany kierunku napływu krwi i usuwania wpływu gazów alkoholowych. Po upływie pół godziny okazały się dobre skutki kuracyi. Chłystowicz szarpnął się raz i drugi, wreszcie kichnął grzmotliwie razy dziesięć, poczem silnie wierzgnął nogami.

— Budzi się nieboraczek! — ucieszyła się żona, prosta i ograniczona babina.

— Poszły won, ścierwa! — nagle wrzasnął ów nieboraczek, kopnięciem nogi obalając pastucha, a kułakami waląc na oślep to żonę, to parobków, stojących przy głowie.

Zerwał się na równe nogi, prychnął i wstrząsnął się energicznie i jeszcze trochę błędniemi oczyma wodząc po obecnych, zagadnął:

— Co to było? co jest?

— Głupstwo, lubciu, zasłabłeś; wnet ci ziółek naparzę, lecz odziej się i nie ziębnij — uspokajała babina, zarzucają mu kozuch na ramiona.

Więc brał na się kolejno buty, suchą bieliznę, kurtę i kozuch, a wraz z tem wracała mu pamięć świeżych wypadków i wściełość, acz już słabsza, rozpaliała mu krew i prężyła mięśnie.

— Gdzież te łotry? — spytał raz i drugi w zapamiętałości, aż spostrzegł dopiero, że nikogo w kancelaryi już nie ma.

Zabierał się tedy do wyjścia, biorąc kij w rękę co najtęższy z kąta, gdy wszedł współczułem na gębie omaszczony Czujko i od progu mówił cicho i łagodnie:

— Nic się złego nie stało, a nawet lepiej, niżli to sobie wyobrażacie. Bydło wasze i konie wyprawiono pod straż i opiekę Jerzego Brażysa i on za nie odpowie. Kiep jestem, — tu głos zniżył uriadnik — jeśli w ciągu paru dni nie spotka go jakieś nieszczęście, za które płacić będzie wraz z tatulem hardym i dziedzicem z Ponar.

— Nie brechaj, złodzieju! Gdyby i tak nawet było, któż mi wróci za bydło i konie? — zachnął się gniewnie gospodarz.

— Głupi z was człowiek! Przecież to bydło i konie pójdą i tak za owe dwa tysiące, a jam was uchronił przed aresztem wódki i naczyń gorzelnianych, a to, toby pachniało nie dwoma tysiącami.

— Wszystko jedno! Ieb bym komu rozwalił i poszedł do turmy.

— Mądra myśl — ani słowa! To chcecie zgnić w turmie, a tu niech się dorabia całe gniazdo Brażysów, niech tryumfuje ksiądz Zaranek, niech wzmagają się w siły te chłopcy polskie i szlachta, na szkodę cara i matuszki Rosyi — huczał Czujko z zapalem i pogardliwym uśmiechem.

Chłystowicz przeżył się zwolna pod działaniem tych słów, oczy już świeciły nienawiścią, a twarz cała przybrała wyraz drapieżności dzikiej i okrucieństwa.

— Na śmierć im! na śmierć tym świętoszkom i wiecznie rozplakanyom ofiarom! — wykrzyknął energicznie.



Tego też było potrzeba Czujce. Wnet go ujął pod ramię i siedli do cichej i poufnej gawędy, bacząc troskliwie, aby nikt ich nie podsłuchał.

O zmierzchu zaś wymknęli się nieznacznie do karczmy Fajwela i wszedłszy przez płot od ogrodu, zamknęli się wraz z rudowłosym Judaszem na długą, ponowną naradę.

Rozstawali się już późnym wieczorem, gniotąc wzajem dłonie swoje w długim, łotrowskim uścisku i rozmawiając półsłówkami:

— Więc jutro... w nocy... wy z fantymi, ja tu dopilnuję... dziś włączcie do łóżka i zostańcie tak ze dwa dni. Konie swoje weźmiecie bez okupu... tamci niech o sobie pamiętają skądinąd.

— A cóż to mnie nic nie kapnie?... Stary ma grosze bogate... sam chcesz wziąć wszystko...

— Nie daliście mi pensyi za ostatni... nie dacie już chyba wcale... rzecz bardzo ryzykowna... o biedę nie trudno, a dla mnie najciężej...

Wreszcie stanęła zgoda i rozeszli się, niby dwa cienie. Ich kroki stłumiła nieco rozmiękła już ziemia, bo drobny deszcz kroił od paru godzin i jednostajnym szmerem otoczył uspioną naturę.

---

Rankiem dnia następnego cisza i spokój panowały w szczelnej zagrodzie Hładkiego, kędy mieszkał uriadnik wszechładny. Zresztą tak było tu prawie zawsze. Od wrót

obejścia do ganku domu wiodła szczelnie oparkaniona uliczka: przy wrotach chłopiec niemowa, a w ganku dyżurny dziesiętnik podawali sobie z rąk do rąk interesentów, żydów i chłopów, przed oblicze władcy i z powrotem, lub też nie puszczaali ich wcale.

Nikt się nie kłócił, nikt nie hałasował z oburzenia lub gniewu, bo każdy wyraz głośniejszy, każde zaprzeczenie lub groźba były jeno nowym haraczem na kieszeń niebacznego.

Za to przed domem, w ulicy, jak dzień długi, można było słyszeć zduszone przekleństwa, groźne pomruki i widzieć pięści kurczem ściśnięte.

Dnia tego było spokojnie, choć rynek w Kropianach wrzał ożywieniem zwykłego targu tygodniowego. Czujko zwykł ukazywać się tłumom około południa lub w wyjątkowych wypadkach, sprawy zaś zwykłe, sprawy ściągania daniny targowej z chłopów i żydów, spełniała wybornie Głusza, obchodząc targowisko w towarzystwie sołtysa, z dwoma koszami i dwoma workami.

Uriadnik przeto mógł być spokojny, nie bowiem nie uszło jej baczości: zbierała jaja, motki nici, masło, serki, i płótna, kompletowała nowemi okazami prosiąt, kur i kaczek zasoby własne, nie zapominała również o mięsie świeżem, ośmina zboża tego i owego, a jak się zdarzyło — o rybach i zwierzyńie.

Tego ranka już po raz trzeci wyszła zabiegliwa gosposia na rynek, a cała była w ognjach zapału przy swej pracy owoc-

nej i z niezwykłą energią podejmowanej. — Zaledwie zdążyła już od wrót rzucić krótki rozkaz dziesiętnikowi, ażeby podał samowar Czujce, a niemowę na migi zapędziła do odpowiedniego ukrycia poznoszonych zapasów.

O starym gospodarzu całkiem zapomniała. Ów zaś siedział w kozuchu za stołem i z powagą odczytywał księgę nabożną, mrużeniem i przystankami, pełnemi ascetycznego zachwyfu, składając świadectwo zupełnego przejścia się pouczającą treścią. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej, że księga była zapisana w języku cerkiewnosłowiańskim, który mało rozumiał, mniej jeszcze, że odczytywał właśnie rozdział o istocie Trójcy Św., którego już nic a nic nie rozumiał.

Czytał i napawał się samym dźwiękiem słów wielkich i świętych.

Starzec to był suchy, lecz nie osiwały, o mocnym, skudlonym, zaroście na głowie i twarzy i ponurym wejrzeniu.

Nagle musiał podnieść głowę, bo Czujko szarpnął go silnie za ramię i rzekł poważnie:

— Rzuć te głupstwa, stary niedołego, gdyż trzeba pogadać o interesie.

Hładkij zamknął księgę w milczeniu, uderzył przed obrazami kilka pokłonów, zegnając krzyżem swą pierś dość szeroką i spojrział wreszcie na Czujkę pytająco:

Uriadnik przysiadł na ławie i tak ciągnął dalej, świdrując oczyma w twarzy jego:

— My się dotąd jeszcze nie rozgadali z sobą na czysto. Ty bo myślisz, stary, że

ja jestem dureń i nic nie wiem i nic nie widzę, a fu rzecz się ma całkiem inaczej. Ja od samego przyjazdu już nigdy nie mogę trafić na ślady koni skradzionych w okolicy, bo trafić nie chcę... Czy rozumiesz stary? — nie chcę, a cóż miałem i mam za to?

Gdy Czujko czekał na odpowiedź, Hładkij obrzucił go spojrzeniem pełnem lekceważenia i zaśmiał się z cicha. A po chwili drażnił go, mówiąc zwolna:

— Także dobrodziej nowy! a któż cię tu przysłał na mieszkanie do mnie, jak nie sam Pigulewskij; więc tybyś chciał jego tropić i na jego dochód dybać?

— Lecz mogę raz i drugi schwytać żydów i twoich pomocników i od nich wziąć okup sowity — rzekł Czujko z brawurą.

Wtedy Hładkij zmienił się w jednej chwili. Wyprostował się tak, że głową niemal sięgnął powały chafy, błysnął białkami oczu, zaśmiał się dziko i dobył do połowy noża ukrytego w zanadrzu.

— Ot tobie! zobacz, jaki to przyjaciel wierny i cichy...

Atletyczny Czujko zadrżał na widok tego, niby schorzałego starca, który się w oczach jego przeistoczył w groźnego zbója.

— Zresztą ja nic nie żądam za przeszłość — pospieszył dodać — ale proponuję układy na przyszłość, równie korzystne dla ciebie, jak i dla mnie.

— Obejdę się bez twojej pomocy — mruknął Hładkij, siadając na ławie.

Nie pozostawało tedy nic innego Czujce, jak uderzyć w tony prośby i przyjacielskiego zaufania.

— Ho, ho! stary, ale jary! ty bo i o Głuszę jeszczebyś gotów, ze mną wojować?

Hładkij drgnął aż nazbyt wyraźnie i ponownie błysnął oczyma, sięgając jakby mimowoli w zanadrze.

— Niech żarty głupie nie trzymają się wego języka... Baba, jak baba, uczepiła się niby ciebie, ale ona cię nie miłuje, jeno dba o siebie...

Czujko zaśmiał się już zupełnie wesoło.

— Obdziera mię też, niby chłop lipę w dworskim lesie, i jabym sam rad ją tobie oddać zupełnie niechby się odczepiła tylko.

— Ja tak i widział od pierwszej chwili: oboje wy bawicie się trochę, ale mi Głusza serca nie odbiera... Inaczej, dawnoby ty już poznał się z moimi dłońmi i moim nożykiem... — mrucał Hładkij głosem miękkim, jakby żałośnym.

— Upewniam cię, stary, że na jej serce nigdy nie spekulowałem — gorąco zapewnił uriadnik.

Hładkij spojrział wtedy weselej i rzekł z cicha:

— To gadajże teraz o tych układach i projektach.

Więc uriadnik wyszedł na chwilę i wrócił z butelką wódki i szklanką. Przepił trochę i napełnił szklankę do brzegu.

— Pij stary i krzep się, bo robota dziś cię jeszcze czeka.

Hładkij nie dał się prosić. Pokostując ni-

by i gładząc pierś lewą dłonią, wyciągnął wszystko do ostatniej kropli.

— Jeszcze?

— Daj jeszcze.

Kiedy wypił drugą szklanę, uklonił się do pasa Czujce i rzekł głosem proszącego dziecka:

— Słucham cię, mój ty dobroczyńco!

— Znasz konie Chłystowicza?

— Znam, ale ich nie można...

— Teraz już można: od wczoraj przepędzono je na folwark do Jerzego Brażysa pod pieczęcią komornika sądowego. Jeśli konie zginą, Brażys zapłaci w dwójnasób.

— Czy mnie zapłaci?

— Nie; z tobą pojedzie Chłystowicz i konie oddasz mu darmo...

— Czy masz mię za durnia? — gniewnie warknął Hładkij.

— Weźmiesz dla siebie konie Brażysa, cztery wyborne, lecz podpalisz stajnię i gumna.

— Nie głupim; ażeby oświecić drogę ściągającym i rozbudzić ludzi po chatach.

— A jednak musisz to zrobić, to ja ci coś zapłacę za konie Chłystowicza, jeśli je dobrze ukryjesz.

— Wiele?

— Po dziesięć rubli od sztuki.

— Po dwadzieścia pięć, ani grosza mniej, a konie wszystkie ukryję tu, u siebie.

— Zastanów się, stary, skądże mi tyle pieniędzy wziąć za dziesięć koni? i gdzie ty ich tu schowasz aż tyle?

Hładkij machnął ręką.

— Pieniądze weźmiesz u starego Bra-  
żysa...

Czujko aż podskoczył, widząc swój plan  
już odgadnięty.

— Mówił ci Chłystowicz?

— Ani słowa; mówi mi szmer wiatru i do-  
bry duch mój — chytrze uśmiechnął się  
Hładkij.

— Dobrze, więc zapłacę, jeśli będą pod-  
palone stajnie i gumno, lecz nie zgadzam  
się, ażebyś te konie tu sprowadzał, bo to  
i mnie grozi.

— Nie twoja to rzecz, mam ja tu lochy,  
gdzie rotę całą schowam i także nikt ani  
się domyśli.

— A ślady kopyt końskich? — niepokoił  
się Czujko.

— Przyjedziemy od strony miasteczka,  
więc zginą wśród tysiąca innych.

— Więc dziś wieczorem?

— Płać połowę z góry za konia.

— Niech przyjdzie Głusza, ona mi wszy-  
stkie pieniądze zabiera.

Hładkij zaśmiał się wesoło.

— Lepiej zdobądź skądinąd, bo to źródło  
nie pewne.

Czujko gniewnie się nasrozył, ale w tej  
chwili hałas niezwykle doleciał z ulicy  
i rozległo się silne kołatanie do wrót za-  
grody.

— Kto tam śmie wszczynać awantury?—  
groźnie zakrzyknął uriadnik, stojąc w gan-  
ku i polecając dziesiętnikowi otworzyć  
wrota.

Wtedy wpadł na podwórze Fajwel z Ko-  
pliszek, ciągnąc wespół z dziesiętnikami

trzech pijanych obdartusów i płacząc a narzekając:

— Wielmożny pan uriadnik, proszę mnie bronić! Te łajdaki, te rozbójniki napili u mnie za całe dwa ruble i zamiast pieniędzy pokazują mi teraz kulaki.

— Wielmożny panie...

— Milczeć! Coście za jedni? — badał uriadnik, zwracając się do obdartusów.

Lecz odpowiedzi nie otrzymał. Z trzech pijanych gardzieli wychodziły jeno hulaszce okrzyki, krótkie przekleństwa lub sprośne słowa ohydnej pioski.

— Ot bydło! — gorszył się Czujko, ale w tej chwili Fajwel otarł się o niego i coś szepnął śpiesznie.

— Zamknąć ich na chleb i wodę! — padł rozkaz od ganku.

— A moje dwa ruble, wielmożny panie? — jęczał dalej Fajwel.

— Zajdziesz dla spisania protokołu teraz, a jutro przyjdiesz po pieniądze, skoro się te ptaszki w kozie wyfrzeźwią.

— A zamknąć mi tam ich na dwa zamki! — dodał, grożąc pięścią dziesiętnikom, już wiodącym delikwentów do tak zwanej stajni gościnnej, z mocnych dylów zbudowanej.

Fajwel oparł się o słup ganku i jęczał głosem zbolałym:

— Oj rabuśniki!... trzeba im dać wódki... oj łajdaki!... wszystko, co trzeba, oni mają tu z sobą... Oni mię zgubili!... ja przed północą przyjdę tu po nich od pola —... ratunku, wielmożny panie!... niech się wykopią z kozy...



A Czujko groźnie wykrzykiwał i uchem bacznie chwycił te... jęki żydowskie, poczem wezwał żyda i dwóch dziesiętników do spisania urzędowego protokołu.

Po upływie kwadransa protokół został spisany i opatrzony pieczętą, Hładkij otrzymał połowę sumy wykupnej za konie, a Czujko cieszył się, że ma u siebie pod kluczem wytrawnych pomocników dla dokonania napadu nocnego na zaścianek Pa-siekę.

Rozstali się w ciszy i powadze.

W godzinę później Czujko i Hładkij, lecz oddzielnie każdy, ukazali się na widowni największego ruchu w miasteczku. Uriadnik obchodził rynek poważnie, godząc zwaśnionych, to jednym spojrzaniem karząc zuchwałych i zaczepnych, to znowu barszkując dobrotliwie w gronie kobiet i dziewcząt. Tu i ówdzie, jakby od niechcienia i z uczuciem skargi niemej, wspomniął o koniecznym wyjeździe na całą noc do Podlipia a może i samego Wilna.

— Służba nie družba! — objaśniał krótko więcej ciekawym.

Za to Hładkij wprost zdumiewał tych wszystkich, którzy go znali. Dobrze podchmielony, co chwila przystawał wśród tłumu i głosem donośnym zaciągał jedną z pieśni, aż spędzał go który z dziesiętników nawoływaniem lub nawet pięścią.

— Ot stary! zahulał, a jutro położy się i kilka dni będzie chorował — litował się Czujko kilkakrotnie, wskazując nań palcem.

Hładkij zaś chodził coraz trudniej, przy-

stawać już musiał i wspierać się o ramiona znajomych starowierców, lecz do domu się nie dał napędzić.

— Tyle starego, co popatrzy nieco na ludzi — rzucił Fajwel raz i drugi i ludziska litośnie kiwali głowami.

Tylko Brażys stary gniewnie splunął przy spotkaniu i rzekł do syna, organisty:

— Nie chybi, że ten złodziej zmawia się tu ze swoimi družbantami.

Jerzy bawił w Kropianach od świtu. Potrzebował on mnóstwo drobnych przedmiotów do gospodarki i robił zakupy przy pomocy ojca i braci. Nabyte przedmioty odsyłano na skład to do zaścianka, to znowu na plebanię do Kopliszek. Na parę godzin przed wieczorem spotkał się z Henrykiem.

— No, cóż? załatwiłeś się już ze sprawunkami? — zagadnął przyjaciel.

— Już prawie wszystko — odrzekł z pewnem zmęczeniem.

— To wstąpimy po drodze na chwilę do proboszcza a potem pojedziemy do nas na odpoczynek — zaproponował Henryk.

Ale Jerzy się nie zgodził. Niepokoił go depozyt komornika, więc musiał wracać zaraz do domu, ażeby dopilnować porządku w gospodarstwie, gdyż większość czeladzi również jest w Kropianach i nie wróci przed nocą.

Oparł się również projektowi jazdy do Pasieki, na co znowu Staszek namawiał.

— Jam dziś sługa pana Chłystowicza i muszę jego dobra pilnować — śmiał się, zegnając przyjaciół i braci.

Chłystowicza na rynku nie było, choć

dziwił się każdy temu, gdyż on to miał dużo do sprzedania. Lecz wkrótce już wszystkim było wiadomo, że leży chory w Kopliszkach i nie wychodzi z domu.

Rynek miasteczka o zachodzie słońca zwolna pustoszał. Nawet najwięksi zwolennicy biesiady karczemnej zabierali się do domów z obawy ciemności nocnej i dróg ciężkich do przebycia.

Już żydzi miejscowi, ostudzeni z gorączki całodzienniej, liczyli zyski z handlowych operacyj i drobnych oszustw. Rzadkie błoto szkiło się jednostajną, gładką powierzchnią, już nie deptane ciężkimi stopami kilkuset ludzi i nogami licznych zwierząt.

Wreszcie zciemniło się zupełnie i drobne światła zabłysnęły w oknach żydowskich.

W podwórzu Hładkiego, wśród pełnej ciszy wieczora, rozległy się jakieś szmery i szepty. Drzwi od ganku co chwila stukały, a ciężkie stąpania szły w różnych kierunkach.

Wreszcie na parę godzin przed północą jedna gromadka cieni wymknęła się wrotami od pola, a w parę godzin później inna stłoczyła się na wozie i ruszyła w kierunku Kopliszek.

---

Jerzy spędzał wieczór samotnie, a w zaścianku rozlegało się śmiechem i weselem.

Przyszedł tu Staszek z Jankiem, którzy mnóstwo swoich wyrobów sprzedali na targu w Kropianach, zeszli się chłopcy, z zaścianka wraz z ciotką Dorotą i dziewczętami, a wszyscy opowiadali Brażysowej i Hel-

ce rzeczy ciekawe i najciekawsze, bo one musiały w domu zostać.

Teraz się Helka domagała gościńców. Więc Janek ją ubrał w wianek obwarzanechków, inni chłopcy częstowali, ten piernikiem, ów garścią orzechów.

Staszek milczał, bo i ona go nie zaczepiała, lecz wodził za nią rozkochanem wejzeniem, a dobra myśl biła mu z oczu i wyrazu twarzy. Brażysowa karmiła wygłodniałą gromadkę, a sędziwy gospodarz gderał łagodnie i z góry napędzał do rychłego odpoczynku. Ale ciotka Dorota brała młodzież w opiekę.

— Staszek przenocuje u mnie, to i u mnie w świetlicy posiedzieć sobie jeszcze możecie.

— Ej! kumo, wiosna teraz, czas już odwyknąć od zimowej próżniaczki — spierał się Brażys.

— Niech tam, Mateuszu! i my od snu uciekaliśmy w ich latach — broniła się ciotka Dorota.

Więc też przeciągnęła się gawędka do późna. Wreszcie kulawy Grzegorz, pastuch zaścianka, ruszył pierwszy na nocleg do obory, a razem z nim ruszyli się wszyscy. Staszek na chwilę znalazł się z Helką przy oknie i szepnął do ucha dziewczynie:

— To i odemnie wziąć proszę gościniec z jarmarku.

I tkał w ręce spłonionej dziewczyny ładne pudełko stolarską robotą z czeczotki zrobione a jej literami z polerowanego mosiądzu ozdobione.

Helka się wzdragała, nie odrywając je-

dnak oczu od tych liter, które były wyrobem Staszka i płonąć coraz zawzięciej.

— Weźże już, dziewczyno! — usłyszeli za sobą łagodny głos starego Brażysa, co ćmiąc z fajki spoglądał na nich od chwili.

Młodzi stanęli zakłopotani, gdy w tem za oknem rozległy się głosy, niewyraźne lecz troską bijące:

— Pali się!

Wszyscy w jednej chwili wybiegli na podwórze.

Na wschodniej stronie ciemnych niebios połyskiwała szeroka, krwawa luna, ziejąc snopami jasnych smug z iskier i płomienia.

— Lubiszki! — rozległy się głosy trwożne.

— To folwark Jurka! — huknął stary Brażys, a jęk bólu i rozpacz wszystkich zawtórował tym słowom.

Jakby na stwierdzenie słów tych wnet u płotu zaścianka rozległ się tentent i głos obecny, nieznan, choć wyraźnie żydowski rzucił ostrzeżenie:

— To u waszego syna się pali!

Zatętniało ponownie i zwiastun złej wieści zniknął niepoznany i niedojrzany.

Zresztą nikt tu o nim nie myślał na razie.

Stary Brażys wnet rzucił rozkaz krótki:

— Na koń, chłopcy, i ratować!

Skoczyła młodzież i w niespełna pięć minut pięciu konnych pomknęło w kierunku luny.

— Kumie, jedźmy i my! — energicznie ruszyła się ciotka Dorota, już nakazując dziewczkom założyć konia do drabinek.

— I ja tak myślałem, przydadzą się tam ręce, a może i dobra rada — rzekł na to Brażys, a kobiety już niosły mu przyodziewek cieplejszy i w pośpiechu domagały się, by przywiózł Jurka.

Lecz znowu jakiś konny wpadł w podwórze i skoczył na ziemię, idąc ku chacie.

Był to Staszek.

— Wróciłeś się? — spytali jednocześnie zdumieni Brażys i ciotka Dorota.

— Nie pojedę, bo tam dość będzie ludzi, a ten judasz żydowski, co aż tu z wieścią przyleciał umyślnie, przeraża mnie obawą o was i...

Jakał się chłopak, wreszcie zamilkł. Starzy pokiwali głowami, lecz na rozmysły nie było czasu. Staszkowego konia przyprzężono do wozu i stary Brażys wraz z ciotką Dorotą jęli się sadowić.

Jeszcze na słowo odprowadził stary Staszka na stronę i rzekł śpiesznie:

— Dobrześ zrobił, chłopcze, w tem coś być musi, będę spokojniejszy o kobiety; grosz mój i cudzy leży w kufrze, w izbie gościnnej, a tam okna od sadu.

Jakoś prędko pocałował go w głowę to mówiąc, a za chwilę już siedział na wozie i ruszył końmi, rzucając swoim na pożegnanie:

— Bądźcie spokojne i nie trwożcie się, opieka Boża i czyste sumienie są z nami.

Staszek pozostał i, gdy nie chciał kobiet w tajemniczać w swoje obawy i dalszy plan postępowania, niezwykle zimno był przyjmowany przez Helkę, a z litościwem współczuciem przez starą Brażysową.

Helka wprost śmiała się mu w oczy, gdy nalegał na przygotowanie kilku beczek od kapusty z wodą, a drwiła bezlitośnie, kiedy wyciągnął skrzynię okutą z izby gościny do kuchni i umieściwszy ją przy drzwiach, postawił tuż obok drąg żelazny i siekiere.

— Pan Stanisław dziś na kiermaszu nasłuchał się historyj przedziwnych, to mu się snują po głowie i nie dają biedz z pomocą przyjacielowi, gdy ten zginąć może wraz z całym dobytkiem.

Chłopiec krwią się prawie oblał na tak gorzkie przymówki, lecz zaciął zęby i dalej robił swoje. Odbił mianowicie radę wojenną z chodzącym o kuli Grzegorzem, zamknęli wszystkie wrota w zaścianku, poczem Grzegorz zbrojny w siekiere i odwieczny pistolet objął straż zewnętrzną w podwórzu, a Staszek cofnął się do izby Brażysów, sprawdziwszy zupełny porządek w dwóch innych chatach zaścianka.

Niezdolały go nawet zatrzymać trzy dziewczyny w chacie ciotki Doroty, które uzbroiły się w mlony od żaren i cepy i obiecywały czuwać noc całą, jego osobiście zapraszając do miłego spoczynku na już przygotowanym posłaniu.

— Głupie jesteście i siadajcie na grzędę, bo noc — rzekł na pożegnanie.

Sam zaś wrócił do Brażysów i usiadł przy drzwiach na kufrze drogocennym.

W chacie była już cisza. Z alkierza dołatywało jeno mruczenie pacierzy wieczornych przez starą gospodynię, a Helka musiała już spać na dobre.

I jego zbierał sen zwolna, lecz targnął się siłą woli raz i drugi i ratował się papierosami, nie gasząc nikłego kaganka na kominie.

Już było dobrze z północy, kiedy, niby wśród mgły, stanęła przed nim Helka i szepnęła cichutko :

— Staszku, ja się boję !

Zerwał się raźnie, otrzasnął mimowoli i biorąc ją za rękę, zapewnił gorąco :

— Śpij spokojnie, bo ja życie dam chętnie za wasz spokój i twoje bezpieczeństwo.

— Więc nam coś grozi? — spytało dziewczę, lekko drżące.

— Frawdopodobnie nie, ale ja czuwać muszę, bo wolę to, niżli myśl samą o śnie, gdy tam biedny Jurek w takich tarapatach.

A rzekł to z takim przekonaniem, że Helka mocniej wsparła się o jego ramię, mówiąc :

— I mnie sen odbiega; czy jednak tam kto przyszedł na pomoc, czy nie zgłnie cały dorobek biednego Jurka?

— Sądzę, że pomoc będzie dostateczna: czeladź Jurka kocha, sąsiedzi poważają, a panicz z Lubiszek pospieszy niewątpliwie z całą gromadą rąk i narzędzi.

— Tak, pan Henryk to jego przyjaciel szczerzy.

— Jurek ma takich więcej — gniewnie odburknął Staszek.

— Czy łuna pożaru się zmniejsza? — spytała Helka.

— Zaraz zobaczę — odrzekł, rad ze sposobności przerwania rozmowy.

Lecz i Helka wyszła z nim razem, przed



chatę. Więc patrzyli z radością, że odblask pożogi zmaliał wyraźnie i maleje ciągle.

To uczucie radosne zbliżyło ich ku sobie, pojąc nadzieją możliwie szczęśliwego i bliskiego zakończenia. Już na usta Staszki wybiegały wyrazy gorącego uczucia i zgoła niezwykłej szczerości, kiedy trzy cienie zamajaczyły przed nimi.

— Kto tu? — spytał młodzian.

W odpowiedzi na to cienie przyskoczyły do niego i uczył się schwytanym za gardło i ramiona, słysząc jednocześnie trwożny okrzyk Helki.

Więc szarpnął się wściekle i stalowe członki kowalskie dopisały mu w zupełności, bo dwa cienie upadły w dwie strony podwórza, a trzeciemu wymierzył potężny cios w sam środek, poczem cień ów z głuchym jękiem zatoczył się daleko.

— Grzegorz! — huknął Staszek, myśląc o połączeniu sił dla wspólnej obrony, ale w tej chwili doleciał go krzyk rozpaczliwy z wnętrza chaty.

Skoczył tam bez namysłu i dopadł do salonu, w sam czas. Drab jakiś jednym uderzeniem zbił z nóg Brażysową i schwytawszy Helkę za włosy, naglił głosem zduszonym:

— Mów, gdzie pieniądze, a z życiem ujdiesz!

Wtedy już obłęd wściekłości go porwał całego i rzucił się na przeciwnika z pięściami i zębami. — Chwilę szamotali się wściekle, w końcu przybysz zdołał się wyrwać z jego objęć i skoczył przez okno wydarł już przedtem.

Staszкови w rękach została szabla z pochwą i część rzemieni ją podtrzymujących. Lecz cisnął te trofea i porwał Helkę z podłogi.

Już była przytomna. Więc wespół zajęli się cuceniem przyduszonej matki.

A tymczasem stary Grzegorz, zbudzony hałasem i późniejszym okrzykiem Staszka, wy dobył się z obory i zoczywszy w podwórzu cienie klnące i jęczące, jął je na ślepo obdzielać razami wideł od gnoju.

Skutek był magiczny i za chwilę nie stało wrogów przed chatą. Więc szedł Grzegorz zwycięski do chaty, trwożny o losy gospodyni i Helki. Aliści w samym progu rzucił się nań nowy napastnik i siłą tego rzutu obalił go prawie na słupy ganku. Nie mogąc inaczej, grzmotnął w uciekającego z całej siły własną kulą i trafił go w stos pacierzowy.

— Aj waj! — wrzasnął trafiony, padając u progu ganku.

Grzegorzowi nie pozostało, jak pójść w ślad kuli własnej, bez której nie mógł się obywać.

Jakoż odnalazł ją po omacku i stojąc nad obalonym przeciwnikiem, tąż samą kulą wymierzył mu kilka potężnych razów.

Ale głos z chaty zwrócił jego uwagę i przypomniał losy gospodyni i jej córki.

W chacie spotkał się ze Staszkiem i Helką i razem docucili się Brażysowej, która była jeno zduszona w pierwszym impecie i wnet odzyskała przytomność.

Od podwórza już słyszeli jakieś krzyki i piski i łatwo się przekonali, że tak sobie

radziły waleczne dziewczęta w dwóch pozostałych chatach, dając znać o sobie.

Kiedy chatę oświetlono lepiej i zamknięto okno wydarte od sadu, Grzegorz zbrojny w siekierę ruszył na zwiady, Staszka bowiem kobiety za nic nie chciały puścić od siebie.

Zaścianek ponownie opanowała cisza. Za jakie dwa lub trzy pacierze wrócił Grzegorz, niosąc woreczki ze złotem i srebrem i pugilares wypchany, które znalazł przed chatą. Zresztą ani śladu napastników nigdzie nie spotkał.

Z nim razem wpadły dziewczęta ciotki Doroty i komornica z dziećmi z trzeciej chaty.

Pisku i lamentów było zrazu dosyć, lecz wnet to ustało na widok spokoju Staszka i wskutek łajania starego Grzegorza.

— Rzec w tem, czy tylko nic nie ukradli — troskał się wierny sługa, wskazując na woreczki z monetą i pugilares.

Lecz już po chwili wyszedł w podwórze, ponownie objąć straż zewnętrzną.

Staszek pozostał z kobietami i dziećmi. Kobiety z cicha się modliły lub głośniejszo wyrzekały na napaść, aż Helka w końcu jęła się krzątać i zagadywać do matki:

— Rozpalę ogień, matusiu, bo tatuś wnet z chłopcami nadjedzie, a i tu przyda się strawa gorąca.

Krzątała się raźnie i spoglądała na Staszka, on zaś szedł precz z chaty, czując, że na niego spada cała odpowiedzialność za całość i spokój zaścianka.

Lecz i łuna pożaru już całkiem zginęła. Próżno jednak szukali z Grzegorzem w podwórzu, przy latarni, nie było już śladu gości nieproszonych.

— Cóż ta szabla? — myślał sobie Staszek i wściekłość go ogarniała okrutna.

Obszedł kilkakroć budynki zaścianka i za stodołą natchnął się na trupy psów czujnych i złych. Wtedy zrozumiał ich nieobecność i milczenie podczas napadu.

— Nic innego, tylko pożar u Jurka i napad na Brażysów to dzieło jednej i tej samej szajki — pomyślał sobie trwożny o losy nieobecnych Brażysów.

W trwodze i niepokoju zbiegła reszta nocy w Pasiece, a o pierwszym świtaniu zerwał się Staszek, by biedz po wieści. Wtedy kobiety podniosły lament prawdziwy, jedna Helka dziękowała mu wzrokiem a pieściła ręką dłoń jego, zachęcając, by się posilił przed drogą.

Chłopiec drżał niby w febrze i nie myślał nawet o jedzeniu i o sobie, za to stary Grzegorz żuł obu szczękami i popijał z flaszki, ochoczo wspominając epizody z niegdyś odbytej partyzantki powstańczej w lesie.

Już o świcie szarym zajechał wozem stary Brażys, lecz stanął przed żoną i córką, bólem złamany i rzekł głucho:

— Jurkowi konie Chłystowicza i jego własne ukradli i spalili stajnię, gumno było podpalone, lecz ocalało, ale Janek odbił się kędyś, chcąc dla pospiechu jechać przez bagno gawieńskie i... dotąd nie wrócił.

Więc ponownie uderzyły kobiety w jęki i lament okrutny, aż zabrał głos stary Grzegorz:

— Cichoż już bądźcie! łaska pana Boga nas tu ocaliła, to i tam, do Jurka, trafić nie omieszka po dniu białym.



## Zamysły szatańskie.

Smutnym był pierwszy wschód słońca po pożodze dla Jerzego. Pozornie chodził spokojny i rządzony, bacząc, by licznie zebrana czeladź i ochotnicy zajęli się codziennymi czynnościami, lecz głęboki w duszy żal bezgraniczny nurtował go, przygotowując prawie o rozpacz. Widział zniszczoną pracę własną ostatnich lat pięciu, widział rozwiane te marzenia, które w duszy wypieścił. W jego małym gospodarstwie strata czterech doskonałych koni, własnej hodowli i odpowiedzialność za konie Chłystowicza stanowiły, jeśli nie ruinę, to klęskę okrutną. Więc chodził smutny i zbolący, chwilami ucisk wewnętrzny targał mu członki i bił falą do głowy; lecz pokonywał się i krzepił, bo czuł dłonie przyjazne i serca oddane naokół.

Jakoż Henryk był z nim noc całą, a o świtaniu nadjechał Ponar z Maryą, a wślad za nimi przybiegł Staszek z Pasieki.

Trapiono się najbardziej myślą, co stało się z Jankiem, gdy chłopcy, co poszli go szukać, nie wracali lub też nadsyłali wieści o poszukiwaniach daremnych. Z przybyciem Staszka wysłuchano z kolei całej awantury nocnej w Pasiece; dla wszystkich

bez wyjątku była tu wyraźna wspólność ręki zbrodniczej.

Stary Ponar odmłodniał w jednej chwili.

— Nie traćmy czasu, dzieci! Ty, Henryku, skocz z naszym leśnikiem od miejsca, gdzie się Janek odłączył na błota gawieńskie, nikt je lepiej nie zna nad Szymona. Ty, Staszku, pojedź po uriadnika i zandarma...

— Czujko nam tylko zaszkozić może — rzekł Staszek bez wahania i opowiedział szczegóły o zdobytej szabli, który dotąd przemilczał.

Ponar ponuro się zamyślił, a po chwili rzekł z cicha do Staszka:

— To i Hładkii musiał być w tej robocie.

A głośno dodał zwracając się do Jurka.

— Ty zaś pojedziesz ze mną do Kropian, aby w gminie złożyć zeznanie o dokonanej kradzieży u ciebie i podpaleniu.

Młodzi już zgodzili się na ten projekt, krom jednej Maryi, która w imieniu matki pragnęła zabrać Jerzego na kilka godzin do Lubiszek, gdy małe chłopię stanęło przed Jerzym.

Był to najstarszy syn Pawła, organisty, z karteczką przysłany.

Jerzy głośno odczytał następujące wyrazy:

» Janek przybył przed godziną. Wszystkie konie znaleziono w ukryciu u Hładkiego. Przybywaj natychmiast. Sędzia śledczy jest w Kropianach.«

Rozjaśniły się twarze i ucieszyły serca na tę wieść radosną, a w niespełna dziesięć minut ruszyli wszyscy do Kropian.

nie wyłączając Maryi, która postanowiła odwiedzić Helkę w Pasiece.

Jakoż w Kropianach działy się rzeczy całkiem niezwykajne tego ranka.

W godzinę po wschodzie słońca wjechali do miasteczka w najlepszej zgodzie i zażyłości zbłocony Janek kowalczyk, na dyabło spędzonej szkapie ojcowskiej i sam pan sędzia śledczy Stróżko-Zarucki. Janek, po całonocnem błędzeniu wśród moczarów i kęp grząskich i hulaszcy stróż prawa po przydłuższej birbantce u znajomych, spotkali się na gościńcu.

Że pan sędzia śledczy był jeszcze dobrze pijany, okazał się ludzkim i szlachetniejszym i wezwał chłopca do wspólnej podróży.

Więc plółł mu duby smolone o swych cierpieniach i zawodach, parę razy nawet zapłakał, czem Janka do reszty zniewolił tak, że chłopiec przyznał się przed nim, iż błędząc po nocy mimowoli był świadkiem jakiejś dużej kawalkady złodziejskiej i w rzędzie jeźdźców z wszelką dokładnością poznał Hładkiego.

Rycerski pan sędzia wysłuchał relacyi poważnie, zaklął siarczyście i skoczył obces wprost do Kropian. A umiał być energicznym, gdy chciał tego, w razach wyjątkowych.

W jednej chwili wyciągnął zandarma Jerszowa z pod ogrzanej pierzyny, w następnej spędził sześciu chłopów z widłami i powrozami, poczem niezwłocznie ruszono przed zagrodę burłaka.

Jerszow czynnie wspierał zamiary sę-



dziego, pragnąc przy tej sposobności zrobić szykanę nienawistnemu Czujce.

Otoczono wnet całe obejście i wyparto bramę. Na hałas atoli nikt się nie ukazał. Ruszono tedy wprost do budynków gospodarskich.

Tu spotkali niemowę, który wydając pisk dziki, chciał się wymknąć do chaty, lecz Jerszow schwytał go za kołnierz i powiódł za sobą.

We właściwej stajni, a nawet oborze nie znaleziono nic, lecz w ścianie, z pozoru prawidłowej, wyczuto próżnię, która po bliższem obejrzeniu okazała się zbyt świeżo założoną kołkami jałowcowemi i wpleciona słomą.

— Wyrzucić to! — rozkazał Strózek-Zarucki, widząc, iż niemowa pobladł wyrażnie i ponownie usiłował się wydrzeć z rąk żandarma.

Odsłoniono drugą stajnię ukrytą, a w niej wszystkie konie skradzione u Jerzego.

Pocziwy Janek niemal szalał z radości. Sędzia śledczy, czując się już teraz zupełnym panem położenia, nakazał chłopom niezwłocznie wyprowadzić konie z kryjówki i odstawić do gminy.

Wszakże stracono dość czasu i dopiero Jerszow przypomniał, że należałoby ująć Hładkiego.

— Weź pan dwóch dziesiętników i związanego dostawić również do zarządu gminnego.

Jerszow obejrzał się po ludziach i nie chcący wypuścić niemowę, który w jednej chwili przepadł, niby kamień w wodzie.

— Czort z nim! — mruknął zandarm i, dobywszy rewolweru, nakazał dziesiętnikom iść naprzód.

Od ganku drzwi znaleźli zamknięte, więc jęli kołatać. W chwilę później okropny krzyk rozdarł powietrze z kwatery gospodarza, a zaraz po nim ze strony zajętej przez uradnika wysunęła się jego głowa mocno zaspana i padło pół-senne pytanie:

— Kto tam u licha?

Z trudnością wytłómaczono mu potrzebę otworzenia, bo z kwatery gospodarza nikt się nie ruszał.

Wyszedł niby zdziwiony, lecz silnie pobladły i zmieniony, a miał na sobie już buty i mundurowe spodnie.

— Gdzie Hładkij? — zagadnął Stróżko-Zarucki.

— Na swojej kwaterze, właśnie krzyk jakiś słyszałem...

Zatrzymali się wszyscy przed drzwiami i nikt nie śmiał ująć za klamkę.

Wreszcie zrobił to Janek i drzwi nagle otworzył. Wszyscy cofnęli się w tył przed okropną postacią starego burłaka, który stał wprost drzwi, ziejąc pianą z gęby i strasznie błyskając oczyma, a długim ramieniem, uzbrojonem w nóż zakrwawiony, groził przybyszom.

Słowa zamarły na ustach u wszystkich. Wśród ciszy chwilowej z sąsiedniego alkierza dolatywały jakieś niezrozumiałe, chrapliwe odgłosy.

— W imieniu prawa, aresztuję cię! — wrzasnął hareszcie Stróżko-Zarucki, czerpiąc odwagę w rewolwerze Jerszowa.

Burlak zaśmiał się dziko, obejrzał na alkierz i jął wściekle nożem wywijać. Nagle zachwiał się raz, drugi i trzeci... piana ze krwią zmieszana bluznęła mu z gęby i runą na podłogę w strasznych konwulsjach.

Kopał jeszcze ziemię nogami i wył z boleści, lecz po chwili chrapnął i skonał.

— Tfy! Dyabli nadali! toć śmierć najwyraźniejsza! — zakrzyknął sędzia śledczy.

Czujko przysunął się najbliższej i dotknął pulsu, poczem stwierdził obojętnie:

— Już skończył, zapewne od trucizny.

Wtedy ruszyli się kupą do pierwszej izby i mogli już sięgnąć oczyma do alkierza.

Znaleźli Głuszę w bieliźnie, z okropnie przerzniętą gardzielą. Zbroczona oblicie krwią pościel i zmięta wskazywała na ciężką walkę przedśmiertną i długą agonię.

---

Dopiero koło południa przystąpiono w urzędowej sali zarządu gminnego do spisania protokółów i dokonania śledztwa przygotowawczego z wypadków nocy ubiegłej i ranka.

Wcześniej zaś zrobić tego nie było można, gdyż mnóstwo oddzielnych narad i konferencyj musiało poprzedzić walne zebranie urzędowe. Więc najprzód po dokonanej rewizyi w mieszkaniu Hładkiego i opieczętowaniu tegoż, radzili we dwóch, pan śledczy z uriadnikiem. I było już całkiem dobrze, lecz się narzucił gwałtem na trzeciego Jerszow. Opierali się całą siłą, lecz musieli się w końcu zgodzić, kiedy żandarm

jął odczytywać swoje notatki i spostrzeżenia.

Wreszcie porozumieli się. Teraz znowu Czujko zażądał czasu dla... zebrania wiarogodnych świadków. Musiał przecie odwieźć ciężko chorego Fajwla i zabrać od niego z karczmy w Kopliskach dwóch wczorajszych rycerzy, a krom tego nauczyć ich, żeby mówili prawdę szczerą i nie splątali się przed dostojną osobą pana śledczego. Jerszow również potrzebował znaleźć wiarogodnego świadka i... znalazł jednego z najzaufańszych przyjaciół nieboszczyka Hładkiego. Zresztą od nastawnika z Gawy musiał aż przez umyślnego posłańca wydobyć jakąś paczkę tajemniczą, którą złożył na stole w urzędzie gminnym wraz z óдноśnym dokumentem.

Stróżko-Zarucki zaś potrzebował czasu, ażeby się ostatecznie wytrzeźwić, a obok tego zrobić jakiś porządek we własnych kieszeniach. Dziwnie bo też bywał roztargniony. Oto nie dalej, jak wczoraj wieczorem myślał, że już całkiem wyczerpał swoje zasoby, a tu tymczasem ma jeszcze przeszło tysiąc rubli w gotowiźnie, o której prawie zapomniał.

Więc prostował teraz banknoty i oddzielnie liczył złoto, a wraz z tem wracała mu na twarz powaga surowego urzędnika, baczego stróża prawa i sprawiedliwości. Potem wypił herbatę z rumem, gębę wypłukał i dał hasło Sidorenco do rozpoczęcia urzędowych czynności. Sidorenko z dobrej i nieprzymuszonej woli został sekretarzem pana sędziego śledczego, lecz na podstawie

jakichś umów poszczególnych z panem sędzią, uriadnikiem i żandarmem na osobności.

Rad był też i pogwizdywał sobie wesoło, a pani pisarzowa po raz pierwszy w życiu zapłaciła chłopom po kopiejek dziesięć za każdą z trzech kur zabranych na obiad także prawie urzędowy.

Ze strony zaś interesowanych przybyli jeno z Kopliszek tylko Jerzy, Henryk, Staszek, a do nich przyłączył się Janek. Trzeba przyznać, że nudzili się oni wściekle i bynajmniej nie mogli zrozumieć tej konieczności w odwleczeniu śledztwa pierwiastkowego i protokółów. Co gorsza, zdanie ich podzielał również starszyna gminy, którego nie przypuszczono do poufnych narad urzędowych i traktowano nader obojętnie.

Siedzieli tedy w pięciu na ganku zarządu gminnego i snuli półgłosem różne wnioski w tych sprawach, bądź co bądź dla nich dość wyraźnych i niewątpliwych. Tylko starszyna gminny był jakoś w zgryźliwym humorze i klął z cicha, wskazując na łotrowskie zabiegi całej szajki. Za to przybył im sukurs w osobie Grzegorza kulawego z Pasieki, który wnet podniósł upadłego w nich ducha i nakreślił rozmiary oczekiwanego powodzenia.

— Cyganie będą, bo będą, lecz my się dopilnujemy; sprawa czysta, jak kryształ, Czujko prowadził napad na Pasiekę, a Hładkij kradł i podpalał. Więc Czujkę na Sybir, żydów ze sześciu również, no i t. d., w stosunku podobnym.

Jakoż tedy doczekali południa i wezwano

ich do sali głównej, tu jednak Sidorenko jął ich rozstawiać pojedynczo na przestrzeni ogromnej izby, oczywiście Henrykowi dając krzesło najbliżej władz już zasiadających.

Pomiędzy nich umieszczono kilkanaście figur mocno podejrzanych i z najgorszej strony znanych w gminie.

Stróżko-Zarucki, surowy i nieprzenikniony, wezwał najpierw Jerzego, by złożył swoje zeznanie.

Jerzy tak opowiadał:

— Zbudzono mnie przed północą wieścią o pożarze. Zerwałem się zaraz i widząc w ogniu stajnię a także już zajęтым róg gumna, nakazałem budzić czeladź i spieszyć na rafunek.

— Stajnia tedy już była cała zajęta płomieniem? — badał sędzia śledczy.

— Nie, raczej paliła się w dwóch czy trzech miejscach. Kiedy wybiegłem w podwórze, nakazałem wyprowadzać konie pojedynczo, lecz mi ktoś powiedział, że koni już nie ma. Oczywiście zostały ukradzione.

— Ja tu tej oczywistości nie dostrzegam — złośliwą zrobił uwagę pan sędzia.

— Chyba pan nie wierzy także w podpalenie?

— Naturalnie, że nie.

— A przecież stajnia leży od gumna więcej niż na dwieście kroków.

— To głupstwo w wypadku większego pożaru — słucham pana dalej.

— Wtedy poleciłem bronić wprzód gumna i udało się to nam w zupełności.

— Czy ktokolwiek ze służby pańskiej był w ogniu palącej się stajni?

— Oczywiście, i to nie jeden, skoro wiadziano, iż tam nie ma już ani jednego konia.

— Jak wysokie poniósł pan straty? — spytał starszyna.

— W kradzieży czy od ognia?

— Od ognia.

— Spalona stajnia była ubezpieczoną nie źle, więc właściciel folwarku mało stracił, ja zaś w drobnych ruchomościach straciłem mniej więcej rubli sto lub mało co więcej.

— Czy pan już widział konie, przyprowadzone od Hładkiego?

— Widziałem, są moje i p. Chłystowicza pod zajęciem.

— Już wszystko — skinieniem głowy zakończył badanie pan sędzia.

Poczem dano głos Czujce i ten dalej mówił, jasno i dobitnie:

— Wyjechałem z domu po służbie do Podlipia już po 10-tej i przejeżdżałem mimo miejsca pożaru nie dalej, jak o pół wiorsty.

— Prędzej półtory wiorsty — poprawił starszyna.

— Proszę nie przeszkadzać — zgromił Stróżko-Zarucki.

— To zależy, jak kto jedzie i liczy. Dla mnie było tylko pół wiorsty i ujrzałem początek pożaru jasno, jak na dłoni. Z obowiązku swojego mając czuwać nad bezpieczeństwem wszystkich i pomny na konie i bydło p. Chłystowicza powierzone opiece p. Brażysa, wezwałem z sobą czterech wy-

padkowo jadących ludzi gościńcem i pospieszyliśmy na ratunek.

Przy tych słowach uriadnika dwóch burłaków i dwóch żydów wysunęło się na czoło ogółu świadków.

Uriadnik mówił dalej.

— Ze służby folwarcznej przy ogniu nie znaleźliśmy prawie nikogo, samego gospodarza również, więc dopadliśmy drzwi i sami wyprowadziliśmy wszystkie konie. Zniszczyłem sobie mundur doszczętnie i straciłem szablę przy tem. Gdy jednak nikt nam z pomocą nie przybywał, a konie płoszyły się coraz bardziej, kazałem je zaprowadzić do Kropian i oddać pod opiekę Hładkiemu. Kiedy wróciłem do domu, siadłem pisać raport, ażeby z nim razem konie odeśłać do gminy, lecz zmorzył mnie sen i zdrzemnąłem się, poczem obudziło mię wazsze stukanie...

— Dalej już wiemy, — rzekł sędzia — powiedz nam pan, czy Hładkij sam przyjął konie i umieścił?

— Chłopiec niemowa w jego imieniu, lecz ja po przybyciu do domu chodziłem sam to sprawdzać, kazałem dać koniom owsa i siana i niemowie spać w stajni.

— A jakże pan możesz objaśnić tę jakąś przegrodę potajemną, dla ukrycia koni? — zagadnął starszyna.

— Pan starszyna nie ma prawa wchodzić w granice praw badania, mnie jedynie przysługujących — powiedział dobitnie Stróżko-Zarucki — zresztą tu dziecko nawet mogło widzieć, że nie była to żadna przegro-



da, jeno łożko, które sobie usłał z żerdzi i słomy niemowa.

— Dobrze mówi pan sędzia śledczy — przytaknęli z uśmiechem urządnik i żandarm.

Lecz wmieszał się Henryk Ponar i prosił o zapisanie jego zeznań.

— Ja wyjechałem konno do pożaru wnet po jego powstaniu i dopadłem, kiedy jeszcze można było wyprowadzić konie z tej połowy, gdzie one były umieszczone, a przecież nie tylko już koni nie było, lecz nie widziałem ani pana urządnika ani żadnego z tych wiarogodnych świadków jego, a nawet nikt mi z obecnych nie wspomniał, żeby ich widział.

— Więc pan sądzi? — zagadnął ostro Stróżko-Zarucki.

— Jestem pewny nawet, że konie zostały ukradzione przez Hładkiego z towarzyszami, co zresztą potwierdza się z zeznań obecnego tu świadka. Budynki podpalono już po dokonaniu kradzieży. Jeśli przeto między tym faktem rzeczywistym i tą historyjką, opowiadaną przez pana Czujkę leży taki ogrom różnicy, śmiem sądzić, że panu Czujce zależy na świadomein zagmatwaniu prawdy.

Młodzian wypowiedział słowa swoje z ogniem i energią, nie bacząc, że pan sędzia giestami wyrażał swoje oburzenie i że Czujko zbladł z tajonej wściekłości.

— Pan obraża temi słowy urządnika w miejscu publicznem — zrobił uwagę sędzia.

— Prawda słów moich nie tylko go obraża, lecz wprost oskarża.

— Należy spisać protokół — mruknął Sidorenko.

— Zrobi się to później — postanowił Stróżko-Zarucki i kazał zeznawać Jankowi.

Chłopiec powtórzył swoje opowiadanie, którego już raz wysłuchał pan sędzia na gościńcu, ale teraz został c a ł k i e m i n a c z e j zrozumiany.

— Była to noc, więc jakże poznałeś Hładkiego?

— Bom go tak widział, jak i pana teraz, a księżyc właśnie przyświecał.

— Więc wydało ci się tylko i mnie, sędziego, wprowadziłeś donosem swym w błąd, gdyż ja szukałem zrazu koni istotnie skradzionych, a one były tam umieszczone z rozkazu pana uriadnika.

Wiesz przecie, jak smutnie całe to zajście się skończyło. Hładkij, człowiek bogobojny i spokojny, wczoraj nieco za dużo wypił i był chory, co stwierdzają świadkowie; dziś zaś, gdy spostrzegł nas wszystkich, otaczających jego zagrodę, dostał wprost obłądu jakiegoś i w jego napadzie odebrał życie sobie i swej gospodyni. Widzisz tedy, ile biedy może narobić lekkomyślność i donos fałszywy. Właściwie powinienbyś być oddany pod sąd, lecz, że młody jesteś, sądzę za dostateczną karę dla ciebie dwadzieścia pięć różg, z rozkazu pana starszyny i pokutę kościelną.

Wszyscy zgłupieli na taki obrót rzeczy, a śmielsi z podejrzanych świadków wprost

śmiali się i chwalili zręczność p. sędziego śledczego i uriadnika.

Aż zabrał głos starszyna.

— Nie zgadzam się na wnioszek taki, ani też na karę niezasłużoną, zreszta karę taką może wymierzyć jeno cały sąd gminny, a nigdy ja jeden, a tem bardziej pan sędzia śledczy z panem uriadnikiem.

— Pan starszyna już widać za długo siedzi na swym urzędzie — przyciął wściekły Stróżko-Zarucki.

— Akurat tyle, aby go sobie obrzydzić, przy takich warunkach.

— Możeby protokół?... — podszepnął żandarmowi Sidorenko.

— Pan starszyna może być odpowiedzialny za umyślne i świadome lekceważenie prawa — dodał Czujko z naciskiem.

Lecz panu sędziemu pilno było dalej sprawę prowadzić i głośno zapytał:

— Czy w sprawie pożaru wczorajszego ma jeszcze ktoś cośkolwiek do zakomunikowania?

Przez chwilę panowała cisza zupełna, Ponar się poruszył, lecz na przeczący ruch głowy Jerzego zaniechał swego zamiaru. Wreszcie powstał poważny żandarm i, wyciągnięty jak struna, tak recytował:

— Mam honor meldować W a s z e m u b ł a h o r o d j u, iż zaraz po pożarze zgłosił się do mnie dobrze mi znany i wiarogodny człowiek, Trochim Porfirjewicz Biezrukij i złożył na moje ręce tę oto paczkę — tu wskazał przedmiot złożony na stole — a wyjaśnił przy tem, iż, ratując wraz z innymi palącą się stajnię, znalazł tę paczkę

w skrzyni z owsem, lecz nie oddał nikomu ze dworu, gdyż wie, że to rzecz niebezpieczna...

— A cóż tam jest? — zagadnął sędzia.

— Książki — wycedził z wolna żandarm. Stróżko-Zarucki spiesznie rozwinął paczkę i przeglądał tytuły, mówiąc:

— Tak, tak, są tu książki najsurowiej przez rząd wzbronione w języku polskim i litewskim. Panie Brażys — tu zwrócił się do Jerzego — skąd książki te znalazły się w stajni pańskiej?

— Nic o tem nie wiem.

— Więc to nie pańska własność, a więc trzeba będzie pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich formalistów pańskich i inną czeladź — dodał pan sędzia z tryumfującym, nikczemnym uśmiechem.

— Już napisałem dwa raporty ze szczegółowymi spisami: jeden do gubernatora, drugi do swojego pułkownika i dziś jeszcze wysłę — ciągnął dalej Jerszow.

Jerzy objął odrazu całą grozę położenia, mogącego dotknąć służbę jego i już był gotów przyznać książki za swoje, choć ani domyślał się, coby to były za książki.

Poprosił o pokazanie ich sobie. Nagle starszyna, który również je przeglądał, pragnąc publicznie złożyć świadectwo, że umie czytać, zerwał się zaperzony i wskazując jedną z książek otwartą, zakrzyknął:

— I czegoż tam tak szukacie, panowie, błędząc pociemku, gdy macie tu czarne na białem, kto jest właścicielem książek.

I czytał głośno i dobitnie: Własność nastawnika cerkiewno-parafialnej szkółki w

Gawie, Mojsieja Andrejewicza Smotryckaho.

Jerzy i Henryk parsknęli głośnym śmiechem, a Jerszow przyskoczył do paczki i jął przerzucać książki po jednej, wraz z panem sędzią.

Niestety! wszystkie bez wyjątku były podpisane w sposób takiż sam bujnym i niewprawnym pismem; snadź któryś z uczniów pana nastawnika z Gawy, ucząc się kaligrafii, chciał w ten sposób oszczędzić papieru i przysłużyć się zwierzchnikowi.

Stróżko-Zarucki gniewnie odsapnął, strącił całą paczkę książek pod stół, rycząc głosem wściekłym: »osiół! bałwan! idyota!..«

Jerszow radby się chętnie skrył pod ziemię, bo Czujko złośliwie się uśmiechał a starszyna patrzył nań z wyraźną pogardą.

Jerzy zaś i Henryk w duchu postanowili sobie, zmniejszyć szafunek książeczek w okolicach Gawy i w samej Gawie, gdyż oczywiście książeczki te wyławiają po chałtach popadyanki i darzą niemi swęgo kawalera z urzędu — nastawnika.

Stróżko-Zarucki rozkazał sobie podać cały protokół i zeznania świadków i jął pisać własnoręcznie z ogromnym rozmachem.

Po niejakim zaś czasie odczytał pośpieszenie:

»Dnia... miesiąca... w folwarku, dzierżawionym przez syna włościańskiego, Jerzego Brażysa, wieczorem podczas, gdy większa część służby bawiła na kiermaszu w Kropianach, powstał ogień w stajniach z niewiadomej przyczyny. Dzięki energii

i przytomności przejeżdżającego w pobliżu pana uradnika III stanu (obwodu), konie zasekwestrowane pana Chłystowicza wraz z końmi samego Brażysa zostały wczas wyprowadzone. Wobec tego Jerzy Brażys winien zwrócić panu uradnikowi koszta poniesione na najem ludzi, pilnowanie koni i przekarmienie przez noc jedną — rubli srebrem trzydzieści sześć i kopiejek siedmnaście i pół. Na starszynę zaś gminy pada obowiązek wytoczenia sprawy Janowi Brażysowi, za umyślny donos fałszywy i lekceważenie przedstawicieli władzy. — »Krom tego, o ileby szabla pana uradnika nie była mu zwróconą, zapłaci tenże Jerzy Brażys odszkodowania rubli ośm«.

Skończył pan sędzia czytanie i groźnym wzrokiem powiódł dokoła, rzucając krótkie pytanie:

— Czy wszyscy słyszeli?

Odpowiedziano milczeniem, a Sidorenko poszeptawszy z panem sędzią, dopisał na protokóle: »Wszystko powyższe świadkowie i strony mieli sobie dwukrotnie odczytane i wytłómaczone i jako nie piśmienni, słownie zgodzili się i jednozgodnie przyjęli«.

Protokół o śmierci Hładkiego i Głuszy zbudowano niezwykle prędko i łatwo, a Sidorenko odczytał:

»Rankiem, dnia... miesiąca... w miasteczku Kropianach, znany powszechnie i kochany, starowieca Hładkij, w przystępie obłądu poderzwał gardło gospodyni swej a sam się otruł. Obecny przejazdem w miasteczku pan sędzia śledczy, Stróżko-Zaru-

cki, w asystencyi miejscowego pana ura-  
dnika i żandarma zabezpieczył oba ciała  
do nadejścia władz sądowo-lekarskich, jak  
również opieczętował ruchomości po zmar-  
łych, składając całą gotowiznę, znalezioną,  
w miejscowym zarządzie gminnym. Gotów-  
ka ta wynosi jeden rubel i kopiejek czter-  
dzieści trzy i pół«.

Teraz znowu starszyna zaśmiał się aż  
nazbyt głośno i niepowściągliwie, za co  
Stróżko-Zarucki usiłował go zmiażdżyć spoj-  
rzeniem.

W końcu przystąpiono do sprawy napadu  
nocnego w Pasiece i dano głos kolejno ku-  
lawemu Grzegorzowi i Staszкови.

Pierwszy z nich tak rzecz swą wywo-  
dził:

— Stali my przed chatą i spoglądali na  
odblask pożaru, aż tu wpadły draby jakieś  
na Staszka. Chłopak nie zdurniał i naoko-  
lusiejko coś ze trzecz ułożył, a sam poszedł  
do chaty baby ratować. Ja zaś jąłem kulą  
żegnać tych drabów na dworze i rąk swych  
nie żałowałem, waląc przez krzyże i gdzie  
popadło. Aleć te juchy na czworakach się  
popodnosiły i umknęły, a nie mogłem ich  
zgonić żadnego. Potem tylko już widziałem  
jeszcze jednego, co uciekał przez sad i zgi-  
nął w polu«.

Skończył Grzegorz i odsapnął.

— Na kogoż masz podejrzenie? — badał  
pan sędzia.

— Pewnie to będą wspólnicy tych podpa-  
laczy na folwarku Jurgisa — odparł bez  
wahania Grzegorz.

— Czy poznałeś kogo?

— Nie, bo było ciemno, to wiem tylko, że były tam żydy i moskale, bo jakem ich wziął walić, tak jeden charczał: A j w e j«, a drugi »S p a s i B o h!«.

— Możesz odejść — przerwał dalsze opowiadanie pan sędzia i kazał mówić Staszкови.

Ten jednak wprzód wyszedł na chwilę i wrócił... z szablą pana uriadnika w ręku, poczem opowiadał, hamując się w oburzeniu:

»Napadło ich trzech na mnie w podwórzu o północy, a psy struli już przedtem, alem rozbił w jednej chwili. Nie mogłem jednak brać i wiązać, bo trzeba było na krzyk kobiet iść do chaty. Tam znalazłem czwartego i z nim się zwałem. Tęgi był ot, jak pan uriadnik, lecz byłbym go powalił, gdyby nie to, że szabla jego wparła mi się między kolana i pośliznąłem się. Uszedł przez okno, a w rękach moich została szabla z dwoma kawałkami przerwanych pasków«.

— Czy to wasza szabla? — spytał pan sędzia Czujkę.

— Moja — odparł ów śmiało.

— I cóż ty na to? — zwrócił się pan sędzia do Staszka.

— Nic, niech jeno pan uriadnik zdejmie mundur i zakasze rękawy, to zobaczymy tam sińce na jego ramionach, gdyż ręce kowalskie są krzepkie i gniotłem bez miłosierdzia.

Czujko pobladł wyraźnie i rozśmiał się nerwowo.

— Dureń ty jesteś! — powiedział Stróż-



ko-Zarucki do Staszka i zaczął znowu pisać zawzięcie.

— A co by to szkodziło panu uriadnikowi pokazać gołe ramiona, tu przecie kobiet nie ma — mruknął półgłosem starszyna.

Lecz nikt tej uwagi... nie słyszał.

W niespełna dziesięć minut nowy dokument urzędowy był gotów i brzmiał:

»Całą historję o mniemanym napadzie nocnym na zaścianek Pasiekę uważać należy za wymysł pijanych chłopów, którzy w dodatku podpili do reszty pod nieobecność samego gospodarza w zaścianku. Gdy jednak w toku śledztwa jedna okoliczność została sprawdzoną dowodnie, że szabla pana uriadnika znalazła się w bezprawnem posiadaniu chłopca, Stanisława Mażula, panu uriadnikowi przysługuje prawo oddania pod sąd tegoż Mażula za kradzież lub też karygodne przechowywanie rzeczy skradzionej. Szabla zaś z dwoma przerwanemi paskami składa się do przechowania, jako dowód rzeczowy w kropiańskim zarządzie gminnym.«

Pan sędzia skończył czytanie, Sidorenko wnet kropnął pieczętkę z rozmachem, a wszyscy w niemem oczekiwaniu spoglądali na siebie. Lecz powstał raz jeszcze Jerszow, wyprostował się po służbowemu i tak prawił:

— Ośmielam się zameldować W a s z e m u w y s o k o b ł a h o r o d j u, że Stanisław Mażul, jako kowal, mógł z umysłu postarać się o tę szablę, by mieć wzór do wyrobu broni, co się wzbrania najsurowiej. Tenże Stanisław Mażul należy do liczby znanych

u nas buntow szczyków i ta broń jego wyrobu oczywiście miała być użytą na szkodę cara i h o s u d a r s t w a.

To rzekłszy, żandarm śmieiej rozejrzał się po zgromadzeniu, czując, iż zatarł teraz w zupełności uprzednie swoje nieudane wystąpienie.

Jakoż Stróżko-Zarucki polecił zapisać słowa powyższe do protokołu i dodał półgłosem :

— Tak, to lepiej pomyślane, niżli z temi książkami.

— A jakże będzie z temi sińcami na ramionach? — niby nieśmiało, choć wprost drwiąco spytał Staszek.

Nikt nie odpowiedział, bo właśnie stójkowy zwiastował, że pani pisarzowa czeka z obiadem.

— Sińce pójdą także na obiad w godnem towarzystwie — rzekł Henryk ze śmiechem i zabrał się z towarzyszami do wyjścia.

Lecz śmiech to był bólem nadmiernym zaprawiony. Jerzy był niezwykle zgnębiony, tylko Staszek i Janek błyskali gniewnymi oczyma, a Grzegorz stary kłął siarczyście pod wąsem.

Henryk z Jerzym udali się na plebanie do Kopliszek, gdzie ich oczekiwał Ponar stary, a pozostali pośpieszyli do Pasieki.

Dziedzic Lubiszek i proboszcz kopliski znali się od lat kilkudziesięciu i szanowali się wzajem, co jednak im nie przeszkadzało staczać walki z sobą przy każdej sposobności nadarzonej. Obaj zarówno otrzymali chrzest smutny w dziejach ostatniego powstania, lecz skutek okazał się całkiem ró-

żny. Ponar zamknął się w sobie, i odgraniczył murem chińskim od wrogich dla siebie i sprawy polskiej obcych, najeźdźczych żywiołów, obojętnie płacąc kieszenią za odrobinę spokoju, proboszcz zaś podjął walkę ciągłą i uporczywą, płacąc jej koszta spokojem własnym, siłami i choćby miernym dobrobytem.

Obaj wywierali wpływ duży na otoczenie, na lud, który się zwracał do nich z zaufaniem po wskazówki i rady. Ten doradzał cierpliwość i krzepił nadzieją w przyszłości. Ów zaś zawsze i wszędzie rozwijał chorągiew oporu i walki bezustannej. Nic więc dziwnego, że napozór żyjąc zgodnie, sprzeczali się z sobą przy każdym spotkaniu.

I teraz, wypadki nocy ubiegłej, dostarczyły wątku do gorącej dysputy, w rezultacie której Ponar popadł w ponurą zadumę, a ksiądz Zaranek miotał się w gniewie i zapamiętałości.

Wreszcie Ponar próbował zająć go z innej strony.

— Czyż potrzebuję ci przypominać, kochany proboszczu, że twoje stanowisko kapłańskie nakazuje ci przedewszystkiem rzucać ziarna miłości i spokoju, a nie zagrzewać do walki, dość zresztą małe korzyści obiecującej.

— Mylisz się pan, mylicie się wy wszyscy, dobrzy i szlachetni, lecz gołębiego serca i woli całkiem złamanej — wybuchnął proboszcz. Tak, mylicie się ciągle i temsamem już uprawniacie niejako bezczynność i gnuśność duchowieństwa w sprawie wła-

snego narodu. Nie przeczę bynajmniej, że moja suknia kapłańska wskazuje mi drogi pokoju i pracy czysto duchowej, lecz ona wkłada także i p r z e d e w s z y s t k i e m obowiązek czuwania nad moralnością i uszlachetnieniem moich współbraci. To zaś jest wprost niemożliwe w tej masce jagnięcej uległości, jaką nam zalecacie. Niema dwóch dróg. Albo wraz z uległością musimy upaść, jako Polacy lub Litwini, wobec niecných zasadzek moskiewskich, albo też wszyscy razem i bez żadnego wyjątku toczyć walkę bez ustanku i granice tej walki stale rozszerzać, jeśli chcemy być ludźmi, być chrześcijanami, być Polakami.

— Czy jednak nie szkoda tych sił przedwcześnie marnowanych, które już, niestety, niejednokrotnie i bez skutku dobrego nadszarpaliśmy.

— Głupstwo! to teoria fałszywa. Sięgnijcie do praw natury, a one was przekonają, że siły wszelkie wzmacniają się przez życie i ruch z niem związany, a kisa i marnieją wśród bezczynności. Wśród zwierząt i wszelkich istot żyjących, jedne żyją krócej, inne zaś dłużej, a rodzaje ich nie giną z przyczyny śmierci przygodnej, choćby masowej, lecz z przyczyny złych i nieodpowiednich warunków dla życia. To samo ma miejsce wśród roślin; czyż tedy wśród ludzi nie dzieje się taksamo? Niech cierpi każdy z nas w tej walce o prawa, o istotę bytu uczciwego i szlachetnego, niech nawet zginie nie jeden — to sprawę naszą jeno naprzód posunie, w spokoju zaś i naczekiwaniu damy sobie wydrzeć zie-

mię, powietrze i wszystko, dobrowolnie skazemy sobie na wymarcie w otoczeniu wrogich dla nas warunków.

— Lecz nie zapominaj proboszczu, że my tej walki nie odrzucamy, lecz chcemy mieć w cichości i ostrożnie prowadzoną. Na cóż się zdadzą ofiary tam, gdzie się bez nich obyć można kosztem innych środków dobrze zastosowanych.

— I to piosnka stara! Chcesz mi pan przypomnieć, że można robić i coś się robi podobno drogą zapychania gardeł żarłocznym Moskałom lub też uśpienia ich czujności. Znam drogi i środki takie i odrzucam je bez wahania. Nie zapominajmy bowiem, że stosując je równie dobrze demoralizujemy siebie i nieznacznie zatracamy w sobie poczucie godności i prawości. Stokroć wolę rany i krew ofiar nielicznych, wolę rabunek połączony z gwałtem publicznym, niżli tę stałą truciznę stosowaną dobrowolnie. To zabija lub tylko osłabia, a tamto sieje zarazę nieuleczalną.

Skończył ksiądz Zaranek i z okiem płomieniejącem a ramionami wzniesionemi, przystanął na chwilę przed zamyślonym Ponnarem. Ów zaś milczał, przejęty czią mimowolną i podziwem.

Lecz nie zaprzestał sporu.

— Wróćmy jednak, księże proboszczu, do wypadków najbliższych. Otóż ja sądzę, że skoro Jerzy odzyskał stratę, a Brażysów szczęśliwie ominęła grabież w Pasiece, należy podwoić czujność i pracą a staraniem zabezpieczyć się przed czemś podobnem.

W tej chwili wszedł do pokoju stroskany

i wyraźnie wymęczony organista, Paweł Brażys i przywitawszy Ponara, usiadł na uboczu, snadź upoważniony przez gospodarza do pewnej poufałości w stosunku.

Proboszcz szybkim ruchem przebiegł pokój kilkakrotnie; wreszcie stanął przed organistą i oparł rękę na jego ramieniu, mówiąc już dość spokojnie :

— Powiedzże, mój Pawle, coś widział nocy dzisiejszej i poprzednich, a wtedy może pan Ponar zgodzi się z nami, że trzeba wystąpić śmiało i odrazu zdemaskować całą tę szajkę łotrów i rozbójników.

Paweł Brażys na to odrzekł głosem równym, lecz zięjącym twardą, nieugiętą zacietością :

— Już od tygodnia pilnujemy co noc Chłystowicza z obawy, żeby nie spalił kościoła lub budynków na plebanii. Widzieliśmy nocne wizyty u niego Czujki, Hładkiego i Fajwła, więc byliśmy pewni jakiejś sprawy łotrowskiej, lecz nie mogliśmy zgadnąć, z której strony uderzą. — Toćże Chłystowicz, który dziś i wczoraj udawał chorego i leży w łóżku, ruszył w nocy na wyprawę i powrócił dopiero nad ranem; a Fajwła jakieś draby przywiozły cichaczem od strony Pasieki i na rękach wnieśli do karczmy od tyłu.

— Czy fakta te nic panu dziedzicowi nie mówią? — wtrącił się proboszcz, zwracając się do Ponara.

— Owszem, dają mi pełny obraz całego spisku uknutego, lecz już tosamo, że trzeba wystąpić przeciw tyłu łotrom, z których

każdy ma pomocników, nakazuje rozwagę i oględność.

— Więc może puścić im to wszystko bezkarnie — wybuchnął gospodarz, a organista zagryzł pięść własną prawie do krwi.

— Może to i lepiej, niż się narazić na zemstę nieobliczoną a to tem bardziej, że z tysiąca spraw podobnych zaledwie mały procent kończy się lekką naganą tylko lub karą pozorną.

— Mamy pięści własne — mruknął organista.

Ponar dłonie załamał, czując się bezsilnym.

Turkot bryczki odwrócił uwagę wszystkich od drażliwej rozmowy. Weszli Henryk i Jerzy.

Zasypano ich pytaniami, więc opowiadali długo i ze szczegółami.

— A co? jeszcze chcieli Jurka splątać siecią propagandy przeciwrządowej, Staszka radzi już schwytać na zmyślonem przestępstwie, nawet Janka biednego skatować, a my, my — będziemy patrzeć spokojnie i czekać? — zakrzyknął ksiądz Zaranek.

Jakoż i Ponar uległ niezwykłemu oburzeniu, a Paweł pobladł wyraźnie i zdawał się wzrokiem szukać już wroga.

— Dziś jeszcze pojedę do Wilna, wprost do gubernatora, i całą sprawę przedstawię — ozwał się Henryk.

— Pojedziemy razem, — dodał Jerzy — gdyż tobie jednemu mogą postawić pytanie, czemu się wtrącasz do sprawy, w której nie jesteś bezpośrednio zainteresowany.

— O, tak! dobrze mówi Jurek, u nas nie wolno nawet się skarżyć, bo wnet staniemy pod zarzutem buntu i działalności występnej — dodał z bolesnym uśmiechem proboszcz.

— Najgorsza rzecz jest w tem, że, jak się okazuje, wszyscy najbliżsi przedstawiciele władzy już porozumieli się z sobą i będą wzajem się wspierali — zrobił uwagę Ponar.

A po chwili porwał się pod wrażeniem jakiejś myśli dobrej:

— Zaraz pošę umyślnego do Teosia, który już wrócił z Rosyi ostatecznie; jego powaga przed sądem może posłużyć wybornie do obrony Staszka i Janka.

Jerzy z wdzięcznością jął dziękować, lecz Paweł Brażys coś jeno mruknął i opuścił towarzystwo.

— Ten mię najbardziej niepokoi — powiedział ksiądz Zaranek po jego wyjściu — gdyż boję się, żeby się nie uwikłał w poważne zajścia na swoją rękę.

Słowa te zmroziły obecnych ponownie, a stary Ponar spojrział na proboszcza, jakby z wyrzutem tajonym. Ksiądz to rozumiał i boleśnie się zadumał. Wnet też rozjechali się w różne strony, gdyż Ponarowi pilno było uspokoić żonę i Wandzię, a Jerzy z Henrykiem czuli się w obowiązku odwiedzić Pasiekę i zabrać Maryę do domu.

W zaścianku również wrzało niezwykle od przyjazdu Staszka, Janka i starego Grzegorza. Tu ciotka Dorota przodowała w wylewie gniewu i oburzenia, a stary Brażys frzymał się w tonach niższych, ni-



by bas w śpiewie chóralnym. Janka wnet matka przedziała i nakarmiła, z miłością wodząc za nim oczyma.

Staszek śmiał się ze sprawy, którą mu zagrożono, i starał się uspokoić Helkę, chwytając jej życzliwe spojrzenia i troską rzewną nabrzmiałe wyrazy.

— Nic mi te hycle moskiewskie nie zrobią, bo sędzia będzie musiał uznać zeznania świadków, ja zaś zakarbuję sobie dobrze dzień dzisiejszy do rychłego, da Bóg, obrachunku z panem uradnikiem i żandarrem, przy pierwszym spotkaniu na osobności.

— I ja z tobą Staszku! — szepnął Janek cichutko, oglądając się na ojca i tuląc do ciotki Doroty.

Śmiały się obu oczy i przeżyły ramiona do tych wyczekiwanych zapasów z upatrzonymi ciemiężcami, więc Marya, zlekka grożąc palcem, zalecała ostrożność i cierpliwość.

Przybycie Jerzego i Henryka powitano już bez troski i chmury najmniejszej, a projekt wyjazdu obu młodzieńców do Wilna stary Brażys w zupełności przyjął, dodając od siebie radę:

— Proście o przysłanie kogoś z kancelaryi gubernatora, żeby utrudnić tym zbójom tutejszym porozumienie się dalsze.

A po chwili rzucał krótkie rozkazy:

— Julek zastąpi cię przy gospodarce na folwarku — zwrócił się potem do Staszka — ty zaś będziesz miał oko na Chłystowicza a nocami pomożesz bratu Pawłowi strzedz

kościół i plebanii, Janek zostanie tu u nas w zaścianku aż do waszego powrotu.

Chłopcy skłonili głowami na znak posłuszeństwa, choć Staszek z Jankiem chętnie zamieniliby posterunki sobie wyznaczone.

Marya z cicha naradzała się z Jerzym w sprawie dalszego rozdawnictwa broszur i książeczek, niepokojąc się o mieszkańców Gawy.

— Niech pani będzie spokojna, to ludzie pewni i nic z nich żadne śledztwo lub szpiegostwo nie wyciśnie. To zaś, że zdołano im wykraść książeczki, wskazuje tylko na potrzebę ponownego dostarczenia im tych rzeczy i zalecenia większej ostrożności.

— Będę o pana niespokojna aż do powrotu — szepnęło dziewczę splecione.

— Nie wart jestem tego dziś jeszcze, lecz pragnę gorąco zasłużyć to sobie u pani — odpowiedział, dziękując wzrokiem rozkochanym i rozmodlonym.

Za to Henryk, co się zrazu najwięcej śmiał i żartował, zaczepiając Helkę i ciotkę Dorotę, zwolna tracił humor, gdy widział oczy Staszka płonące ogniem zapału i łzawe spojrzenie prześlicznej dziewczyny.

— Matka ma słuszność — pomyślał sobie i, lubo serdecznie zapraszany i przyjmowany zawsze, postanowił ograniczyć swoje stosunki z Pasieką.

Powstał po chwili i naglił siostrę do powrotu, tłumacząc się potrzebą niezwłocznych przygotowań do zamierzonej drogi.

Na to Janek przypadł doń, całując go w rękę i mówiąc z przejęciem :

— Nasz drogi paniczu !

A ciotka Dorota, jakby gderając, zaczęła napędzać Staszka, ażeby szedł do kuźni w Kopliszkach.

— Los ci daje więcej, niżli wart jesteś, toż pracuj mi, chłopcze, i bacz, ażebyś się odwdzieczył tym, co ci w głowie świećta nieco zażgnęli.

Staszek powstał, lekko zawstydzony i szedł przez ganek, ażeby dopomódz Maryi i Henrykowi przy wsiadaniu do bryczki.

Jerzy uścisnął go na pożegnanie i dodał:

— Nie to, bracie, taka snadź wola Boża! Pamiętajcie o Pasiece i miejcie nad nią opiekę, lecz ojcu w oczy nie leźcie i słuchajcie jego rozkazu.

Poczem dosiadł konia i ruszył w ślad za bryczką, ażeby jeszcze czas jakiś obok kłusować i cieszyć oczy widokiem ukochanej.

Widmo rozchwianego szczęścia na ten raz ominęło go szczęśliwie, bo właśnie miał pod sobą chlubę swej stajni, Bohuna i cała strata z pożaru i kradzieży ograniczyła się na drobiazgach.

\* \* \*

Chłystowicz, udający chorego, obsługiwany przez babę pijaną i kilku zaufanych służalców, wnet o znanych wypadkach dowiedział się z kartki, przysłanej przez Czujkę, przez zaufanego żydka.

Wieść ta, niby grom niespodziany, niweczyła jego nadzieje a obok tego Czujko zalecał wielką ostrożność w postępowaniu i słowach.

Niby rzutem dłoni olbrzymiej porwał się

z łóżka w jednym oka mgnieniu i jał biegać po izbie, echem przekleństw, wypełniając rozległe ubikacye opustoszałego dworu.

Więc mu sprzedadzą za dni 5 konie, woły i remanenty zbożowe na pokrycie pretensyi właściciela, poczem wygonią go ze śmiechem i urąganiem, a ten wróg stary, proboszcz z plebanii, wyjdzie na próg i opatrzy go krzyżem świętym na drogę.

— Nie! nigdy nie! — huczało w głowie, huczało mu w każdej krwi kropli, co gorącemi strumieniami uderzała w skronie, przyprowadzając o szal niemal, o wściekłe, konwulsyjne porywy gniewu i nienawiści.

Nadomiar złego przyłączył się jeszcze strach o skórę własną, skoro doszły go wieści o zabójstwie Głuszy i samobójstwie Hładkiego. Bał się tych cynicznych i dość poprawnych pod względem wyrażenia słów i rać Czujki, bał się jego samego, aż nadto przekonany, że dla pozyskania grosza odważy się na wszystko. Nie był to Moskał zacietrzewiony, jak Jerszow i Sidorenko, nie był to również zbieracz rubli i kopiejek, jak pop z Cawy; był to arcyłotr dość kosmopolityczny, który na marnem stanowisku postanowił wkrótce ukuć tysiące, aby z ich pomocą posunąć się dalej po drodze karyery służbowej. Fajwel i Czujko były to typy bratnie, choć z różnych środowisk powstałe, a teraz zgodnie z sobą pracujące.

Tacy dziś pomagają, jutro zaś zdradzają, dziś radzą — jutro denuncyują.

Chłystowicz więc bał się, lecz bojąc się pragnął przedewszystkiem jakiegoś oparcia i zemsty, zemsty za jakąkolwiek bądź cenę.

Zresztą stopień odwagi można podnieść nieco, miał bowiem jeszcze spory zapas gorzalki mocnej na składzie i w różnych zakątkach.

Więc pił i rozpamiętywał, rozpamiętywał i pił, a wślad za nim szło echo przekleństw i dzikich urąganiań. Wreszcie postanowił raz jeszcze i na własną rękę spróbować roboty w Wilnie i rozkazał natychmiast jedyne go konia, pozostawionego sobie przez komornika, zaprządz do podróznego wózka.

— Tak będzie najlepiej — rozmyślał. Rzucę donosów wór cały i sprowadzę tu conajmniej ze dwie komisye lub nawet oddział kozaków. Popamięta mię księżulek, co mię przeklinać śmiał z progu swojego kurnika, popamięta mię ten szlachcic z Lubieszek, co mi precz kazał iść z przed progów swego domu; popamiętają mię wszyscy, co dziś się śmieją z mej biedy i upokorzenia.

Z dziwnym uporem maniaka wyobrażał sobie, że jest przedmiotem śmiechu dla wszystkich i celem jakichś prześladowań ukrytych.

Jeszcze tedy w Kropianach nie rozdzieliła się trójka obiadująca u pisarza gminnego, gdy Chłystowicz pomknął do Wilna, pełen otuchy najlepszej i ponownie rozbudzonych nadziei.

Lecz w Wilnie spotkał go zawód okrutny. Daremnie obszedł raz i drugi wszystkie znane sobie dobrze kancelarye i przedpokoje działaczy urzędowych, szukających szybkiego odznaczenia w karyerze służbowej na Litwie. Słuchano go niechętnie, zbywano pod jakimbądź pozorem, albo też

wprost radzono, ażeby zaprzestał swych starań niewczesnych.

Zastanowiło go to. Czuł się w położeniu wyzła, który niby szedł po świeżych jeszcze tropach, lecz już był uprzedzony przez współzawodnika albo też przebiegłego przeciwnika. Więc postanowił zbadać sprawę należycie i zaprosił poufnie na wieczorną zabawę dwie znane sobie, drobne figurki urzędowe, odznaczające się niezwykle ostrym węchem i nieomylnem uchem.

Wtedy dowiedział się całej prawdy. Jakiś wojskowy wyższego stopnia, ozdobiony poważnemi orderami, przyjechał na parę godzin przed nim z pod Kropian i na podstawie całego memoriału prosił o niezwłoczne śledztwo administracyjne i sądowe.

Chłystowicz łatwo się domyślił, że musiał to być Łazowski i popadł w czarną zadumę. Taki stan atoli nie dogadzał gościom, którzy radzi byli dzwonić w kieliszki i odpłacać się wiadomościami za hojny poczęstunek. Więc pili.

— Na czymże tedy stanęło? — spytał po chwili ponury amfitryon.

W odpowiedzi na to obaj dygnitarze dawali wnioski całkiem niezgodne. Jeden utrzymywał, że już naznaczony urzędnik do szczególnych poruczeń z kancelaryi generał-gubernatora, drugi zaś obstawał przy tem, iż całą sprawę zdano na »i s p r a w n i k a« (naczelnika powiatu).

I jedno i drugie było dość na rękę Chłystowiczowi, lecz nie mógł się za nic dowiedzieć, coby za urzędnik miał być naznaczo-

ny, bo isprawnika znał dobrze i wiedział, jak doń trafić w nagłym wypadku. —

Kiedy już stanął na tym punkcie wiadomości i widział, że dalsze usiłowania wydobycia czegoś na nic się nie zdadzą, wnet z uprzejmego gospodarza zmienił się w gburę nieokrzesanego.

Bez ceremonii zwrócił się do obu gości, którzy już się zabierali do wydania nowych rozkazów służbie hotelowej.

— P o s z l i w o n, czartowe syny! załóż po to przyjechałem do miasta, żeby oglądać wasze wiecznie pijane, bydłące oblicza?

Dygnitarze się obrazili i dokończywszy resztek z butelek, powstali z miejsca sztywni i pełni grozy tajemniczej.

A Chłystowicz, czy to z rozdrażnienia, czy też z innego powodu, całkiem stracił miarę żartów dozwolonych, bo drwił jeszcze z nich i urągał:

— Ściągnijcie ponownie pasy na wygłodniałych brzuchach i gardziele pociągnijcie dziegiem, gdyż dziś nie trafiliście na głupiego.

Nawet nie ukłonili się już po tych słowach i wyszli, zaprzysięgając w duchu zemstę niechybną.

A Chłystowicz, gdy zmiarkował, że w każdym razie wygodniej dlań będzie uprzedzić delegowanego przybysza i przygotować się na jego spotkanie już na miejscu, o świcie dopadł wózka i ruszył ku domowi.

Lecz zaledwie ku wieczorowi zbliżył się do Kopliszek, bo koń szedł krokiem po drodze piaszczystej pod górę. Zmrok już zapadł a nad polami przyświecał błądy księżyc,

rzucając smugi srebrzyste na szarą lub brunatną ziemię.

Droga prowadziła przez wąwóz, po obu bokach którego sterczały drobne sosny. Mijał kolejno już od niejakiego czasu gromadki ludu jakiegoś, lecz lud to był obcy, nie tutejszy, gęsto obrośnięty na twarzy.

Poznał burłaków i zagadnął, dokądby szli tak gromadnie. Niechętnie odrzekli, że żyd Judka z Kopliszek zakontraktował ich do spławu, więc idą. Jakoż, pod górką, wymiñli go łatwo i zginęli z oczu.

Znowu został tam, a im bliżej był domu, tem dotkliwiej nasuwały się jego pamięci wypadki ostatnich dni kilku i żółć gniewna wstępowała mu w żyły, a nawet czuł jej smak obrzydliwy.

Otóż i znowu ludzie jacyś, stanęli nad wąwozem i gwarzą, a jeden ma chyba fuzję na ramieniu, bo księżyc srebrzy coś niby lufę stalową i zdala już odznacza. Zresztą jest widno i Chłystowicz widzi ludzi tych dobrze, a po chwili zaczyna poznawać. Toćże to Grynis, dziad kościelny, a tuż zaraz Paweł Brażys, organista, a ten wysoki to nikt inny, jeno Staszek, kowal, a z nim razem dwaj najmłodszy chłopcy Brażysowi Julek i Janek.

Chłystowicz zatrząsł się z gniewu, lecz i przeląkł się trochę. Czegóż-to oni czekają? Musieli go nawet poznać, bo go doleciał śmiech jakiś urągliwy a potem głośne przekleństwa.

Machinalnie dobył z kieszeni starego pistoletu i trzymał w pogotowiu, zapominając o tem, że nabił go ostatnim razem śrótem



drobnym, strzelając dla uciechy wróble w sadzie po jakiejś hulance. Nie tyle mu zresztą chodziło o wróble, co o nastraszenie i gniew starego proboszcza; jakoż celu dopiął wtedy w zupełności.

Lecz teraz — czegoż oni chcą tu i czekają na gościńcu po nocy? Dreszcz go przeszedł od stóp do głowy i zaczął naglić konia lejcami i biczem do pośpiechu.

Wówczas stojący nad brzegiem wąwozu jęli gwizdać na niego, niby na psa pędzonego, a organista warknął grubym głosem:

— Otby ściągnąć odmieńca tego i złodzieja z wozu i dać dobre poczesne!

Śmiech towarzyszy zdawał się pochwalać ten projekt, więc Chłystowicz, prawie tracąc przytomność z gniewu i przerażenia, mimowoli wyciągnął ramię przed siebie i palnął z pistoletu...

Koń szarpnął się i poniósł go cwałem, a wślad za nimi szły pościgiem wrzaski i groźby okrutne.

Do miejsciny już było niedaleko i koń zwolnił biegu, jak raz przy domostwie Fajwla, a przed wybladłym Chłystowiczem nagle ukazała się figura Czujki i wpadł w uszy pytanie:

— Co się stało? kto strzelał?

Chłystowicz skrzył konia w sień domu żydowskiego i wysiadłszy z wozu, stanął drżący przed uradnikiem...

— Ja strzeliłem... Chcieli mię napaść te łotry, mieli strzelbę przy sobie, więc się bronić musiałem... — tłumaczył się głosem zajakliwym i pokornym.

— Któż pana napastował? — badał Czujko.

— A no sładzy księdza i zausznicy.

— Gdzież oni są?

— Patrzyć tylko, jak się ukazaą na drodze od Pasieki.

Nagle Czujko schwytał go za oba ramiona i niemal gwałtem wciągnął do żydowskiego alkierza, skąd słyhać było pijane głosy licznych burłaków, biesiadujących w izbie karczemnej.

— Cicho pan bądź i zbierz całą przytomność: to nie pan, lecz oni strzelali do pana, dopiero co przyszli z tamtej strony burłacy i powiedzieli mi o strzale, więc będą świadkowie. Stawiaj dwa wiadra, a wnet wszystkich każę powiązać i odstawić do gminy — szepnął Czujko z szatańsko uradowaną twarzą.

Chłystowicz zdawał się nierozumieć jego planu i łypał oczyma bezmyślnie.

— Oprzytomnij że pan, bo od tego cała sprawa zależy... — nalegał Czujko, ale po chwili snadź namyślił się inaczej, bo ujął ponownie Chłystowicza pod ramię i wiódł do izby głównej, kładąc mu w uszy z naciśkiem:

— Gadaj, że cię napadnięto i strzelano do ciebie, wołaj ratunku i sprawiedliwości, a ja resztę dopowiem i zrobię.

Chłystowicz nareszcie zrozumiał i wyrывая się z rąk uriadnika, wpadł między burłaków z gromkiem okrzykiem:

— Ratujcie ludźle! mordują i zabijają?

W jednej chwili ucichło w izbie obszernej, a dokoła przybyłych zebrały się dziwie, obrosłe postacie. Czujko zręcznie wy-

Kulejący Fajwel i kilku żydków podskoczyli z pytaniami najpierwsi, a uriadnik niby dobywał objaśnienia z uszkodowanego, a w rzeczywistości sam kreślił obraz zbójckiego napadu.

darł Chłystowiczowi trzymany dotąd pistole i ukrył pod połą własnego surduta.

— Było ich pięciu z bronią palną i nożami, zasiedli wśród krzaków w wąwozie i rzucili się razem, lecz koń uniósł gwałtownie, więc strzelił jeden, a reszta rzuciła się w pogoń...

— Aj waj! Boh spas! — rozległy się głosy w izbie.

Wtedy Chłystowicz wpadł już w rolę i ciągnął dalej rozgorączkowany:

— Poznałem ich wszystkich, to wysłańcy księdza, co mię życia pozbawić postanowił. Brońcie mię ludzie i chwytajcie tych zbójców, a ty, żydzie, nagotuj mi zaraz dwa wiadra wódki dla dobrych przyjaciół.

Skoczyli obaj z Czujką przed karczmisko i zwrócili się w stronę probostwa.

Jakoż na wzgórzystej ścieżynie ujrano wnet w blasku księżyca pięciu domniemyanych zbójców, co szli teraz najspokojniej ku budynkom plebanii.

Czereda ludu dzikiego wyległa za nimi przed karczmę.

— Bierzcie ich! — wrzasnął energicznie uriadnik, obejmując komendę i potrząsając szablą.

Tłuszcza spojrzęła po sobie, mruknęła, wreszcie zawyła i rzuciła się na pięciu przestępców. Było ich przeszło czterdziestu i to im dodawało odwagi.

Tamci nagle zaskoczeni w szczerem polu, nie domyślając się jakiegoś gwałtu, przypuścili napastników blisko, patrząc na nich w zdumieniu.

— Bierzcie ich! — huknął ponownie uradnik, a tłuszcza, niby mrowisko, pokryła nieszczęsnych.

Za chwilę zbitych, skrwawionych i skrępowanych złożono rzędem na brudnej podłodze w karczmie, a Fajwel przy pomocy żony rozdawał flaszki gorzałki... bohater-skim zwycięzcom.

Czujko wydawał rozkazy. Więc jednego dziesiętnika pchnął po sędziego śledczego drugiego po żandarma, a przez przejezdnego żydka przesłał niezwłocznie raport stanowemu Pigulewskiemu.

Wreszcie powstał zmęczony wysiłkiem i stanął groźny nad... powiązanymi.

— Mamy was, ptaszki! Dobrze, zachciało się wam rozboju, to zgnijecie w turmie.

— Sameś zbój podły i ciężko odpowiesz za krzywdę naszą — syknął organista.

— Milcz, dławidudo, parobku księży, co z jego rozkazu idziesz mordować ludzi po drogach. Damy ci tu i twego księżulka do kompanii, to razem odśpiewacie »Dominus vobiscum«.

Zaśmiał się dziko i urągliwie, a kilku żydków mu zawtórowało.

— I tyś tu? — zwrócił się do Staszka. — No, zobaczysz, że ze mnie lepszy kowal od ciebie, bo jak ci włożę obrączki, nie rychło z rąk ci opadną.

— Ty już je nosisz od uścisku mych dłoni, kiedym cię zdybał, jako rabusia, przy

skrzyni w Pasiece — rzekł Staszek, szarpiając się z bezsilnej wściekłości.

— Chłopcy! — wtrącił się stary Grynis — dajcie psu czekać i nie plamcie ust waszych gawędą z nim.

Odtąd umilkli, jeno szeptem cichym porozumiewając się z sobą.

Czujko się wściekał, gdyż na domiar kłopotów Chłystowicz zginął kędyś i nie można go było odszukać.

Wreszcie przyszedł i od razu zwrócił się do uriadnika z oświadczeniem:

— Proszę natychmiast sprawdzić przy świadkach, że od wystrzału tych zbójów koń jest zraniony śrócinami i drabinka u wozu postrzelana.

Mniemani złoczyńcy i na to zmilczeli, choć Staszek wiedział dobrze, że strzelba od nich zabrana była pozbawiona cyngla.

Milczeli, gdyż dusiło ich poczucie własnej niewinności i cała ohyda tej potwornej komedyi.

A Czujko wnet zasiadł do spisania olbrzymiego protokołu, popartego zeznaniami tużina pijanych burłaków i kilku żydków obecnych, z którymi Chłystowicz kolejno rozmówił się na osobności.

\* \* \*

Wczesnym rankiem, z brzękiem licznych dzwonek, wpadł na środek mieściny specjalny urzędnik przysłany z Wilna, w asystencji Pigulewskiego.

Ucieszył się on niezmiernie po wysłuchaniu raportu Czujki i polecił niezwłocznie odstawić zbrodniarzy furmankami do Kro-

pian. Sprawa okazała się znacznie poważniejszą od tej, jaką mu polecono w Wilnie i postanowił ją... wyzyskać w zupełności.

Po zjechaniu na miejsce Stróżko-Zaruckiego zamknęli się obaj na walną naradę, do której wzywano kolejno to Czujkę, to Jerszowa, to Pigulewskiego.

Wreszcie spisano jeszcze kilka aktów i... uwięziono księdza Zaranka.

\* \* \*

W tydzień później w więzieniu kryminalnym w Wilnie osadzono pięciu zbrodniarzy, a w celi osobnej niebezpiecznego podżegacza i twórcę bandy — księdza Zaranka, o którym dokument urzędowy opiewał, że miał lat 69 a w ich liczbie czterdzieści trzy lata kapłaństwa.

Więc bandą chyba były dwa pokolenia w całej parafii, a celem występny — obrona wiary i języka ludu.

Tak też było istotnie. Tak to Brażys tłómaczył tym wszystkim, co z jękiem i płaczem przychodzili doń po radę i wiadomości.

Nie rozumiała tego jedna tylko Tomaszowa, gdy, siedząc na plebanii i dozorując ubogiego mienia, chodziła z psami naokół plebanii i kościelnego cmentarza, wołając na psy:

— Pilnujcie pieski! gryźcie napastników na śmierć! Pójdź Dorskocz! pójdź Ratuju! brońcie tej ziemi i jej dzieci, skoro ludzi nie stało, lub ludzie, co są, odrętwieli...

Zwyczajnie stara kobiecina, musiała resztki rozumu utracić po wypadkach tak bo-

lesnych, a od plebanii nie dała się wziąć nikomu. Napróżno prosiły panienki z Lubiszek, napróżno wzywała ciotka Dorota, to płacząc z nią wespół, to łając.

— Nie pójdę! on tu powróci, bo ziemia się tu zapadnie inaczej...

Bredziła biedaczka...



## Poszukiwanie sprawiedliwości i opieki.

Teodor Łazowski już od paru tygodni osiadł na stałe w dziedzicznym majątku swoim, o parę mil od Lubiszek.

Gdy się podał do dymisyi, sam minister zrobił mu uwagę, iż dobrowolnie wyrzeka się świetnej kariery w najbliższej przyszłości. Zachwiał się zrazu, ale wnet wspomniął o Lubiszkach, o Wandzi, w dodatku kucharz faworyt już go opuścił bezpowrotnie, i... nie cofnął prośby o dymisyę.

Władza była wprost zgorazona, więc też nie dano mu nagrody pieniężnej, lecz po-przestano na dodaniu orderu i przyznaniu rangi generalskiej wraz z prawem noszenia munduru.

Był zupełnie zadowolony. Miał przecież spory majątek ziemski bez grosza długu, choć bardzo zniszczony i kilkadziesiąt tysięcy rubli, za które bądź co bądź nie potrzebował się rumienić.

Mógł się nawet uważać za szczęśliwego. Zostało mu jeszcze sporo zapалу, miał lat tylko czterdzieści, a więc dużo sił, energii a nawet urody, i co najważniejsza, czuł, że z łatwością pozbędzie się narosłej skóry służalstwa i bezmyślności, która cechuje wszystkich urzędników moskiewskich.

Więc był szczęśliwym, a usposobienie takie wzmagało się w miarę, jak zbliżał się



do kraju, do zakątków rodzinnych, do wspomnień wywiezionych z niedawnego pobytu w Lubiszkach.

Nie psuły mu humoru olbrzymie kłopoty objętego gospodarstwa, nie osłabiały jego zapału znaczne wydatki, które go ścisnęły, niby obręczą żelazną i nie rychło jeszcze mogły być rozluźnione lub oalkiem usunięte.

Śmiał się ochoczo, jadał bardzo skromne obiady, przyrządzane przez starą ochmi-strzynię, musztrował ekonoma, gumienych i leśników, a potem wieczorami wygrywał na fortepianie coraz to nowe, coraz bardziej polskie melodye i pieśni.

Wycieczkę do Lubiszek odkładał z dnia na dzień, a to dla wielu, zgoła różnych powodów. Więc przed Ponarem chciał się pochwalić postępami gospodarstwa, przed surową ciotką zaświecić nową skórą poczucia obowiązków względem zapomnianych rodaków, a uroczę kuzynki zadziwić znajomością patryotycznych, ulubionych rzeczy.

Zdawało mu się, że po dwudziestu latach jakiegoś 'snu letargicznego, teraz budził się ponownie do życia i rozpoczynał je o własnej pomocy jedynie, słuchając głosu wspomnień dziecinnych i wrażeń serdecznych, zacerpniętych z... oczu kuzynki.

Zresztą uczył się również nosić ubranie cywilne i bawił się widokiem własnej postaci w lustrze, tak mu się wydawała śmieszna i niezgrabna. Nie miał przecie zamiaru paradować w mundurze, lubo dwa nowe i z generalskimi szlifami leżały starannie złożone w szafie kawalerskiej ubieralni.

Służba i chłopci zrazu obawiali się go

niewco, później zaś rozpadli się na dwie grupy: jedni próbowali schlebiać i wyzyskiwać, lecz tych było mniej znacznie, drudzy zaś już prędko przyznali mu tytuł dobrego pana i... po staremu trzymali się zdala.

Wybrał się chętnie ze starym oficjalistą na dalszą wycieczkę końmi, w celu nabycia większej ilości koni i wołów, niezbędnych do robót wiosennych. Przy tej sposobności miał nadzieję zebrać czwórkę dla siebie do powozu, co nowy dotąd bezużytecznie stał w wozowni, przejmując wielkim szacunkiem nowo przyjętego woźnicę.

Lecz po powrocie czekały go listy z Lubiszek, a wspólnie z niemi przyszła trwoga o tych dobrych i kochanych, przyszedł lęk serdeczny o spokój i pogodę miłej kuzynki.

Więc zbudził się do życia i czynu młody generał. Co za лихо? list pierwszy od Ponara wzywał o pomoc i współdziałanie w sprawie dość ważnej, natomiast drugi od ciotki Ponarowej, przesiąkły łzami i oburzeniem, to lajał serdecznie, to żądał wyniośle czynów i dowodów bratniej pomocy i spełnienia obowiązków.

W godzinę później nowiutki powóz, zaprzężony w cztery doskonałe kasztany, pędził po drodze do Lubiszek, wioząc żądnego czynów, choć dymisyjonowanego generała, a wraz z nim dwa mundury i skrzynkę z orderami zwichniętego karyerowicza.

Na dłuższą gawędę czasu nie stało.

Ciotka z załamanemi rękoma rzucała krótkie rozkazy lub dawała uściski, wuj dymił z fajki bez miłosierdzia i układał paczki banknotów, Henryk kłął, niby policmajster

i pakował walizę podrózną, a Jerzy... słu-  
chał ostatnich rozkazów Maryni pod oknem,  
na osobności.

Wandy nie było. Nie, raczej była ciągle  
i nie była, przesuając się cicho, niby  
duch niebiański, i sama jedna spełniając  
poziome czynności potrzeb codziennych dla  
wszystkich wykolejonych. Więc ojcu zapa-  
lała fajkę gasnącą, z matką rozmawiała  
o zapasach podróźnych, siostrę uściśnęła  
mimoходом, a bratu złożyła tużurek sta-  
rannie w walisce.

Pierzchły kędyś rozmarzenie, pozorna  
apatya i omdlewające rozleniwienie ruchów  
i spojrzeń...

Teosia powitano z zapalem i odrobiną  
wyrzutów, a po chwili wiedział już wszyst-  
ko o sprawie pożaru, niedoszęłego rabunku  
i potwornem uwięzieniu księdza Zaranka  
i jego domniemanych pomocników.

— Pan z nami? — wnet zapytała Wanda,  
już mu podając szklanke herbaty.

— Do końca życia — odpowiedział bez  
wahania i nie wiedzieć dlaczego, całując  
serdecznie dłoń uroczej kuzynki.

Reszty narad już prawie nie slyszal, bo  
w pierwszej chwili wydał rozkaz swojemu  
woźnicy natychmiastowej gotowości do dro-  
gi, a w następnych gonil oczyma ruchy  
i chwytal słowa Wandy.

— Panie generale, to walka, która nas  
wszystkich może duzo kosztowac — upomi-  
nala ciotka z naciskiem.

— Ja mam więcej od was do stracenia,  
jak niemniej większe rachunki za prze-

szłość zmarnowaną — odpowiedział krótko i prawie zamilkł zupełnie.

Nie, on zamilkł dla wszystkich, ale chciał mówić do Wandy, bo mu się zdało, że ona jedna go zrozumie, że ona jedna powinna go zrozumieć.

Jakoż na chwilę przed wyjazdem znaleźli się sami.

— Czy kuzynku, będziesz się starał dopomóc tym ofiarom okrutnych prześladowców? — pytała Wanda.

— Boli mię takie pytanie z twoich ust. Wszak to mój obowiązek najświętszy, a z dobrej woli już postaram się o ukaranie nikczemnej i sprzymierzonej klikki, która zawisła nad tą okolicą.

Spojrzenie dziewczęcia wyjaśniło się, jak niebiosą po burzy.

— Więc czekamy tu pana z powrotem i z dobrymi wieściami — dodała, podając dłoń do przyjaznego uścisku.

Ale pan generał, pewny wawrzynów, okazał się więcej wymagającym:

— Powiedz, droga kuzynko, że ty, jedna, chcesz tego i z tobą później mieć będę rachunki, gdy nagroda mi się będzie należała.

— Dobrze, dziś targ wszelki odrzucam, najmocniej przekonana o twej... wyrozumiałości — odparło bez wahania dziewczę spłonięte.

Generał wtedy zapomniał o swej postaci nawskrós cywilnej i gromki a poważny, jął wydawać rozkazy do niezwłocznego wyjazdu.

— Wróc nam taki, jaki wyjeżdżasz w tej chwili, a przyjmiemy cię do swego grona,

znosząc odrazu wszelkie zastrzeżenia z przeszłości — rzekła na to ciągle surowa ciotka.

Trochę się rozgniewał pan generał.

Ale po chwili już wsiedli we trzech do powozu i on rzucił rozkaz donośny:

— Nie żałuj nas, tem mniej koni i powozu, a pędź do Wilna bez odpoczynku.

Na szczęście czwórce tęgich kasztanów nic się nie stało, choć piana kawałami spadała z nich, gdy stanęły przed jednym z lepszych hoteli w Wilnie.

Lecz w mieście drogi się rozdzieliły, gdyż Henryk z Jerzym udali się do znajomych i przyjaciół, a generał, wzięwszy na się skórę urzędową, rozpoczął pielgrzymkę do wszelakich dygnitarzy. Wszakże przyrzekli wzajem sobie, spotykać się co dzień dla wspólnej narady i dalszego porozumiewania się, w sprawie ich obchodzącej.

Na żądanie Jerzego nawet nie w jednym zamieszkali hotelu, a to ze względu, iż obawiano się, ażeby nie ściągnąć na Łazowskiego uwagi szpiegów, którzy stale śledzili Henryka i Jerzego, podczas ich pobytu w mieście.

Rzecz prosta, że generał wystąpił odrazu w swym uniformie z orderami. Przyzwyczajony podczas pobytu w Rosyi do pewnej swobody ruchów i języka używanego w mowie, tu w Wilnie widział on ze zdumieniem, że drobna liczba, garść moskiewskich urzędników i wojskowych zachowuje się publicznie w roli wschodnich kacyków i że język polski, język ojczysty rdzennych tubylców jest celem jakiegoś niewytłómaczonego

prześladowania. Mało tego, przekonał się wkrótce, że całą siłę opinii w sferach władz moskiewskich stanowią: pop najstarszy, żandarm z policmajstrem i kurator okręgu naukowego, nawet wśród Rosyan samych przezwany — apostołem ciemnoty.

Ci wszyscy panowie mieli w swych rękach moc stanowienia o »b ł a h o n a d i o ż n o s c i« ogółu mieszkańców i nadużywali tego prawa niezwykle.

Łazowski, zrazu przyjmowany wszędzie z pozornymi oznakami szacunku z powodu rangi swej i orderów, przekonał się po kilku dniach o zupełnej zmianie usposobienia. Zdarzyło się nawet, że prokurator naczelny i gubernator wprost dali mu do zrozumienia, że miesza się nie w swoje rzeczy i tem ściągają na siebie podejrzenie pewnej solidarności z przestępcami.

To go strasznie oburzyło. Dotąd, prawdę rzekłszy, pracował jedynie z przychylności dla krewnych a więcej jeszcze w nadziei słodkiej nagrody od wdzięcznej kuzynki, teraz zaś wpadł w istny chaos rozgoryczenia i zwątpień.

Widział oto naokoło ślady celowego ucisku i prześladowania ze strony najeźdźców, widział szereg gwałtów pokojowych i publicznych, których ofiarą padała ludność tubylcza, widział wreszcie ten ogrom spodlenia władz i ich przedstawicieli, którym dozwolono z góry s t w a r z a ć awantury i prowokować wybuchy, ażeby później mieć prawo do nieograniczonej samowoli i łupieństwa.

Zrozumiał wszystko, co dotąd wydawało

mu się jeno refleksem bólu ze strony skrzywdzonych lub grą fantazyi i nerwów.

Zrozumiał i zawrzał z oburzenia.

— Porzucam drogi próśb i przedstawień, a pójdę z wami po drodze walki otwartej i skrytej — rzekł do przyjaciół podczas najbliższej narady.

Lecz postanowił jeszcze udać się osobiście do generał-gubernatora Kachanowa i jemu rzecz całą przedstawić.

— Ostatni to już raz wkładam ten mundur paradny i obwieszam się świecidłami — pomyślał sobie na wychodnym z hotelu.

---

Była godzina jedenasta przed południem.

Generał-gubernator Kachanow ciężko pracował już od godziny. Siedział apatyczny w fotelu przed olbrzymiem biurkiem i machinalnie kładł podpisy na papierach, podawanych przez sekretarzy i naczelników swych biur.

Treść papierów nic go nie interesowała, zresztą na wszelkie prośby i podania z góry odpowiadał »nie«, o ile nie miały one na sobie znaku, położonego przez zaufanego kierownika gabinetu przybocznego, Samoiłowa.

A Samoiłow był zręczny i łowca wyśmienity, choć gdy chodziło o podział sumieny, oszukiwał bezczelnie nawet jego, Kachanowa.

Właśnie stanął przed zwierzchnikiem z raportem codziennym, a minę miał nie żartem zafrasowaną i ponurą.

— Cóż tam nowego, Iwanie Piotrowiczu?

— zagadnął z przymusem generał-gubernator.

— Żle, Ekscelencyo; łagodność Wasza wydaje najgorsze rezultaty i grozi nam skandal prawdziwy z powodu tych nieszczęsnych sum składkowych na pomnik Murawiewa.

Kachanow skrzywił się okropnie i czekał dalszych wyjaśnień.

— Wczoraj wieczorem dano mi znać, że jeden z naszych urzędników, pijak nałogowy, od kilku już dni chorujący na ostre zapalenie płuc, czując się gorzej wezwał do siebie regenta i świadków i złożył całe zeznanie o swoim współnictwie w... w nadużyciach.

— Jakich nadużyciach? — naiwnie zagadnął Kachanow, oczywiście licząc ich ogrom na swych barkach.

Samoiłow nieznacznie się uśmiechnął i... z całą swobodą zapalił papierosa.

— Przecież jemu to właśnie poleciliśmy z tych sum pomnikowych robić niejaki re-sursy... na wypadki nieprzewidziane — odrzekł po chwili, bacznie spoglądając na zwierzchnika.

Kachanow jeszcze bardziej spochmurniał.

— Czy tam dużo... brakuje? — spytał półgłosem.

— Ogółem... przeszło dwadzieścia tysięcy rubli.

— Czy być może? ależ to kapitał cały!

— Ha! kiedyż bo i potrzeby są ogromne: Waszej Ekscelencyi miałem honor różnemi czasy dostarczyć około dziesięciu tysięcy...



— To dopiero połowa.

— Pan Koko\*) brał, ile tylko zdołał wydrzeć...

— A zrobiłem przecie tego lajdaka sekretarzem wszystkich towarzyszt dobroczynnych i pozwoliłem mu bywać w polskich domach arystokratycznych, gdzie może pożycząć, ile się da — gniewnie syknął obrażony ojciec.

— No i ja trochę potrzebuję — skromnie dodał Samoiłow, śmiało patrząc w oczy zwierzętnikowi.

— Lecz, mój panie, dwadzieścia tysięcy to suma; skądże ich wziąć, gdy otrzymamy z Petersburga żądanie ścisłego rachunku.

— Trzeba jakoś zaradzić.

— Czy pan już pomyślałeś o tem, Iwanie Piotrowiczu?

— Ja zawsze myślę o zasłużeniu na łaskę Waszej Ekscelencyi.

Kachanow machnął ręką niecierpliwie i pytał nagłaco:

— Cóż pan wymyśliłeś?

— Rzecz całkiem prostą: dziś jeszcze poślę lekarza miejskiego do tego chorego urzędnika i już wieczorem mieć będziemy świadectwo, że chory jest obłąkanym...

— A możeby się dało zmusić regenta do wymazania tego zeznania z ksiąg?

— Już próbowałem, lecz boi się prezesa sądu.

— Prawda, to osioł, który nie ma pojęcia, jak się zachowywać na służbie w tym kraju — ze złością podchwycił Kachanow,

---

\*) Syn Kachanowa.

a po chwili dodał spokojniej: Tak, takie świadectwo zabezpieczy nas prawie, szczególnie... gdyby ten pijak niegodziwy zakończył swój żywot marny.

Samoiłow ponownie uśmiechnął się i bardzo poufale rozsiadł się na otomanie, stojącej w pobliżu biurka.

— O, on umrze niewątpliwie i Wasza Ekscelencya może być najzupełniej spokojny, dopóki ja mam siły do pracy i... poświęcenia.

— Pańskie siły, oby jak najdłużej wystarczyły dla cesarza i dla mnie.

— Dobrze mówi Wasza Ekscelencya, tylko cesarzowi i Wam jestem potrzebny, bo co do żony i dziecka...

— Czy są jeszcze jakie pilne sprawy? — przerwał niecierpliwie Kachanow.

— Żadnych, skoro ich mieć nie chcemy. Ach, prawda! W Kropianach lub też w okolicy zdarzyło coś niezwykłego i aresztowano księdza wraz z pięciu uczestnikami. Posądzono go o wiele przestępstw natury politycznej i kryminalnej.

— Czyżby i politycznej?

— Sądzę, że nie, że ten odcień sprawie nadali nasi gorliwcy w tamtych stronach a podług opinii prokuratora przestępstwa kryminalne są bardzo wątpliwe.

Obaj na chwilę zamilkli, wreszcie Kachanow mówił, nie patrząc na powiernika.

— W każdym razie, ponieważ to sprawa z księdzem katolickim, trzeba nakazać wyjątkową surowość ze strony organów śledczych, a policya niech stara się o poważne dowody winy.

— Sądzę, Ekscelencyo, że nie warto, gdyż ksiądz ten jest wyjątkowo biedny...

— Lecz ma protektorów wśród szlachty, a może lubiany przez lud, przez parafian, Samoiłow uśmiechnął się po raz trzeci i przerywając urzędową rozmowę, tak rzekł od niechcienia:

— Ważniejsza jest rzecz, że ja muszę wyjechać na kuracyę na całe dwa miesiące i nie mam żadnych środków ku temu.

Kachanow zrazu rozjaśnił oblicze, lecz zaraz spochmurniał ponownie:

— Pan nie umiesz sobie radzić z dochodami, a u mnie wszystkie źródła już wyschły.

Ale Samoiłow nie dał się zbić z tropu i wnet radę znalazł.

— Wasza Ekscelencya zapomina, że mamy jeszcze poważne pozostałości z sum, przeznaczonych na budowę cerkwi.

— Co to jest: mamy? — ostro zagadnął Kachanow.

— Chciałem powiedzieć, że... one są w rękach Waszej Ekscelencyi i że mógłbym stamtąd otrzymać z półtora tysiąca na kuracyę.

— Nigdy, mój panie! to fundusz święty i nietykalny.

Samoiłow wstał zasmucony i mruknął głosem złamanym:

— W takim razie nic mi nie pozostaje, jak zabrać żonę i pojechać na wieś do rodziny.

Kachanow powstał wściekły.

— Zapominacie się, Iwanie Piotrowiczu.

że ze mną walka dla was trochę nierówna, więc ostrzegam... ostrzegam...

— Jestem chory, Ekscelencyo, i potrzebuję wypoczynku...

General-gubernator szybko przebiegł gabinet kilka razy i ochłonawszy nieco, rzucił krótko :

— Jedź pan zresztą zagranicę, dostaniesz pan urlop na dwa miesiące i fysiąc rubli... z tych tam sum.

Samołow się skłonił w milczeniu. W tej chwili rozległo się dyskretne pukanie, a wnet potem wszedł zgięty w kablak adjutant general-gubernatora i cichym głosem pytał :

— Czy Wasza Ekscelencya raczy dziś naznaczyć audyencyę?

— Któż tam jest?

— Trzech popów z prowincyi...

— Nu ich k'ezortu!

— Dwie wdowy po urzędnikach...

— Niech przyjdą kiedyindziej.

— Poligmajster...

— Puścić jego zaraz — któż więcej?

— Już wszyscy.

— To i dobrze. Żegnam pana — dodał general-gubernator zwracając się do Samołowa.

— Ekscelencyo!... — dodał jeszcze adjutant.

— Cóż tam?

— Domaga się również przyjęcia jakiś general...

— Co za jeden?

— Dymisyonowany, choć młody jeszcze,

lecz snadź już zasłużony, niejaki Łazowski.

— Aha! to w sprawie tego księdza obrońca niepotrzebny, któremu należałaby się nauczka — podchwycił Samoiłow na wychodnem.

— Niech więc zaczeka — rozkazał Ka-chanow.

Za chwilę został sam. Z uczuciem znużenia wrócił do wygodnego fotelu i zapalił cygaro.

We drzwiach wnet ukazał się układny i mile uśmiechnięty policmajster wileński, Rajewskij, dźwigając pudełko eleganckie pod pachą.

— Witam pana. Co pan przynosisz?

Policmajster, jakby mimochodem, złożył pudełko na stolyczku w kącie, a sam zgiął się w ponownym ukłonie i recytował lekcję codzienną:

— Mam honor meldować, że wszystko w porządku. Wczoraj wieczorem, jako przy dniu galowym, mnóstwo publiczności wyległo na ulicę, lecz zachowanie się było wzorowe; obywatele miejscy coraz chętniej i wspanialej dekorują swoje domy a nawet mieszkania prywatne w dni galowe...

— Przybywa żydostwa i naszych urzędników.

— Śmiem przypomnieć Waszej Ekscelencji, że wielu panów polskich również tu się odznacza korzystnie.

— To ludzie bez wpływu i całkiem oplwani przez własne społeczeństwo. — Cóż więcej?

Rajewskij głos zniżył i tak mówił dalej:

— Konie dla pani Samoiłowej już ujeżdżone wybornie i uprząż przygotowana...

— A powóz?

— I na to już zebrałem środki od kupców, a za dni parę nadeślą ekwipaż z Moskwy.

— Dziękuję panu i będę o tem mile pamiętał, lecz czy... tam nie będzie jakiego kłopotu z rachunkiem za te konie?

— O! najmniejszego; kupiłem je na rachunek straży ogniowej, a z jej spisu wykreśli się dwa konie na upadek, gdyż tyle pada corocznie, a w tym nie padł jeszcze żaden.

Kachanow coś, jakby trochę się zażenował... takim nadmiarem szczerości policmajstra.

— Cóż tam więcej u pana w mieście?

— Do teatru, w ogrodzie Botanicznym, przybyła nowa trupa śpiewaczek...

Kachanow poruszył się z wielkiemżywieniem, lecz milczał.

— Dwie są bardzo utalentowane i... bułtą zachwyty ogólny.

Kachanow milczy jeszcze, lecz już wzrokiem pyta.

— Już je poznałem i — proszę mi darować, Ekscelencyo, — wezwałem je dziś do siebie dla odśpiewania kilku kawałków.

— Niepoprawny szalaławiła z pana! — pogroził półżartem Kachanow.

— Jakie Wasza Ekscelencya wyda rozkazy na dziś? — poważnie zagadnął policmajster.

General-gubernator chwilę się zawachał, a potem mówił szybko i urywkowo.

— Niech do pańskiego powozu załóżą te konie i zajadą... tam na godzinę szóstą. Ja tam będę parę godzin, wieczorem... może wpadnę do pana, gdyż noszę się ze stałym projektem sprawy dość ważnej... Nie trzeba żadnej wystawy... więcej nikogo... odjadę zakrytą doróżką.

Rajewskij nie odrzekł ani słowa, tylko się uklonił ze sztywną powagą i zniknął za drzwiami.

Kachanow zatarł ręce i uśmiechnął się do siebie. W tej chwili usłyszał delikatne pukanie do drzwi ze strony wewnętrznych pokoi pałacu.

Zaledwie zdążył Kachanow powiedzieć: »proszę«, już wpadła śliczna, pełna brunetka, szeleszcząc jedwabiem spódnic i wypełniając urzędowy gabinet śmiechem srebrzystym.

— Jak się masz, staruszkule!

— Niedobra! tak że mię nazywasz za to, że ci na dziś zgotował upragnioną niespodziankę — odparł władca Litwy i Białorusi, całując dłoń białą żony swego służalca, a oczyma, jakby chłonąc w siebie jej bogate i wdzięczne powaby.

— Mój dziaduniu najukochańszy! — wykrzyknęła radośnie pani Samoiłowa, zawiązując obu ramionami na szyi starca.

— Tak, to co innego, więc cię dręczyć nie będę i oświadczam, że dziś już swojemi końmi pojedziesz na spacer, a za tydzień wsiądziesz do własnego powozu.

Głośne pocałunki były nagrodą dla szczodrego wielbiciela, ale w chwilę później młoda kobieta frunęła od boku roztkliwio-

nego i rozślinionego starca i zaczęła węszyć po gabinecie, niby wyżeł szukający kuropatw lub przepiórek.

— To dla mnie! — wykrzyknęła wesoło, chwytając i zaraz otwierając pudełko cukierków, przyniesione przez... policmajstra.

— Czy on za nie płaci, czy też zdobywa na drodze... policyjnej rekwizycyi — pomyślał w tej chwili Kachanow i uśmiechnął się radośnie.

Po chwili uroczą kobietą z czekoladką w ustach przysiadła się do skokietowanego dygnitarza i jęła go doszczętnie... ogłupiać niezbyt powściągliwemi pieszczotami.

A Łazowski czekał tuż obok w salonie, zlekka egzaminowany przez adjutanta i zagadywany przez sekretarza.

— Ja dla ciebie, Lila, dziś jeszcze jeden zrobiłem podarek, bo zgodziłem się na wyjazd męża twojego zagranicę na całe dwa miesiące. Cóż ty na to? — badał Kachanow faworytę.

— Rada jestem, choć... mi nie wypada przyznać się do tego.

— Wszak ty już nie kochasz tego pospolitego człeka?

— To także! — wybuchnęła śmiechem Samoiłowa — lecz on się na mnie mści, bo dziś właśnie dowiedziałam się, iż przynęcił do siebie najlepszą z mych szwaczek i ta nie chce kończyć moich toalet wiosennych. Chyba aniołku sprowadzisz mi je z Petersburga lub zagranicy? — przymilała się kokietka.

— Toby wiele czasu zajęło; lepiej będzie, gdy od siebie wezwiesz komisarza cyrkułu



i każesz mu, aby po swojemu ową szwaczkę nastraszył, a niewątpliwie, weźmie się do roboty.

— Cóż dziś wieczorem robimy?

— Obiad zjemy razem u ciebie, niech Samoiłow obiadauje na mieście, lecz wieczór musisz mi darować, gdyż muszę go poświęcić na rozejrzenie się w ważnych papierach świeżo nadeszłych od ministra.

— Czy minister przesyła korespondencyę przez ładne śpiewaczki? — nagle zagadnęła Samoiłowa głosem obrażonym.

Zażalony starzec zmieszał się niezwykle i odparł, prawie jękając się:

— Znowu bawisz się, droga Lilo, w plotki, co nie przystoi twej duszy szlachetnej i pięknej twarzyczce. Tęsknij dziś do mnie i kup sobie jakie cacko — dodał Kachanow wyjmując z biurka banknot storublowy, przed paru godzinami wydarty żydowskiemu bankierowi na... rzecz instytutu dobroczynnych imienia cesarzowej.

— Jutro, ze wschodem słońca przybiegnę, do ciebie, mój ty Don Juanie — szeptała piękna kobieta, pozwalając by Kachanow włożył jej banknot za gors sianika.

— Zjemy razem śniadanie — zaproponował po chwili.

— Zgoda, będę ci służyła, jako twoja poddanka.

— Będiesz mi świeciła, jako królowa.

— Czy tak? — skwapliwie podjęła zręczna kobieta — więc pozwól mi działać wespół z tobą i na początek daruj mi tego Łazowskiego, który czeka już przeszło godzinę na posłuchanie.

— A tobie on na co? — podejrzliwie zapytał Kachanow.

— Potrzebuję trochę pieniędzy, a tobie, mój władco, pragnę oszczędzić niepotrzebnych kłopotów.

— Ależ ja sam jeszcze nie wiem, czego on żądać będzie odemnie.

— Będzie się wstawiał za księdzem i chłopami razem z nim uwięzionymi; im będziesz surowszy, tem mnie sprawa łatwiej się uda i tem piękniej będę ci się prezentować przez cały czas... kuracyi zagranicznej męża mojego.

I znowu objęła go wpół obnażonemi ramionami i paliła wzrokiem.

— Stanie się, jak sobie zyczysz, bo zresztą trzeba ukarać pyszałka, co śmie się wtrącać w rzeczy zgoła nie swoje — odparł Kachanow, przyłgnąwszy wargami do ust czarującej kobiety.

— Więc przyjmij go zaraz — postanowiła Samoiłowa, zrywając się do odejścia i od drzwi przesyłając rączką całusa.

General-gubernator w jednej chwili przekształcił się, przybierając sztywną i surową postawę. Oczywiście nie widział tego, że dwa czy trzy guziki jego munduru były okręcone papierkami od cukierków, zawiniętymi tak rączką prawdopodobnie niecierpliwiejszej się w jego uścisku Samoiłowej.

Miał minę teatralnego statysty do ról poważno-błazeńskich.

Łazowski ukazał się nieco pobladły i ani trochę nie onieśmielony majestatem wszechpotężnego władcy.

Po należnym ukłonie, wnet przystąpił do rzeczy, gwałcąc obowiązującą etykietę.

— Przychodzę do Was, Ekscelencyo, prosić o wymiar sprawiedliwości w sprawie zbliżająca mnie obchodzącej.

— O jakąż to sprawę chodzi? — zapytał sztywno Kachanow, rozpierając się w fotelu i bynajmniej nie myśląc wezwać Łazowskiego, by usiadł.

— Stało się to przed dziesięciu dniami w osadzie, Kopliszkach; miejscowe władze administracyjne wskutek niezrozumiałej, a nawet karygodnej pomyłki pozwoliły na aresztowanie niewinnych ludzi, a w tej liczbie księdza Zaranka, starca niemal nad grobem stojącego.

Łazowski już skończył, a Kachanow wciąż milczał, jeno spojrzeniem szakała wodził po jego postaci i wzruszał ramieniem.

Aż przemówił, raczej wrzasnął, jak pierwszy lepszy policyant, uśmierzający bójkę uliczną, i zerwał się z miejsca, przyskakując do oczu Łazowskiemu :

— Kto pan jesteś, że śmiesz wtrącać się w sprawy rządu, w sprawy urzędników, ustanowionych w imieniu cara? Jaki szal kazał panu stawać na drodze wymiarowi słusznej sprawiedliwości dla przestępców podług naszych mądrych i nienaruszonych praw?

Łazowski pobladł, lecz bynajmniej nie stehórzył; przyszedł prosić, teraz zaś postanowił domagać się i protestować. Więc odpowiedział głosem nieco drżącym, lecz stanowczym :

— Jestem wyższym urzędnikiem w mini-

sterstwie wojny i mam pewne zasługi, o czem pan, panie generał-gubernatorze, możesz się przekonać, przejrzawszy stan mej służby i te ordery, przyznane mi przez cesarza. To jasno wskazuje, że miałem czas poznać obowiązki swoje, lecz jednocześnie poznać i prawa, przysługujące każdemu z osobna poddanemu cesarza. Otóż, powtarzam raz jeszcze, że najprzód w Kropianach a następnie w Kopliszkach stał się cały szereg czynów bezprawnych, których rezultatem jest uwięzienie ludzi niewinnych. Daruje Wasza Ekscelencya, że takie przekonanie będę sobie uważał za obowiązek wypowiedzieć wszędzie i głośno, a nawet komunikować, komu będę uważał za właściwe.

Kachanow się stropił, i przysiadł, niby kundel wiejski, otoczony przez obce brytany.

Cofnął się znowu do biurka i mówił spiesznie:

— Cała ta sprawa mnie zgoła nie dotyczy... niech sądy ją rozstrzygną, co nastąpi prawdopodobnie wkrótce, ja zaś pana, jako dymisyjonowanego wojskowego poproszę o większą powściągliwość i ostrożność, gdyż może się pan narazić władzom, a sam będzie pan oszukany przez intryganekich Polaków.

— Sam jestem Polakiem i szczerze pragnę nim pozostać.

— Co ja słyszę? więc pan mi śmiesz to mówić tu, w moim gabinecie i mnie, naczelnikowi kraju całego? — ponownie wybuchnął Kachanow.

— Nie śmiem wkraczać w rozpoznanie

praw i władzy, Waszej Ekscelencyi, lecz domagam się kontroli i opieki słusznej dla ludzi skrzywdzonych.

— Lecz jak pan śmiesz...? — dygotał z wściekłości dygnitarz, tracąc ciągłość zarzutów i wątek obowiązujących go zwykle frazesów.

Nagle pomiędzy sobą i Łazowskim ujrzał kornie schyloną postać Samoiłowa, który skłonił się i mówił spokojnie:

— Stawiam się na rozkazy Waszej Ekscelencyi po dokładnem przejrzeniu całej sprawy kropiańsko-kopliskiej, jak mi to było poleconem przez Waszą Ekscelencyę.

Kachanow oprzytomniał, czując grunt pod nogami i niespodzianego sojusznika.

— Dobrze, w sam czas pan przychodzisz, ażeby opamiętać pana generała, który się bawi w niebezpieczną grę wstawiennictwa za łotrami i »miateżnikami« — rzekł na to głosem ostrym.

Samołow ponownie się skłonił i, na skinienie Kachanowa, zwrócił się natychmiast do Łazowskiego.

— W tej sprawie, jak i w każdej innej już będącej w rękach odpowiedniego sądu, jedna strona oskarża i tą jest prokurator, a druga podejmuje obronę i może być wybraną przez obwinionych. Zapytuję tedy pana, czy pan ma pełnomocnictwo od oskarżonych dla bronięcia ich sprawy, a dalej, jeśli nawet tak jest, na jakiej podstawie zwraca się pan do Jego Ekscelencyi, zamiast iść po drodze właściwej, a prawdopodobnie dobrze mu znanej, skoro pan podjął się obrony.

— Nie jestem bynajmniej obrońcą formalnym, lecz mieszkam w tamtych stronach i znam całą tę sprawę doskonale; co ważniejsza, znam działalność takich figur, jak uriadnik, żandarm, pisarz gminny i sędzia śledczy i utrzymuję, że wszyscy oni działają w zмовie i na szkodę obwinionych.

— Więc pan oskarża wobec Jego Eksce-lencyi organa, jemu podwładne i oskarża w sposób wysoce dotkliwy nie tylko dla nich, lecz i dla najwyższego zwierzchnika — wiódł rzecz dalej Samoiłow z uśmiechem złośliwym i z niewzruszonym spokojem.

— Tak, oskarżam i proszę o powtórzenie śledztwa pierwiastkowego, lecz przez innego sędziego śledczego.

Samoiłow zwrócił się do Kachanowa.

— Jest to »d o n o s« tak dobry, jak te, których otrzymujemy stopy całe, lecz ten jest imienny, więc może Wasza Eksce-lencya rozkaże wysłać komisję na miejsce, a ewentualnie oddać pod sąd fałszywego denuncyanfa...

— Miarkuj się pan w wyrażeniach, — głosem podniesionym przerwał Łazowski — gdyż ze słów tych zdasz mi pan rachunek.

Wtedy Kachanow przyskoczył doń z pięściami i krzychał:

— Dość tego, mój panie, idź mi precz z oczu, gdyż nie ręczę za siebie, że wydam rozkaz uwięzienia, na co w zupełności zasługujesz, boś prawdopodobnie współwinny w całej tej sprawie. Na przyszłość zaś pamiętaj pan, że ja mocen jestem w dwadzieścia cztery godziny wysłać pana do Kamczatki, jako jednostkę szkodliwą dla porzą-

dku ogólnego, a stamtąd trudno już panu będzie powoływać się na swe urojone zasługi i przywileje. Skończyłem i życzę, żebyś pan na przyszłość był rozumniejszym.

— Istotnie, postaram się o to — zdławionym głosem wykrztusił z siebie Łazowski i skierował się ku drzwiom.

— Niech pan generał również pamięta, że tylko pokornem uznaniem swej winy i dalszem postępowaniem bez zarzutu, może się pan oczyścić z podejrzeń, które już dziś zbyt wyraźnie charakteryzują nam pana i jego zamiary — dodał Samoiłow.

Łazowski wściekły z bólu i doznanego upokorzenia, bezsilny w roli dobrowolnego obrońcy, dopadł doróżki i odjechał do hotelu.

Wnet po jego odejściu do gabinetu Kachanowa wpadła czarująca Samoiłowa.

— Daruj mi tego Łazowskiego — prosiła przymilając się.

— A bierz go sobie, dopóki gniew mój go nie dosięgnie — odrzekł, gładząc dłonią po obnażonej szyi kochanki.

Zapomnieli oboje o Samoiłowie, który skurczył się w kącie gabinetu i osłonił gazetą, pokaszlując zlekka.

Wreszcie Kachanow go dostrzegł, lecz ujął najspokojniej Samoiłowę pod ramię i powiódł do dalszych pokoi.

Samoiłow zerwał się i z szyderczym uśmiechem przesłał kilka ukłonów w ich ślady, szepecząc:

— Bawcie się we dwoje, to i płacić mi będziecie każde z osobna.

Łazowski po chwilowym wypoczynku

i ochłonięciu w hotelu, szarpnął się raz jeszcze i pojechał do prokuratora. Lecz tu zyskał tylko tyle, że zapisano go na listę świadków, mających być powołanymi w sprawie.

Zmartwiony i zboląły zamknął się u siebie i oczekiwał nadejścia przyjaciół.

Ciężkie to były dla niego godziny, bo czuł, że wśród mąk i bólów przeistacza się cały, bezpowrotnie zrywając z przeszłością. Przez lat dwadzieścia życia samodzielnego dotąd szedł drogą uczciwą, lecz i w zgodzie z regulaminem narzuconym przez rząd: prawie nie czuł i nie widział, jak zwolna zamierały w nim niektóre uczucia i obowiązki.

Dziś ocknął się ostatecznie, to też nie dziw, że po śnie tak długim, doznawał jakby zawrotu głowy, a nawała uczuć odgrzebanych z popiołów, huczała mu w piersi z siłą porywającego huraganu.

Z zapalem iście młodzieńczym zrzucił z siebie mundur i gorzko się uśmiechnął, składając dekoracje na dno walizy: dziś musiał się rumienić za całą latą karygodnej nieświadomości i odrętwienia.

Przed wieczorem nadbiegł Henryk.

— Cóż zrobiłeś, Teosiu? — zapytał niezwłocznie, nieco zdumiony jego ubiorem cywilnym.

— Nic, ale odnalazłem za to dziś w sobie siły, ażeby niezwłocznie przystąpić do pracy na nowo i w tym celu powracam dziś do domu. Cała różnica w drodze, po której pójde odł d, lecz krzepi mię myśl sama, że na tej drodze znajdę w was wszystkich



wiernych towarzyszków — a w pierwszych chwilach chętnych przewodników.

Henryk uściskał go serdecznie.

— To już dużo zrobiliśmy, skoro tak, bo teraz mogę wyznać ci szczerze, że my z Jurkiem ani na chwilę nie wierzyliśmy w powodzenie twych starań dotychczasowych. Co lepszego jest w naszym społeczeństwie tutejszem, wszystko to już dawno cofnęło się z dróg pracy niby legalnej, a w rzeczywistości będących jeno ścieżynami dla obrony spraw czysto osobistych i nawskróś egoistycznych. Więc dziś szczerze witamy w tobie brata i cieszymy się z tego nabytku.

— Lecz przyznaj, że to w niczem nie poprawia doli naszych uwięzionych przyjaciół — rzekł rozrzewniony Teodor.

— Bądźmy cierpliwi. Co można było, już jest zrobione. Zapewniliśmy naszym więźniom stale dosyłałą i dostatnią żywność codzienną...

— Zróbcie mi łaskę i pozwólcie ponieść kosztą przynajmniej — prosił Teodor, sięgając do pugilaresu.

— To zbyteczne, gdyż nie kosztuje ani grosza: mogliśmy wybierać ze stu zaofiarowań, z całego serca nam narzuconych przez dobrych ludzi średniozamożnych lub nawet wprost niezamożnych.

— A cóż zdaniem waszem jest jeszcze do zrobienia?

— Zorganizowanie dobrej obrony, ku czemu potrzebne są środki dość znaczne, lecz i to już jest w części znacznej załatwione, gdyż połowę ponosi stary Brażys,

którego usunąć niepodobna, a drugą mój ojciec, choć protestują przeciw temu zacni parafianie, domagając się udziału w składce zbiorowej.

— Nie omijajcież mnie, — błagał Teodor.

— Dobrze, wezwiemy cię, gdy przyjdzie czas na to — obiecał Henryk wesoło.

Łazowski uczuł ulgę wyraźną i zgodził się na krótki spacer po mieście.

— Za godzinę ma wpaść Jurek i dziś jeszcze ruszymy prawdopodobnie do domu — rzekł Henryk na wychodnem.

Udali się jedną z głównych ulic w kierunku ogrodu publicznego. Zewsząd otoczył ich tłum zruszczonego żydostwa, co głośną gwarą w języku urzędowym, jakby umyślnie starał się pozyskać dla siebie urzędników i policyantów.

— Jakież to wstrętne! — z obrzydzeniem powtarzał razy kilka Łazowski.

— To było do przewidzenia. Młode pokolenie żydowskie już nie mówi po polsku ani słowa, przynajmniej tu w mieście, to też my wypieramy ich coraz silniej i wyraźniej z dziedziny naszych potrzeb i spraw. Dziś spotkasz żyda jeno w przedpokojach naszej arystokracji i półpanków, lub też w stosunkach ze spodlonemi istotami z drobnego mieszczaństwa. Poza tem ogół nasz wystarcza już sam sobie w zupełności i wybija się z pod tej wiekami uświęconej usłużności żydowskiej.

— Lecz w takim razie zyskujemy więcej nieprzyjaciół?

— Nie sędzę, gdyż to właśnie, że ich nie potrzebujemy, każe im nas szanować, łą-

czyć się zaś z Moskalami nie mogą, gdyż sami są celem wyjątkowego prześladowania.

W tej chwili, na zakręcie ulicy, przedstawił się ich oczom piękny powóz, zaprzężone w konie rasowe. W powozie rozparte na tylnem siedzeniu, przez pół leżały dwie olbrzymie, niewatpliwie bardzo rasowe damy, obie przystojne, obie bogato ubrane. Na przednim siedzeniu zajął miejsce przystojny generał, zbyt rumiany i zbyt wesoły, a obok niego siedział wymuskany, lecz cyniczny w spojrzeniu i wyrazie twarzy młodzian w stroju mundurowym cywilnym.

Cała czwórka zdawała się wracać z wesołej biesiady i urągała wyraźnie z przechodniów. Zresztą byli sobą jedynie zajęci. Właśnie rumiany generał zbyt blisko utknął twarzą koło kolan jednej z dam, a ta bez wahania uderzyła go w twarz trzymanym wachlarzem raz i drugi. Młodzian cyniczny i druga dama, otyła, ciemna brunetka, wybuchnęli śmiechem głośnym, a gawieź uliczna zawtórowała im radośnie.

— Któż to taki? Chyba z cyrku? — zapytał Łazowski Henryka.

— Nie, z cyrkówkami jeżdżą żydki w odrapanych dorózkach, a to są dwie nasze znane hrabiny, z nich jedna ordynatowa, ci zaś ich towarzysze, to znany rozpustnik, generał Nikołajew i do gruntu spodlony Koko, syn generał-gubernatora.

Ulicą wślad za powozem pomknął »bre-ak«, z sześciu panami wewnątrz.

— A to młodzież nasza arystokratyczna, rasa już powoli wymierająca i dobrowolnie

wyzuwająca się z majątków i wszelkich obowiązków — ciągnął dalej Henryk.

— Więc zamiast pomocy, jeszcze może przeszkodę w nich spotykacie?

— Naturalnie; lecz sam czas, wraz z nierządem i spodleniem uprzątnie te pasożyty, a tymczasem omijamy ich, jak błoto cuchnące na drogach.

— Czyżby tacy byli oni wszyscy?

— Zdaje się, że nie, lecz u nas na Litwie tych lepszych niewielu można naliczyć. Zresztą są dla nas bezpośrednio mało szkodliwi, jako próżniacy i ludzie bez żadnych zdolności; szkoda tylko, że każdy z takich panów liczy tłum sług i oficyalistów, którzy bogacą się przy nich, lecz jednocześnie i nasiąkają ich moralną zgnilizną. Tacy wszyscy są niemal straceni, a bardzo często szkodliwi przez zły przykład i układną giętkość.

Tak rozmawiali ze sobą, wchodząc w główną aleję parku przy katedrze i szukając ustronnej ławeczki.

Znaleźli tu również Jerzego, który wnet pożegnał kilku skromnie odzianych młodzieńców i pospieszył na ich spotkanie.

W kilku słowach zawiadomili go o chybionych staraniach Teodora, co on przyjął z zupełnym spokojem, wyrażając tylko gorące współczucie Łazowskiemu za kłopoty w sprawie mu obcej.

— Mylisz się, Jurgis, sprawa to równie dobrze jego, jak nasza. Czy wiesz, iż my postanowiliśmy niezwłoczny powrót do domu.

— Zupełnie podzielam ten zamiar, gdyż

wszyscy tam jesteśmy potrzebni, a tu jesteśmy skazani na bezczynność.

Po chwilowym więc wypoczynku ruszyli do hotelu. Tu szwajcar oznajmił panu generałowi, że jakiś żyd już dwukrotnie był, pytając się o niego i obiecał powrócić raz jeszcze.

— Pewnie ma szwarcowane cygara do sprzedania lub płaszcz futrzany, przez pół zjedzony przez mole — rzekł Teodor do przyjaciół i zaprosił ich na przekąskę przed wyjazdem, polecając służbie, aby kazano jego woźnicy być gotowym do drogi.

Jakoż ów żyd tajemniczy zjawił się po raz trzeci, lecz nie był to handlarz zwykły, jeno coś jakby prywatny doradca lub też faktor, do specjalnych poruczeń.

Zażądał rozmowy na osobności. Na to Łazowski odparł bez długich ceregieli:

— Albo mów i to zaraz wobec tych panów, albo też wynoś się, jakeś przyszedł.

Żyd cofnął się ku drzwiom z zamiarem wyjścia. Wtedy już Henryk z Jerzym sami usunęli się do sąsiedniego pokoju. Żyd bez straty czasu przystąpił wprost do rzeczy, mówiąc:

— Jaśnie wielmożny pan generał potrzebuje coś zrobić dla tego księdza i jeszcze pięciu innych siedzących w więzieniu. To można zrobić, lecz będzie kosztować...

— Co mianowicie można zrobić i ile będzie kosztować?

— Za uwolnienie księdza z więzienia dwa tysiące rubli, a za każdego chłopca po pięćset; oprócz tego, drugie tyle za umorzenie sprawy całej u sędziego śledczego.

— A więc razem dziewięć tysięcy. Mógłbym się na to zgodzić, lecz jakąż będę miał gwarancję?

— JW. pan generał dziś złoży na moje ręce tysiąc rubli i zaczeka trzy dni, wtedy wypuszczą wszystkich z więzienia i trzeba będzie zapłacić cztery tysiące, a jeszcze za tydzień resztę pieniędzy, bo sprawa cała będzie umorzona.

Łazowski się zamyślił. Propozycja mu bardzo dogadzała i bez wahania zgodziłby się na poniesienie całego wydatku, lecz potrzebował się naradzić z przyjaciółmi.

— Przyjdź pan za pół godziny: albo dostaniesz pieniądze i umowa stanie, albo też nie z tego.

Żyd skłonił się i wyszedł.

Teodor przywołał Henryka i Jerzego i całą rozmowę dosłownie im powtórzył.

— To faktor państwa Samoiłowów — rzekł Henryk.

Jerzy tylko głową pokiwał twierdząco.

— Więc cóż o tem myślicie; ja jestem zdecydowany dać, bo mi te dziewięć tysięcy mniej warte, niż spokój nasz wszystkich i uwolnienie tych nieszczęśliwych.

— Ba! kiedy rzecz w tem, że proboszcz nigdy się nie zgodzi na użycie tego środka — rzekł Henryk.

— A i mój ojciec również — dodał Jerzy.

— Nie potrzebują o tem nic wiedzieć, niech cała ta sprawa zostanie między nami pod pieczęcią tajemnicy.

Lecz obaj młodzieńcy nie spieszyl się za zgodą.

— Przyznaj, kochany Teosiu, że idąc ta-

ką drogą okazalibyśmy słabość tylko, a oskarżeni nie byłiby wolni od jakiegoś zarzutu wobec opinii, co nastąpi niewatpliwie po uniewinnieniu ich przez sąd.

— Lecz, na miłość Boga, skądże wy macie pewność tego uniewinnienia przy takich warunkach rządów ze strony łotrów i gwałcicieli? — wykrzyknął Łazowski.

— Zdaje się, że prezes sądu okręgowego, jak niemniej prokurator izby sądowej należą do małej liczby uczciwych Rosyan, a to dla nas w zupełności wystarczy — dodał Jerzy.

— Ojciec zaś Jurka mówił wyraźnie, że woli nawet, aby synowie byli karani, niżli mieli zawdzięczać wolność przekupstwu i ma, zdaje się, rację.

Łazowski się rozgorączkował.

— Zapominacie o tem, że tak możemy myśleć i czuć my, mężczyźni, lecz nigdy kobiety. Co na to powie pani Brażysowa, panna Helena, a wreszcie matka i siostry twoje, Henryku?

— Za matkę i siostrę ja ręczę, a nawet trochę i za pannę Maryę... — półgłosem odpowiedział Jerzy.

— To prawda, gdyż i ja ręczyć mogę za matkę i siostry — podchwycił Henryk.

— Pomyślcie jednak, że mogą ich potrzymać w więzieniu długo, jakie pół roku na przykład, wtedy mogą stracić zdrowie, nabawić się jakich nałogów lub wyjść ze zwichniętym charakterem — gorąco przekonywał Teodor.

Był to argument bardzo silny, ale i wobec niego nie ustąpili młodzieńcy.

— Mamy prawo sędzić, że tak nie będzie, gdyż wiedzą dobrze, że my o nich myślimy i sprawę ich gorąco bierzemy do serca. Co się zaś tyczy złych nałogów, to jest niemożliwe, gdyż wszyscy, nie wykluczając nawet Janka, należą do natur raczej żądnych władzy nad innymi, niżli podatnych wpływom obcym — dowodził Henryk.

— A najważniejsza, że oni wszyscy nie chcą swobody za taką cenę — zakończył rozmowę Jerzy.

Jakoż czas był już wielki, bo szwajcar stanął we drzwiach z oznajmieniem, że powóz zajechał, a z za jego pleców wyrzała głowa żyda faktora.

— Zanieś pan od nas ukłon pani Samoilowej i słowa tkliwego współczucia, iż nie jesteśmy w możności w niczem się przyczynić do złożenia kapitału, na kupno tak upragnionego przez nią majątku ziemskiego — rzucił odpowiedź żydowi Henryk w imieniu Teodora.

Żyd zginął, jak kamfora.

---

W czasie, gdy Łazowski w towarzystwie obu młodych przyjaciół bawił w Wilnie, znowu zaszedł w Kropianach całkiem niezwykły wypadek.

Oto w dzień biały, mało co z południa, nagle wpadł w ulicę miasteczka od strony Gawy, koń wraz z bryczką uriadnika. Niedawny deresz, teraz już kasztan zdecydowany po deszczach wiosennych, snadź shukany i przerażony pędził na oślep, aż utknął w rynku przed karczmiskiem.



Tłumy żydostwa przypadły do bryczki i konia. Lecz stało się coś dziwnego. Żydzi wrzaskiem wypełnili przestwór rynkowy, a żydówki pluły z obrzydzeniem i uciekały od bryczki, ażeby . . . za chwilę znowu powrócić.

Na bryczce, plecami do góry, z rękami i nogami rozplętemi, leżał mocno przywiązany Czujko gębę miał silnie zatkaną i oczy niemal na wierzch wylazłe, a przez krzyż i niżej rozcięty miał mundur i bieliznę i dwoma płåtami obwisły na strony.

Cała powierzchnia rozrosłego ciała okryta była pręgami i krwawemi smugami...

Ledwo się go docucono po odwiązaniu i odkneblowaniu. Nie chciał nic gadać, jeno kazał posłać po żyda felczera.

Ludzie o tem różne dziwy plotli.

Tylko w Pasiece nie było o tem gawędy, bo tu wszyscy żyli niby w żałobie i na pokucie.

Jedna ciotka Dorota, co wróciła właśnie po kilkudniowej wycieczce do krewnych, czasem uśmiechnęła się tajemniczo i milczała zawzięcie.

---

## Sądy i uczucia.

Był grudzień. W przeźroczu dnia jasnego i mroźnego ubożuchny kościółek w Kopliszkach jaśniał gwiazdami i brylantami. Pod śniegiem wyiskrzonym zginęły mchem okryte i zbutwiałe szkarpy i gzemsy, ściany lubo starością pochylone jakoś smuklej w niebiosa pomknęły, a rdzawy krzyżyk z wieżyczki świecił złotem przeczystem.

Nie znać tu było opuszczenia i zanedbania.

Czysto przegarnięte dwie uliczki i piaskiem wysypane, łączyły kościół z probostwem i z drogą do osady. Lud tłumnie zalegał cmentarz kościelny, zamieniając między sobą ciche uwagi i wiadomości. Nagle zakołysał się i rozstąpił, a środkiem przeszła gromadka z Pasieki z Brażysową w środku, którą niosło dwóch parobczaków w spowiciu chust i kozuchów.

Helka z ojcem i ciotka Dorota zamykali pochód.

Parobczaki złożyli chorą na worku słomą wypchanym, lecz Brażysowa zmogła się wspierając na mężu i córce i runęła na kolana wprost podwoi kościelnych, boleśnie zawodząc:

— Matko Miłosierna, ocal dzieci moje!

Cizba ludu zawtórowała jej jękiem głuchym i przeciągłym i wkrótce zamilkła w pobożnej zadumie.

Wśród tłumu dreptała skulona Tomaszowa i mruzczała bez przerwy:

— Módlcie się, dzieci, módlcie się i błagajcie, gdyż o n do nas powróci i nie zmarniecie wy i to miejsce, prześladowaniem dotknięte.

A zaraz potem zegnał się głośno i gromko Brażys stary i zaczął odmawiać: Ojczy nasz.

Tłum wtórował z ust tysiąca i szedł pod stropy jasnoblękitne szmer tysiąca pomruków, jękiem i bolem nabrzmiałych.

I znowu rozwarły się tłumy, dając przejście przybyszom. To Ponar z żoną i córkami przyszedł dzielić troski i modlitwę z ludem umiłowanym.

Tłum skończył wkrótce pacierz cały, a wtedy Ponarowa zaczęła litanie błagalną... Na cmentarzu, wśród jękliwego wtóru, rozlegał się płacz rzewny i korne błaganie.

Nie było nabożeństwa w Kopliszczkach już od ośmiu miesięcy, lecz pod ścianami kościoła często słychać było szept modlitwy, a dziś tłum cały modlił się długo i żałośnie...

Gdyby dzwony, gdyby głos organów, rzekłbyś, że aniołowie sprawiają u ołtarzy ofiary bezkrwawe, a lud rozmodlony i ukorzony tarza się w prochu w obliczu Stwórcy.

Dzwony milczały, podwoje kościelne stały zamknięte, bo tak chciał rząd, takie było rozkazanie od stanowego i żandarma.

Lecz lud się modlił i modlił szczerze...

Wreszcie ruszono gromadkami małemi do wrót cmentarnych. Parobcy podchwycić chcieli schorzałą Brażysową, lecz ona już szła o siłach własnych, zlekka wspierając się na ramionach męża i córki.

— Cud oczywisty! — mruzczały baby, wskazując na nią i szeptać między sobą.

A Ponarowa szła tuż obok z córkami.

Mieszkańcy Pasieki podszli do sanń łubianych, a państwo z Lubiszek wsiadali do sanek wytwornych.

— Badźcie spokojni! — rzekł krótko stary Ponar, a panienki uścisnęły serdecznie Helkę.

Był to dzień osądzenia sprawy księdza Zaranka i jego pięciu towarzyszy. Łazowski wraz z Henrykiem i Jerzym bawili już od dni kilku w Wilnie, a parafianie kopliscy wyczekiwali niecierpliwie wieści o przebiegu sprawy i wyroku.

Mieszkańcy Lubiszek w milczeniu wrócili do domu i wnet się rozpierzchli po całym domu. Przygotowania świąteczne pochłaniały wiele pracy i starań, gdyż dzień następny był dniem uroczystej wili.

— O której godzinie kończą się zwykle rozprawy sądowe? — spytała Marya, pieszcząc ojca.

— Różnie to bywa, dziecko drogie, lecz sprawa dzisiejsza może przeciągnąć się do późna, więc Henryś z Teosiem wróćą jutro dopiero.

— Jakto, ojczulku, więc nawet noc całą?

— Możliwe, że do późnego wieczora, więc nasi będą zmuszeni nocować.

Dziewczę niedowierzająco główką ruszyło i wróciło do zajęć najpilniejszych.

Wkrótce matka przywołała obie córki do siebie. Przyszły niezwłocznie, Wanda z wyrazem niewczasu i troski na twarzy, a Marya hoża i pogodna, jak zazwyczaj.

Matka z lubością objęła je spojrzeniem i mówiła po chwili:

— Wypada mi porozumieć się z wami, dzieci drogie, w sprawie nas wspólnie i żywo obchodzącej. Może dziś jeszcze, lub jutro najdalej wróca z Wilna, Teoś i Jerzy. Obaj oni sercem i oddaniem zdawna już prawie należą do naszej rodziny, obaj, wyznają to zradością, pozyskali zupełne zaufanie ojca waszego i moje, a jednocześnie — nie macie się czego rumienić — zajęli miejsce w waszych sercach.

— Bo na to w zupełności zasługują, mateczko! — wyrwała się żywa Marya, podczas gdy Wanda czułem i łzawem spojrzeniem pieściła matkę, przypadłszy w jej objęcia.

— Zgadzam się na to, lecz ty właśnie, droga Marylko, czy dobrze zastanowiłaś się nad tem, że Jerzy może dziś wrócić, jako brat trzech skazańców, o czem świat nigdy nie zapomni i często ci do oczu rzuci ten fakt smutny, nie badając rodzaju i stopnia winy tych ofiar biednych.

— Mateńko, to bohaterowie! — wfrąciła Wanda z zapalem.

— A cóż mię sądy ludzkie mogą obchodzić, skoro wy wszyscy nie odmówicie im sere swoich i szacunku! — dodała Marya.

— To wszystko mię cieszy, gdyż chcia-

łam gorąco, ażebyśmy się porozumiały jeszcze przed wyrokiem. Ojca znajdziecie najzupełniej dobrze dla planów swych usposobionego, gdyż oboje nie widzimy potrzeby udawać, że nie wiemy o tem, co się dzieje w sercach naszych dzieci.

Obie panienki przytuliły się do matki w długim i serdecznym uścisku.

— Cóż mi jeszcze macie do powiedzenia? — spytała matka przez łzy i uśmiech pełen radości.

— Ja kocham pana Jerzego, ale ten nuzdziarz... — zaczęła Marya i urwała.

— Teoś pozyskał moje uczucie, lecz się obawiam, czy zdołam uszczęśliwić go przez życie całe — z kolei wypowiedziała się Wanda, cała spłoniona.

Matka uśmiechnęła się i odparła:

— Nie potrzebujecie mówić już więcej, gdyż reszty się domyślłam. Ty, Wandziu, już niejednokrotnie wysłuchałaś gorących próśb i wynurzeń Teosia, lecz, choć serce twe rwało się ku niemu, odłożyłaś decyzję swą aż do wyroku w sprawie. Chwalę ci to, dziecko ukochane, bo umiałaś usunąć własne uczucia i pragnienia na drugi plan, gdy siły i cała uwaga ukochanego były tak potrzebne dla powodzenia sprawy poważnej. Ty zaś, moja niecierpliwa Marylko, dotąd nie usłyszałaś jeszcze wyznania, choć pewna jesteś najtkliwszego uczucia ze strony Jerzego. Wszak prawda?

— Ależ naturalnie, matuchno! — energicznie przytwardziło dziewczę.

— Ośóż wiedz o tem, że teraz prawdopodobnie już wyznania nie usłyszysz, bo Je-

rzy nigdy się nań nie odważy przez nadmiar delikatności i drażliwości. Nie pozostaje ci nic przeto, jak samej głos zabrać, co przecie będzie cię mocno krępowało...

— O, ani trochę, mateczko, i załatwię się z tem wkrótce.

Ponarowa rozśmiała się serdecznie i powstała z miejsca, mówiąc na odchodnem:

— W każdym razie, pamiętajcie moje panienki, że na wilię jutrzejszą możecie mieć gości dość pożądaných, a więc dołóżcie starania i pamięci o wszystkim.

Dziewczęta padły sobie wzajem w objęcia i rozplakały się rzewnie. Czyżby to był krok pierwszy starania i pamięci?

Uż od świtu niemal schody, wiodące do sali posiedzeń w oddziale kryminalnym wileńskiego sądu okręgowego były w oblężeniu. Daremnie woźni wołali, że nikt nie będzie wpuszczonym bez biletu i że biletów tych wydano tylko dwadzieścia; daremnie pan rewirowy raz i drugi głosem urzędowym wzywał do rozejścia się: tłum z włościan złożony stał głuchy i niemy, lecz stał i nie odchodził.

Wreszcie w sali posiedzeń zaczęli się zbierać widzowie, posiadający bilety, a w ich liczbie przybyli: Henryk i Jerzy. — W ubocznej zaś sali prezes sądu, zdecydowany wróg administracyi i chętnie korzystający z każdej sposobności poniżenia jej, w asystencyi prokuratora nakazał losowanie czterestu sędziów przysięgłych z ogólnej liczby dwudziestu czterech zebranych. Prokurator nie wiedzieć dlaczego, zapra-

gnął dowiedzieć się o wyznaniu sędziów przysięgłych. Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy się przekonał, że na ogólną liczbę dwudziestu czterech było aż siedemnastu prawosławnych...

— To dowód, jak wbrew prawu wszelkiemu władze wzywają kandydatów, gdyż, o ile wiem, ludność katolicka jest przeszło dwa razy liczniejsza od prawosławnej — zrobił uwagę prezes.

Afeli wypadek zadrwił z nadziei prokuratora, bo przy losowaniu wyszło z urny po sześciu katolików i prawosławnych.

Za to obaj zastępcy, byli prawosławni.

Wtedy na twarzach sędziów katolików i w ich krzyżujących się spojrzeniach można było wyczytać, jakby postanowienie niezłomne, że nikt z nich nie zażąda zastępcy. Wreszcie ruszył pan prezes do sali, w towarzystwie dwóch członków sądu i prokuratora. Dla asystencyi sędziom przysięgłym dodano rewirowego.

Oskarżeni już byli na miejscu. Na pierwszej ławie siedział ksiądz Zaranek, a za nim na drugiej, pozostałych pięciu. Pierwszy był w sukni księżej, a wszyscy inni we wstrętnych ubraniach więzennych. Dwaj przez pół śpiący żołnierze z obnażonymi szablami, stali przy nich na straży.

Przed ławą oskarżonych zajęli miejsca dwaj obrońcy: starszy z wyrazem bólu i troski w spojrzeniu, młodszy zajęty oglądaniem własnych paznokci.

Na twarzach więźniów, ośmiomiesięczne więzienie wypisało się niezafartemi głoskami. Zczernieli i wychudli, mimo wikt wła-



sny i dostatni, a oczy świeciły im blaskiem niezwykłym. Byli zresztą spokojni, tylko Grynis stary rzucał naokół groźne spojrzenia z pod brwi nawisłych, a młodzieńczy Janek był wyraźnie zawstydzony.

Powstał prokurator i wolno, dobitnie czytał arcydługi i arcyciężki akt oskarżenia. Oskarżeni zachowywali się obojętnie, publiczność nieco niecierpliwie a komornik sądowy, pełniący urząd woźnego przy sądzie, wzrokiem jakby usiłował wzbudzić skruchę w domniemanych winowajcach.

Zaczem przystąpiono do sprawdzenia osobistości oskarżonych i zadano im stereotypowe pytanie, czy przyznają się do winy.

— Nie — odrzekli jeden za drugim.

Więc przystąpiono do badania świadków oskarżenia. Drażliwość moskiewska co do rang i »czynów« wysunęła na pierwsze miejsce popa z Gawy.

Rozpoczął on długą i bezsensowną legendę o szkodliwej działalności księdza Zaranaka, o jego nienawiści do prawosławia i szykanach, które stosował nawet względem wszystkich służących u prawosławnych.

— Jakiego rodzaju były te szykany? — zagadnął prokurator.

— A no tłumaczył chłopom, żeby mi nie nosili, jak tego żądam, po bułce chleba, butelce wódki i dwa ręczniki od chrztu każdego i dwa razy tyle od ślubu — objaśniał dobrodusznie ojciec Prochor.

— Cóż więcej? — naglił niecierpliwie prokurator.

— Przed trzema laty nie chciał dać składowki na obiad dla archijereja...

— Cóż jeszcze? ciągnął badanie z trudem opanowując śmiech starszy z obrońców.

— A najgorsze, jak mówi moja żona, że dzięki jego intrygom, średnia córka nasza nie wyszła za mąż za miejscowego starszyinę, który...

— Sądzę, że ten świadek już dość w tej sprawie powiedział — zwrócił się prokurator do prezesa sądu.

Ów skinął ręką i uwolnił ojca Prochora. Poczem zeznawał i s p r a w n i k.

Stary to był już człek i z wyraźnemi śladami przehulanego życia całego.

— Co pan możesz powiedzieć o całej sprawie i o osobach oskarżonych?

— Niech ich licho porwie! Kropiany to gniazdo szubrawców i łotrów, to też niema tygodnia, żebym nie kazał posyłać tam urzędowych połajań.

— Pan je stosujesz oczywiście w tym celu, ażeby zachęcić swych podwładnych do wykrycia tych wszystkich, jak pan nazwał: szubrawców i łotrów — dodał prokurator.

— Otóż to rzecz cała w tem, że oni wszyscy są tacy sami: i uriadnik, i żandarm, i pop, i...

— Niech pan zechce mówić o sprawie, a więc o osobie oskarżonego, księdza Zaranka — rozkazał prezes, groźnie się marszcząc na głośne wybuchy wesołości w sali.

— Księdza Zaranka ja na oczy nigdy nie widziałem, bo ja tam nie skory jeździć w takie strony, jak Kropiany i Kopliszki: tam

ludzie nie znają jak rok długi, kawałka świeżego mięsa, a winta złożyć za żadną...

— Pan odbiega od rzeczy — zrobił ponowną uwagę prezes.

— Aha! otóż co do księdza Zaranka, to odbierałem ciągle raporty od stanowego Pigulewskiego i jego poprzedników o jego charakterze hardym i naturze zbyt samowolnej, ale mnie to nie wiele obchodziło i pozwalałem im radzić, podług swojego uznania i ogólnej instrukcyi.

— Pan przecie musiałeś wiedzieć o karach pieniężnych, nakładanych na księdza, dość często z rozkazu pana gubernatora? — badał prokurator.

Isprawnik trochę się zamyślił.

— Istotnie, przypominam sobie, pieniądze ściągnięte z księdza przychodziły, lecz wślad za nimi otrzymywałem zwykle skargi, że urzadnik zwykle wymuszał dwa razy tyle. Taki rozbójnik!

— A cóż pan robiłeś w takim wypadku?

— At! — machnął ręką isprawnik i zamilkł.

I tego świadka prezes odprawił, a brózdki podłużne na czole zaznaczyły kłopot i gniew prokuratora.

Z kolei wezwano stanowego Pigulewskiego. Ten okazał się wymownym i sprytnym, lecz dzięki zręcznie rzucanym pytaniom obrony, splątał się we własnej sieci frazesów i ani jednego dowodu rzeczowego nie wskazał. Pod koniec jednak wystąpił z pociskami największego kalibru.

— Istnieją niezbite dowody występnej i przeciwrządowej propagandy księdza Za-

ranka. Po pierwsze zbierał on wespól z rodziną Brażysów pieniądze na nowy kościół.

Tu młodszy obrońca poprosił o głos i, do-  
bywszy urzędowej gazety, odczytał oficjal-  
ne pozwolenie wydane księdzu przez guber-  
natora.

— A dalej? — podchwycił prokurator,  
zwracając się do stanowego.

— Powtóre zaś: ksiądz utrzymywał stale  
straszenie złe psy na plebanii, które nikogo  
nie dopuszczały wewnątrz podwórza. A  
przecież w myśl tajnej instrukcyi w kraju  
tutejszym obowiązującej, każde mieszkanie  
księdza winno stać otworem w dzień i w no-  
cy dla przedstawicieli policyi, żandarmeryi  
i innych władz.

— Czemuś pan tedy z urzędu nie skar-  
żył o to księdza do sądu lub do gubernato-  
ra? — spytał prezes.

— Nie przyszło mi to nigdy na myśl.

— Czy pan znasz jakie szczególne powo-  
dy nienawiści księdza do poszkodowanego  
Chłystowicza?

— Najważniejszym jest ten, że Chłysto-  
wicz jest prawosławnym, a niegdyś był ka-  
tolikiem, a zresztą tenże Chłystowicz dawał  
ciągle donosy na księdza, gdzie tylko przy-  
szło mu na myśl.

— Więc pan sądzisz, że istotnie miał tu  
miejsce zamach zbójcki? — podchwycił pro-  
kurator.

— Jestem najmocniej o tem przekonany,  
bo i Chłystowicz, o ile mi wiadomo, sam  
byłby skłonny do czegoś podobnego.

Zaczęto wywoływać innych świadków.  
Lecz tu okazały się braki ogromne. Z kil-

wane w boku konia i w drabince pańskiego wozu.

— Bo strzelili śrótem.

— Lecz pan wiesz dobrze, iż strzał taki jest niemożliwy z rewolweru.

Chłystowicz milczał zakłopotany.

— Więc w cóż się obraca pańskie opowiadanie o owym napadzie zbrojnym i zamiarach morderczych? — zagadnął obrońca.

— Oni mię wszyscy nienawidzili, to zbóje; oni to przecie tak nieuczynkowo skatowali pana uriadnika Czujkę, w dziesięć dni później, wiążąc go na jego własnej bryczce z obrazą skromności i powagi jego.

— Zapominasz pan, że o n i wtenczas już byli w więzieniu wileńskim zamknięci.

Chłystowicz zamilkł ostatecznie, łypiąc zaczerwienionemi powiekami.

Słyszając ostatni zeznanie, obecny w sali Czujko, pobladł z wściekłości i oburzenia. On przecie już od dwóch miesięcy otrzymał awans olbrzymi i został komisarzem cyrkułu w Wilnie, a to zwierzę teraz go kompromituje publicznie, wspominając o tej głupiej awanturze.

To też za chwilę, gdy wywołano go przed sąd, stracił werwę całą i arsenał skrzętnie zebranych dowodów i gniewnie usta zaciśkał.

— Co pan wiesz w tej sprawie? — padło zwykle pytanie z miejsca prezydyjalnego.

Czujko postanowił mówić, jak najmniej i w ten sposób zemścić się na Chłystowiczu. Gdyby go wezwano w godzinę później, byłby nienawiść swą niewątpliwie przeniósł

na oskarżonych i zeznawał z podwójną dozą zaciętości i nienawiści.

Tak zaś, po wysłuchaniu zeznań tego niemal najpoważniejszego świadka, prokurator osłabł wyraźnie w podtrzymywaniu oskarżenia i zaczął kreślić ołówkiem jakieś rysunki na leżącym przed nim papierze.

Zydkowie nic nie dodali z faktów wiarygodnych i okoliczności, natomiast i sąd cały i publiczność nabrali niewątpliwego przekonania, że byli oni przekupieni. — Nawet obrońcy nie wyzyskali łatwej sposobności demaskowania łotrów i powstrzymali się od badań zupełnie.

Była już trzecia z południa, i zmierzch wieczorny zazierał nieznacznie do ponurej sali sądowej.

Prezes zawiesił posiedzenie na godzinę, żeby nie dawać oczom ludzkim zgorszenia obaj bowiem jego towarzysze chrapali bez miłosierdzia i rozpaczliwie kiwali się na krzesłach sędziowskich.

Zresztą wszyscy byli zmęczeni. W sali panował zaduch niemożebny, a nieszczęśliwi oskarżeni oblewali się potem z gorąca i wrażeń niezwykłych.

Lecz nie lepszym był los żołnierzy, owych sług cesarskich, bo im ramiona i nogi całkiem zdrewniały, a wzrok mglisty i ogłupiały machinalnie błdził po głowach więźniów.

Sędziowie, obrońcy i publiczność udali się na obiad i prawdopodobnie zjedli go z apetytem.

Na schodach gmachu sądowego zostali tylko Łazowski, Henryk i Jerzy w otocze-

niu szarego tłumu prostaczków. Nikt tu nie myślał o jedzeniu, oczy świeciły blaskiem gorączkowego oczekiwania, a serca były jednem, wielkiem pragnieniem — sprawiedliwości i spokoju.

I gniew, i zaciętość, i nienawiść tajona pierzchnęły kędyś i rozplynęły się w odczuciu bólu serdecznego i troski.

— Muszą być wolni! — błyskawicą obiegła myśl mózgi, śląc sercom trwożnym krzepiące przesłanki. Więc czekali zdenerwowani i szeptem wymieniali między sobą krótkie wyrazy lub pełne wymowy spojrzenia.

Dzwonek woźnego ponownie wezwał do sali, Dano głos świadkom obrony.

Przed sądem stanął wytworny i poważny generał Łazowski z piersią okrytą orderami. Taki świadek mimowoli wzbudza wiarę i zaufanie.

Zaczął mówić i mówił przeszło godzinę.

Był cały poemat, złożony z przepysznie odmalowanych epizodów i charakterystyki osobistości. Cała nikczemna działalność kliki kropańskiej stanęła wobec sędziów naga i tysiącem niezbitych dowodów poparta.

Był tu więc Czujko, był Jerszow, był Stróżko-Zarucki, był Sidorenko, był pop z Gawy, był wreszcie Chłystowicz wespół z kilku występnyymi żydami.

Siedm miesięcy poświęcił Łazowski tej pracy drobiazgowej i mozolnej i stworzył też, poza obrębem śledztwa urzędowego, całkiem inny i niezmiernie dokładny obraz, związany logiką faktów i nad wyraz wymownym kolorytem stosunków i ludzi.

Prokurator był oburzony. Kilkakrotnie zwracał się do prezesa, żądając, ażeby odebrał głos świadkowi.

Więc prezes zrobił generałowi ostrzeżenie pierwsze i zagroził karą pieniężną, później skazał na dziesięć rubli grzywien, w końcu zaś aż na dwadzieścia pięć. Lecz mówić dał.

Łazowski wysłuchał ostrzeżenia z należnym szacunkiem, potem zapłacił rubli dziesięć, wreszcie dodał jeszcze dwadzieścia pięć i mówił tak długo, aż... skończył.

A podczas mowy jego Czujko i Pigulewskij zgrzytali zębami z wściekłości, pop i Sidorenko klęli po cichu, a żandarm kręcił głową, ostatecznie już ogłupiała.

Po krótkiej i powierzchownej replice prokuratora, zabrali głos obrońcy.

Zadanie mieli nad wyraz łatwe, lecz trzeba było mówić długo i ładnie, gdyż obrona była świetnie zapłacona.

Więc padły dwie mowy dwugodzinne, ni by dwa zwoje ogromne słów i frazesów, które miały za cel ostatecznie pozyskać sędziów przysięgłych.

Jakoż skutek był niemal cudowny, bo sędziowie przysięgli, idąc wślad sędziów koronnych, zapadli w sen cichy i bezgrzeszny.

Zbudziła ich cisza.

Przetarli oczy, i ten i ów spojrział na zegarek. Dochodziła północ.

A cisza trwa dalej.

Wreszcie wśród mglistych światel od lamp i złotawych, żółtych smug, ujrzeli kolejno wstające szare, znękałe postacie.



Wstawały i, mruknawszy coś niewyraźnie, śpiesznie siadały.

To dano ostatni głos oskarżonym.

Lecz żaden nie przemówił. A to milczenie miało siłę słów grzmiących i wprost do mózgów i serca zmierzonych.

Zrzekali się nawet ostatnich praw sobie przysługujących w poczuciu krzywdy swej i niedoli tak długiej i dotkliwej...

Milczał nawet Janek, choć ognie były mu na twarz chłopięcą i słowa serdecznego przeczenia cisnęły się do ust.

Już usiedli wszyscy i czekali.

Sędziowie przysięgli weszli do sali ubocznej na naradę, jak odpowiedzieć na pytanie ułożone przez sędziów z urzędu.

Publiczność siedziała w milczeniu i odrętwieniu, komornik sądowy daremnie wyszukiwał okazji do zastosowania swej gorliwości.

Słyszać było jeno syczenie płomieni gazowych i ciche, stłumione westchnienia.

A tam w sali przyległej wrzała walka zaciekle już od godziny. Stańli odrazu w dwu obozach przeciwnych i równych liczbą katolicy i prawosławni, Polacy i Moskale.

Starszyna, Bohojawlenskij, nauczyciel seminarium prawosławnego, działacz gorliwy i szukający dróg po temu wszędzie, aż ochrypl, dowodząc winy oskarżonych i zbierając dowody.

Lecz wszystko to było stracone. Tych sześciu, jego zdaniem ciemnych i nieokrzyszanych katolików, słuchało go w milczeniu, lecz odpowiadali tylko jedno: Nie, nie i nie.

Starszyna pieniał się, przyskakiwał i wymachiwał ramionami.

— Nie, nie i nie — odpowiadali sędziowie Polacy.

Wtedy Moskal jął drwić i szydzić.

— I czegoż panowie spodziewacie się dokazać? Wszak i nas jest równa liczba, a głos mój przechyła wyrok na naszą stronę i winni zostaną skazani.

Mówił tak i śmiał się złośliwie, szydersko...

— Nie, nie i nie... — usłyszał w odpowiedzi.

Wtedy rozwścieklony Moskal rzucił się do spisania orzeczenia podług pytań postawionych.

Właśnie pisał punkt pierwszy.

Nagle stanął przed nim osiwiały i niezgrabny rękodzielnik, właściciel warsztatu stolarskiego i rzekł krótko :

— Bóg Wszechmocny was skarze za wyrok niesprawiedliwy.

Rzekł i cofnął się do gromadki swoich.

Bohojawlenskij pobladł lekko i porwał się od stołu, prawie krzycząc :

— Schowaj pan swoje groźby dla głupców, bo ja ich się nie boję !

Więc nie bał się, ale do pisania już... się nie zabrał.

— Cóż będzie? — zagadnął swoich po chwili.

— O s u d i t' — odrzekli bez namysłu.

— Nie, nie i nie — szepnęli niewzruszenie inni.

Moskal zawahał się i zaczął biegać po sali, wreszcie powiedział szybko :

— Da nu ich k'czortu!

I dał swój głos za... uniewinnieniem.

Wtedy z westchnieniem ulgi polscy sędziowie przysięgli stanęli tuż obok... Moskali.

Stanęli i za chwilę wrócili poważni i spokojni do sali sądowej.

Publiczność przywitała ich jakimś jękiem głuchym, a więźniów żołnierze byli zmuszeni podnosić do wstania.

Wśród ciszy grobowej padły słowa uniewinnienia dla wszystkich.

— Jesteście już w tej chwili wolni — znużonym głosem rzekł prezes, zwracając się ku ławie oskarżonych.

A oni upadli na ławy pod wrażeniem sfrasznego zmęczenia.

— Wstańcie, bracia, pojedziemy dziś, zaraz do domu, tam nas czekają — szeptem mówił Jerzy, biorąc w uścisk szare, zniekane postacie.

— Chodźmy stąd co rychlej! — zachęcali Łazowski i Henryk, biorąc pod ramiona księdza Zaranka.

Na schodach wpadli w orszak płaczu i śmiechów, szczęściem nabrzmiałych.

W noc mroźną i wyiskrzoną od gwiazd, ruszyła kawalkada sań, wioząc ciała prawie omdlałe, lecz dusze mocne, stokroć mocniejsze do nowej i wytrwałej pracy na życie całe.

Tak krzepi się Litwa, tak budza się do życia i walki nieustannej jej biedni, zgnębieni mieszkańcy.

14

14

## Spis rozdziałów.

---

### Część pierwsza.

	Str.
Objęcie stanowiska . . . . .	1
Kozły ofiarne . . . . .	24
Nieślagonadzieźni spiskują . . . . .	58
Bal u popa . . . . .	98

### Część druga.

Kruki rzucają się gromadnie . . . . .	135
Zamyły szatańskie . . . . .	170
Poszukiwanie sprawiedliwości i opieki . . . . .	212
Sądy i uczucie . . . . .	246



